

ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA,
1897.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12½**.

Druk ukończono d. 5 lutego 1897 r.

KWESTYA KOBIÉCA

W PARLAMENCIE NIEMIECKIM.

W ostatnim tygodniu swéj ubiegłéj kadencyi, parlament niemiecki zajmował się sprawą, która niezmiernie rzadko pojawia się na porządku dziennym ciał prawodawczych. Mówię o kwestyi kobiécéj, omawianéj przy obradach nad czwartą księgą kodeksu cywilnego, poświęconą prawom rodzinnym. Paragrafy, dotyczące położenia kobiéty, najwięcéj wśród ogółu budziły zainteresowania, gdyż odnosiły się do kwestyi żywotnéj, któréj uregulowanie, duchowi czasu odpowiednie, było gorącém życzeniem więcéj, niż połowy społeczeństwa niemieckiego.

Wiek XIX-ty przyniósł całemu światu kobiécemu wiele zmian, przetworzył do gruntu warunki życia kobiét ze wszystkich sfer nieledwie — wyparł znaczną ich część z zamkniętéj cztérema ścianami domu-fortecy i zmusił do udziału w pracy zawodowéj, do samodzielnéj walki o byt. Zmieniło się nietylko położenie kobiéty po za rodziną, lecz i same stosunki rodzinne i praca domowa innego nabrały znaczenia i charakteru, — a wskutek tego zrodziły się w umysłach kobiécych inne dążenia, potrzeby i zdolności. Przewrót dokonany natém polu jest tak widoczny, że nawet najzawziętsi konserwatyści, mimo niechęci dla tak zwanego ruchu kobiécego, oczywistości faktu zaprzeczyć nie mogą; w zasadzie téż nikt nie mógł odmówić słuszności żądaniu, aby nowy kodeks z faktem tym się liczył i do pewnego stopnia go

uwzględnił. Nawet twórcy nowéj ustawy przyznawali publicznie, że ruch kobiécy ma racyę bytu i ma przyszłość przed sobą, twierdzili jednak, że poczynili dla niego ustępstwa zupełnie dostateczne, t. j. takie, jakie poczynić mogli stojąc na stanowisku bezstronném, uwzględniając nietylko potrzeby kobiét, lecz interesa całego narodu. Mimo tych zapewnień, ostateczne uchwały parlamentu nietylko nie wywołały wśród kobiét najmniejszego objawu zadowolenia, ale dały początek jeszcze żywszéj agitacyi, jeszcze głośniejszym protestom i wprost namiętnym wybuchom oburzenia przeciw zakamieniałemu egoizmowi męskich przedstawicieli narodu. W parlamencie samym głosy były podzielone. Kobiéty znalazły gorliwych, zdolnych i odważnych obrońców, lecz mimo dość żywéj dysputy, mimo wielu śmiałych prawd pięknie wypowiedzianych — znać było w toku obrad, że nawet najgorętsi zwolennicy równouprawnienia na razie ważnych reform przeprowadzić nie mają nadziei. Wreszcie nie swojéj, lecz cudzéj sprawy broniąc, nie mieli oni ochoty czynić z niéj punktu decydującego o przyjęciu lub odrzuceniu nowéj ustawy.

Oburzenie kobiét ze stanowiska ich potrzeb i uzasadnionych żądań, zrozumiéć i usprawiedliwić łatwo — i gdyby ciała prawodawcze w decyzyach swoich kierować się miały wyłącznie czystém poczuciem sprawiedliwości, dziwićby się należało, dlaczego u samego schyłku XIX-go stulecia naród, który kroczy w pierwszych szeregach cywilizacyjnego pochodu ludzkości, powziął uchwały tak niezgodne z duchem czasu. Kto jednak przyjrzy się bliżéj cokolwiek téj kuźni politycznéj, z któréj wychodzą prawa krajowe, kto uwzględni wszystkie towarzyszące okoliczności: skład parlamentu, charakter jego członków, pobudki grające główną rolę w zachowaniu się stronnictw, — ten przyzna, że wynik ostateczny był zupełnie naturalny, przewidziany i tylko optymistki łudzić się mogły, iż petycye kobiéce osiągną zamierzony skutek.

Przedewszystkiém w parlamencie niemieckim, zarówno jak i we wszystkich innych ciałach prawodawczych, interesa grają główną rolę — zasady podrzędną. Nie w imię zasad, lecz w obronie wspólnych interesów łączą się ludzie w stronnictwa, — nie w imię zasad, lecz w obronie interesów zwalcza się przeciwników, popiéra sprzymierzonych. One téż stanowią podstawę do ugrupowania się stronnictw przy wszystkich ważniejszych rozprawach.

Téj podstawy tutaj brakło zupełnie. Chodziło o rozszerzenie praw kobiéty w rodzinie, a zatém o pewne ścieśnienie władzy mężowskiéj. Któryż z przedstawicieli narodu osobiście mógł być interesowany w téj sprawie? Żaden. Przeciwnie, ci wszyscy, co brali w obronę

nieobecnych, t. j. kobiéty—działali zupełnie bezinteresownie, stali wyłącznie na zasadniczém stanowisku. Że tacy ludzie w parlamencie stanowili mniejszość, to nikogo zadziwiać nie powinno. Prawda, że położenie to powtarza się zawsze, gdy chodzi o reformę, w któréj uprzywilejowani mają przypuścić upośledzonych do wspólnych praw, — ale téż dlatego takie reformy przechodzą z trudnością, przygotowują się zwolna, a czasem nawet dokonywane bywają dopiéro wskutek wstrząśnień gwałtownych.

Niechętnie ludzie robią ofiarę z władzy i przywilejów. Nawet wtedy, gdy one są krzyczącą niesprawiedliwością, uspokajają sumienie zdaniem, że dobrze użyte stają się właśnie gwarancyą porządku i dobra publicznego. W obecnym ustroju społecznym wspólność interesów wiąże głównie między sobą ludzi pewnéj klasy, pewnéj warstwy narodu. To téż te stronnictwa właśnie, które reprezentują dążności klasowe, mają największą jednolitość i spójność. Najnamiętniejsze walki wywołują téż wnioski parlamentarne, dotykające interesów klas panujących choćby w najdrobniejszéj okoliczności. Ciekawym tego przykładem była burza w szklance wody, podniesiona przez konserwatystów przy paragrafie kodeksu dotyczącym wynagradzania szkód, wyrządzanych przez zwierzynę. Wielka własność ziemska, t. j. panowie myśliwi, stanęli do walki z własnością drobną, t. j. posiadaczami zagonów kapusty i rzepy, a w animuszu wojowniczym doszli tak daleko, że od bezkarności szkód wyrządzanych przez zające, czynili zależném przyjęcie całego kodeksu. Dysputa o zającach była bardziéj wyczerpująca, niż którakolwiek z dysput odnoszących się do tego dzieła; słusznie téż poseł Träger zauważył: „sądzę, panowie, że i potrzeby kobiéty są conajmniéj równie ważne, jak natura i potrzeby zajęcy. Strzeżcie się, aby przy końcu naszych obrad kobiéty nie zawołały: ach, czemuż nie jesteśmy zającami!”

Ale kwestya kobiéca nie była bynajmniéj kwestyą klasową i dlatego nie roznamiętniała nikogo. Ta okoliczność tłómaczy także oryginalne ugrupowanie się stronnictw przy głosowaniu nad odnośnemi paragrafami. Członkowie arystokracyi występowali obok przedstawicieli sfery robotniczéj, stronnictwo rządowe szło ręka w rękę z t. zw. stronnictwami przewrotu, co wywołało nawet niejednokrotnie humorystyczne uwagi mówców, a dyskusyi nadawało lekko żartobliwy charakter.

Gdyby powyżéj przytoczone okoliczności nie wyjaśniły dostatecznie rezultatu dyskusyi, sam skład parlamentu pozwalałby go do pewnego stopnia przewidywać. Najliczniejszém stronnictwem, jak wiadomo, jest obecnie centrum; głos jego decyduje téż zwykle o losach ustaw

proponowanych. Centrum wzięło w rękę sprawę kodeksu cywilnego, dostarczyło największéj liczby członków komisyi nad nim obradującéj, ze swego łona wybrało prezydenta téjże komisyi, a nakoniec postarało się przy ostatecznéj dyskusyi *in pleno*, o komplet posłów wystarczający do prawomocnego stanowienia uchwały. Niemcy stronnictwu temu przedewszystkiém zawdzięczają, iż ważna ta praca ustawodawcza już w tegorocznéj kadencyi załatwioną została. Ponieważ jednak centrum samo przez się większości w parlamencie nie stanowi, było więc ono zmuszone do poczynienia pewnych ustępstw, a ich kosztem okupiło możność nadania całemu kodeksowi jaknajbardziéj konserwatywnego i zgodnego z wyznaniowém swém stanowiskiem charakteru. Sojusz z konserwatystami opłaciło udzieleniem poparcia w „ważnéj" sprawie zajęczéj, aprobatę zaś stronnictw rządowych, rezygnując ze zniesienia ślubów cywilnych. Na takim kompromisie zbudowana większość niezachwianie opiérała się wszelkim reformom postępowym i stale odrzucała wszystkie wnioski, dążące do zmiany patryarchalnych, według zasad Pisma św. regulowanych stosunków. Z drugiéj strony jednak zauważyć należy, że stronnictwa postępowe, korzystając z rzadkiego i niespodzianego poparcia stronnictw rządowych, odwzajemniały się partyi katolickiéj, odrzucając również wszelkie poprawki przez nią proponowane, a dążące do cofnięcia prawodawstwa w kierunku średniowiecznym. Dzięki temu, księga praw rodzinnych w trzeciém czytaniu przyjętą została prawie bez zmiany,—w téj formie, w jakiéj przedstawiono ją parlamentowi po przeróbkach komisyi. Ponieważ szerszy ogół o pracach komisyi nie był dokładnie poinformowany, a znał kodeks jedynie w ogólnym zarysie z projektu rządowego i ostatecznych uchwał parlamentarnych, wytworzyły się o nim dość mylne przekonania i dużo błędnych krąży wieści. Obrady w komisyi były z natury rzeczy o wiele gruntowniejsze i bardziéj wyczerpujące, niż w szybkim tempie prowadzona i dość powierzchowna dyskusya parlamentarna. Tam téż najwięcéj dokonano przeróbek i najdokładniéj znaczenie paragrafów wyświetlono.

Przeróbki dotyczyły przeważnie szczegółów, mających niekiedy bardzo doniosłe w życiu prywatém znaczenie, lecz nie zmieniających ogólnego charakteru ustawy. Wzięta jako całość, nie może się ona bynajmniéj do reform postępowych zaliczać, w pewnych względach, np. w części dotyczącéj rozwodów, jest w porównaniu z pruskim landrechtem wprost krokiem wstecznym. Wszystkie drobne ustępstwa, duchowi czasu poczynione, dostały się do niéj prawie przypadkowo, gdyż myślą przewodnią twórców nie było bynajmniéj otwiéranie dla prawodawstwa niemieckiego nowych i szerokich horyzontów. Prawnicy,

którzy projekt rządowy układali, mieli przedewszystkiém na myśli owo narodowe i patryotyczne znaczenie. Pragnęli oni, aby kodeks, był wyrazem ducha niemieckiego, aby się opiérał na tradycyach narodowych, to téż wyłącznie w prawodawstwie niemieckiém szukali wzorów i wskazówek, a na wszelkie przez opozycyę przytoczone przykłady postępowych reform, przeprowadzonych zagranicą, odpowiadali, że to, co jest zgodne z naturą Anglików lub Szwedów, może być wprost niewłaściwém w zastosowaniu do narodu niemieckiego. Zarzut to zresztą zupełnie powierzchowny i więcéj na teoretycznych podstawach, niż na obserwacyi życiowéj oparty. Współczesna cywilizacya ma charakter bardzo kosmopolityczny i niweluje nawet rasowe, a cóż dopiéro narodowe różnice. W każdéj dziedzinie umysłowego i moralnego życia istnieje międzynarodowa łączność i wzajemna wymiana zdobyczy cywilizacyjnych.

Literatura, sztuka, nauka, obyczaje nawet i mody przenoszą się przez naśladownictwo z kraju do kraju, przekraczając zwycięsko kordony graniczne, i właśnie ten ruch międzynarodowy chroni naszą cywilizacyę od chińskiéj skostniałości. Nic dziwnego jednak, że właśnie w roku jubileuszowym cesarstwa niemieckiego umysły, nastrojone na wysoką nutę patryotyczną, bezkrytycznie przyjmowały takie powoływanie się na ducha narodowego i skłonne były uważać te zwroty stylistyczne za ważne argumenty. Nie należy zapominać o jednym dość silnym czynniku, który na redakcyę nowéj ustawy oddziaływał. Ma ona, jak wiadomo, zastąpić kodeksy dotychczas obowiązujące w różnych państwach rzeszy.

Mimo entuzyazmu dla wielkości niemieckiéj, istnieją jednakże w tych poszczególnych kraikach dążności partykularystyczne, drobne rywalizacye, wreszcie pewne przywiązanie do miejscowych zwyczajów i form prawnych. Chcąc dla nowego kodeksu uzyskać przychylne przyjęcie zarówno rządów związkowych, jak i u ludów pod ich panowaniem żyjących, należało uwzględniać sprzeczne kierunki, pojęcia, dążenia, należało budować nową księgę praw na zasadzie wzajemnych ustępstw, co nadało jéj cokolwiek bezbarwny, kompromisowy charakter. Wskutek tego nie jest ona ostatnim, najdoskonalszym wyrazem niemieckich pojęć prawnych, lecz raczéj ich przeciętném określeniem. Usuwa wprawdzie najbardziéj wsteczne zabytki praw i zwyczajów, lecz bynajmniéj nie dorasta do wysokości pojęć postępowych, nowożytnych. Zachowuje ścisły związek z przeszłością przez poszanowanie tradycyi — na obecne czasy może być ze względów praktycznych dogodną, lecz nie trzeba być prorokiem, aby przewidzieć, że w bardzo

krótkim czasie okaże się niewystarczającą i koniecznych reform wymagać będzie.

Słusznie zauważył jeden z mówców parlamentarnych, że prawodawcy budują gmach, pod osłoną którego całe pokolenia chronić się będą; przy budowie zaś każdego gmachu publicznego należy koniecznie uwzględniać spodziewany rozrost, gdyż inaczéj gmach ten stanie się wkrótce niemożliwym do użycia. Uwaga ta przebrzmiała bez echa, i budowa wzniesiona przez reprezentantów narodu niemieckiego dziś ledwie dostateczna, niewątpliwie długo służyć nie będzie mogła. Jeden z posłów wolnomyślnych wypowiedział zdanie, które na pozór paradoksalne, przy bliższém śledzeniu rozpraw nad kodeksem, niezmiernie trafnością uderza: „Zostawiliśmy za dużo wolnego pola prawnikom” powiedział. Możnaby zarzucić, że najwłaściwszą jest rzeczą kwestye prawne specyalistom zostawić,—doświadczenie jednak uczy, że prowadzi to do zbyt teoretycznego traktowania rzeczy. Znawcy starożytnych i współczesnych ksiąg prawnych nie zawsze bywają bystrymi obserwatorami stosunków rzeczywistych, z zamiłowaniem swego zawodu nie łącząc dostatecznego doświadczenia życiowego, często używają subtelnych i zawiłych kombinacyi tam, gdzie prostemi środkami znacznie lepszy skutek możnaby osiągnąć.

Wszystkie wady i usterki kodeksu cywilnego, odbiły się w ujemny sposób na owéj 4-éj księdze, która takie namiętne oburzenie, wśród kobiét wywołała.

Najobszerniejsze rozprawy w kwestyi równouprawnienia wytoczono z okazyi paragrafu, który przyznaje mężowi decyzyę we wszystkich sprawach dotyczących pożycia wspólnego, w szczególności zaś w wyborze miejsca pobytu i mieszkania. Zresztą chwiejne stanowisko ustawodawców zaźnaczyło się i przy tym paragrafie wzmianką, iż żona może odmówić mężowi posłuszeństwa, jeżeli jego decyzya jest nadużyciem praw przysługujących mu. Przypuszcza się zatém, że w razie sprzeczności zdań, słuszność może być po stronie żony, uprawnia się ją nawet w pewnych wypadkach do oporu,—ponieważ jednak nie określono co uważać należy za nadużycie, żądaniom jéj nie dano żadnej wyraźnéj, legalnéj podstawy. Jest to, jak trafnie naznaczono w parlamencie, *lex imperfecta*, prawo, które żadnego praktycznego następstwa nie ma i miéć nie może. Jeśli małżeństwo żyje w zgodzie, jest rzeczą obojętną, kto z dwojga swoje projekty i zamiary przeprowadza, a w każdym razie małżonkowie regulują wspólne pożycie bez najmniejszego względu na brzmienie paragrafów. Jeśli się spory między nimi zaostrzają tak że jedynym punktem wyjścia staje się rozstrzygnięcie sądu, wówczas sprawiedliwi sędziowie pod pojęcie nadużycia praw pod-

ciągnąć mogą każdą taką decyzyę męża, która istotne poważne szkody i krzywdy żonie lub dzieciom przynieść może. Rzeczywisty stan rzeczy nicby się nie zmienił, gdyby ten paragraf pominięto, lub na jego miejsce zapisano zasadę, że kwestye wspólnego pożycia rozstrzygają oboje za wzajemném porozumieniem, a gdy to jest niemożliwe, sąd bada po któréj stronie jest słuszność. Jeżeli jednak paragraf ten nie posiada żadnéj doniosłości praktycznéj — miał on dla wszystkich stronnictw znaczenie zasadnicze: konserwatystom chodziło o legalne stwierdzenie władzy mężowskiéj, socyalistom o zaznaczenie równouprawnienia kobiéty w rodzinie, wolnomyślni żądali skreślenia paragrafu, gdyż domowe stosunki małżonków nie mogą i nie powinny być regulowane przez państwo. Projekty socyalistów i wolnomyślnych odrzucono, wskutek tego utrzymało się prawo, na mocy którego mąż rządzić, a żona opór mu stawiać może.

Daleko więcéj doniosłości praktycznéj miał paragraf 1258, który w dosłowném tłomaczeniu przytaczamy: „Jeśli żona wobec osób trzecich zobowiązała się do czynności, którą osobiście spełnić musi, mąż ma prawo umowę unieważnić, bez poprzedniego oznaczenia terminu, wyjąwszy jeśli na nią zezwolił, lub jeśli sąd opiekuńczy na wniosek żony, w jego zastępstwie zezwolenia udzielił. Sąd opiekuńczy zastąpić może męża, jeśli choroba lub nieobecność czyni niemożliwém odpowiednie oswiadczenie z jego strony, wreszcie, jeśli odmawiając zezwolenia, dopuszcza się nadużycia praw przysługujących mu.”

Paragraf ten stanowi dla wszystkich mężatek niesłychane utrudnienie pracy zawodowéj. Każda zarobkująca kobiéta przyjmuje zobowiązania, które osobiście wypełnić musi; w spełnianiu ich zależna od każdorazowego kaprysu lub humoru męża, straciłaby zupełnie zaufanie swych pracodawców, a odwoływanie się do sądu opiekuńczego nicby w tym razie nie pomogło, gdyż trudno wymagać od osób trzecich, aby potrzebując pracownicy, czekały cierpliwie rozstrzygnięcia procesu małżeńskiego. To téż nad ustępem tym w komisyi wywiązała się długa dysputa, w któréj dość oryginalne przytaczano argumenta. Obrońcy paragrafu dowodzili jego konieczności, twierdząc, że w razie odrzucenia go, kobiéta mogłaby wbrew woli męża wstąpić na scenę, co zniszczyłoby nieodwołalnie harmonię domową. Odpowiedziano na to, że wstąpienie męża na scenę również może ujemnie wpłynąć na wspólne pożycie, a jednak prawo nie pozwala żonie unieważnić jego ewentualnéj umowy z dyrekcyą teatralną. Nareszcie po odrzuceniu kilku wniosków dążących do osłonienia żony przed samowolą męża, komisya przyjęła zmianę wychodzącą niewątpliwie na korzyść kobiet. W obecném brzmieniu paragraf 1258 daje mężowi prawo zerwania

umowy żony tylko wtedy, jeśli sąd opiekuńczy do tego go upoważnił; sąd zaś może to uczynić, jeśli czynności żony szkodliwie na stosunki rodzinne wpływają. Ważna różnica polega na tém, że nie żona, lecz mąż musi odwoływać się do decyzyi sądu, chcąc ze swego prawa użytek zrobić.

Drugą dłuższą dyskusyę wywołały prawa dotyczące stosunku majątkowego małżonków.

Jest to jeden z najsłabszych ustępów kodeksu, i w nim najwięcéj może się odbiło niejasne i chwiejne stanowisko ustawodawców. Sprawiedliwość przyznać nakazuje, że usiłowali oni ile możności zabezpieczyć majątek żony przed samowolą męża. Ponieważ jednak w duchu dawnéj tradycyi przewagę mężowską utrzymać pragnęli, ponieważ materyalna niezależność mężatki wydawała im się zbyt niebezpieczną nowością i jakoby pokrzywdzeniem powagi i władzy mężczyzny, uciekli się do tysiaca wybiegów i półśrodków, które niezmiernie sprawę wikłają, których użycie w ważnych wypadkach staje się niepraktycznėm i bezcelowém, a zbytecznėm zupełnie tam, gdzie kobieta przezorna i praw swych świadoma zawczasu postara się wolność swą zabezpieczyć.

Wniosek barona Stumma o wprowadzenie zupełnego rozdziału majątkowego jako normy prawnéj, mimo gorącéj obrony stronnictwa rządowego i partyi wolnomyślnych, odrzucono. Niemniéj jednak taki rozdział majątkowy staje się według nowego prawa możliwym, o ile kobiéta w przedślubnéj umowie o niego się postara, wolno bowiem ludziom wstępującym w związki małżeńskie regulować wzajemne stosunki majątkowe na kilka sposobów. Zupełną niezależność zagwarantować sobie może żona, wykluczając przedślubnym kontraktem t. zw. wspólność zarządu i używalności. Wówczas następuje zupełny rozdział majątkowy i każde z małżonków samodzielnie swemi interesami zarządza. Jeśli przed ślubem żadna umowa zawartą nie została, znajduje zastosowanie norma prawna t. j. tak zwana wspólność zarządu. Owa wspólność polega na tém, że wszystko, co żona posiada, staje się majątkiem wniesionym i przechodzi pod zarząd i w używalność męża. I przy tym systemie jednak pozostawiono kobiecie maleńką furtkę do niezależności materyalnéj, wyróżniając od wniesionego t. zw. wyłączony majątek. Do wyłączonego majątku, niepodlegającego zarządowi męża, należy: 1) to co żona własną pracą lub samodzielnie prowadzoném przedsiębiorstwem zarobi; 2) co w kontrakcie małżeńskim jako wyłączony majątek oznaczono; 3) to co żonie testamentem lub darowizną przekazane zostało z zastrzeżeniem, iż ma stanowić jéj wyłączony majątek. Prawo mężowskiego zarządu nie rozciąga się również na

przedmioty do użytku osobistego przeznaczone, mianowicie ubranie, klejnoty, narzędzia pracy. Rozdzielanie majątku wniesionego i wyłączonego wprowadza nie małą gmatwaninę do tego ustępu kodeksu, i dziś już sprawia, że niektóre jego paragrafy mylnemu tłomaczeniu podlegają. Tak np. rozeszła się wieść, że przysługuje mężowi prawo zarządzania osobistym zarobkiem żony. Powód do tego mniemania dało zdanie zamieszczone w paragrafie 1346: „Zum eingebrachten Gute gehört auch das Vermögen, das die Frau während der Ehe erwirbt" (wniesionym majątkiem jest i taki, który żona w czasie pożycia małżeńskiego zarobi). Z powyżéj jednak przytoczonego określenia wynika, że wyraz „erwirbt" nie jest użyty tutaj w sensie osobistego zarobku, lecz raczéj zysku, wskutek czego pod zarząd męża dostać się może majątek przez żonę w spadku otrzymany, zdobyty wskutek pomyślnie przeprowadzonego procesu, zysk wynikający z podniesienia się ceny ziemi lub papierów publicznych, słowem wszystko, czém się żona zbogacić może, wyjąwszy tego, co własnéj, samodzielnéj pracy zawdzięcza.

System wspólności zarządu sam przez się już wymaga dość zawiłych kombinacyi. Są interesa, do których mąż potrzebuje zezwolenia żony, luż żona zezwolenia męża,—inne, w których każde samodzielnie rozporządzać może. Koszta zarządu w pewnych razach pokrywać ma mąż z własnéj kieszeni, w innych obciążają one majątek wniesiony. Znajdują się np. ścisłe określenia, w jaki sposób mąż ma zużytkowywać gotówkę do majątku żony należącą, w jaki sposób przyjmuje odpowiedzialność za przedmioty zużyte i zniszczone i t. p. Wszystkie te drobiazgowe przepisy w praktyce żadnego prawie nie mają znaczenia, jak również nie mają znaczenia prawne środki, które wniesiony majątek przed lekkomyślnością lub marnotrawstwem męża chronić winny. Nawet żądanie zabezpieczenia majątku żony o tyle tylko odpowiada celowi, o ile mąż posiada jakąś nieruchomość, na któréj sumę żony zahypotekować można,—i o ile ostrożność tę przedsięwzięto dość wcześnie, zanim lekkomyślny małżonek zdążył strwonić otrzymany posag. To samo w wyższéj jeszcze mierze odnosi się do prawa, które pozwala żonie wnieść skargę o zniesienie wspólności zarządu. Skarga taka bywa zwykle owocem gorzkiego doświadczenia, które kobiéta znacznemi stratami majątkowemi okupiła. Że zaś one z góry przewidzieć się nie dadzą, trudno im w porę zapobiédz. Wobec rozległego zakresu swobody mężowskiéj, mężczyzna może w jedną noc majątek swéj żony w karty przegrać, zanim właścicielka jego dowié się o tym fakcie.

Przeciwko tak określonym prawom majątkowym podniosła się zarówno w komisyi jak i w parlamencie bardzo poważna opozycya, do któréj, jak wspomniałam, przyłączyło się stronnictwo rządowe z baronem Stummem na czele. Przytaczano wiele ważnych argumentów, powoływano się na stwierdzoną już u znacznéj większości kobiet zdolność do prowadzenia interesów, na wykazaną przez nie ostrożność, oszczędność i zaradność, nie dającą się zaprzeczyć wobec faktu, że znacznie większy procent mężczyzn niż samodzielnych kobiet podlega ruinie majątkowéj. Podnoszono również i stronę moralną kwestyi, dowodząc, że rozdział majątków wpłynąłby poniekąd na zmniejszenie się gonitwy za posagami, na poważniejsze traktowanie związków małżeńskich. Wprawdzie i w tym razie panny majętne niewątpliwie pożądańsze stanowiłyby partye, jednakże korzyści z bogatego ożenku wynikłe tylko takim mężczyznom przypadłyby w udziale, którzy szacunek i zaufanie żony pozyskać i trwale utrzymać umieją. Ta moralna strona proponowanéj ustawy nie trafiała do przekonania większości parlamentarnéj. Dążność do bogacenia się przez małżeństwo, widocznie bardzo zakorzeniona u męzkiéj połowy narodu niemieckiego, zdradziła się niezmiernie naiwnemi uwagami wypowiadanemi w komisyi. Istnieje paragraf, na mocy którego wolno żonie bez zezwolenia męża przyjąć lub odrzucić spadek. Otóż w komisyi stawiano wniosek o skreślenie tego ustępu ze względu na to, że mężowi może być bardzo potrzebnym majątek, którego żona się zrzeka. Nie jest to przecież jedyny w życiu wypadek, w którym człowiekowi cudze pieniądze potrzebnemi być mogą, nikt jednak nie ośmieli się ze względu na własną korzyść, rościć praw do tego, co należy do innych. Ci panowie jednak tak przywykli uważać majątki żon za swą niezaprzeczoną i nienaruszalną własność, że każdy samodzielny krok ze strony istotnych właścicielek wydaje im się po prostu uzurpacyą. Jest to pewnego rodzaju skrzywienie pojęć moralnych, które samo przez się dowodzi jakim anachronizmem w końcu XIX stulecia są dzisiejsze stosunki prawne w małżeństwie.

W obronie wspólności zarządu a przeciw rozdziałowi majątków jako normie prawnéj przytaczano jeden argument, który miał pozorną słuszność za sobą. Twórcy projektu dowodzili, że należy koniecznie zachować solidarność interesów w małżeństwie, że niesprawiedliwością byłoby wkładać na męża ciężar utrzymywania domu, a żonę od wszelkich obowiązków względem rodziny zwalniać. Proponowane przez obrońców równouprawnienia rozkładanie kosztów utrzymania w stosunku do dochodu małżonków, wymagałoby ciągłych obliczeń—jak się wyrażano, aptekarskich rachunków między małżeństwem. Przez

oddanie majątku żony pod zarząd męża, kwestya ta reguluje się w sposób prosty, gdyż dochody z niego w razie potrzeby użyte być mogą na utrzymanie wspólne. Przy bliższém wejrzeniu w sprawę, zarzut ten traci wszelkie znaczenie. Wspólność zarządu pozwala mężowi pokrywać wydatki wyłącznie z majątku żony, a swoje dochody kapitalizować, co przecież bynajmniéj pojęciom sprawiedliwości nie odpowiada. W razie rozdziału majątkowego, zgodne małżeństwa niewątpliwie bez wielkich trudności rachunkowych solidarność interesów oraz równowagę praw i obowiązków zachowaćby zdołały. W razie sporów kwestyę również dość łatwo rozwiązaćby można, zważywszy, że istnieje w Niemczech podatek dochodowy, który do corocznych a p t e k a r s k i c h obliczeń zmusza urzędników skarbowych. Ponieważ przy proponowanym systemie, dochody każdego z małżonków osobno byłyby opodatkowane, wszelkie zawikłania i wątpliwości same przez się upadają.

Cały ten ustęp kodeksu i w komisyi i w parlamencie przyjęto bez zmiany, co jest niewątpliwą krzywdą dla znacznéj większości kobiét, nie dość przezornych lub niedostatecznie poinformowanych, by zawczasu niezależność majątkową zabezpieczyć sobie mogły. Krzywda kobiét w bardzo wielu wypadkach staje się krzywdą dzieci, gdyż daleko częściéj zdarza się ojcom, niż matkom, grzeszyć lekkomyślnością i zaniedbywaniem swych względem rodziny obowiązków. Nie dowodzi to zresztą wyższości natury kobiecéj, lecz jest poniekąd wynikiem wychowania i zwyczajów panujących. Instynkt macierzyński ogólnie biorąc, silniejszym bywa, niż instynkt ojcowski, — a i po za tém kobiéta przeważnie przebywając w domu i bliżéj zżyje się ze swemi dziećmi i mniéj ma sposobności do trwonienia piéniędzy na pozadomowe rozrywki. Bez względu na to, że wychowanie dzieci głównie w jéj ręku spoczywa, że jest ono dla niéj najszczytniejszém powołaniem, jak zgodnie twierdzą wszyscy, a zwłaszcza obrońcy starego porządku, władzę rodzicielską wyłącznie piastuje mężczyzna. Tylko wtedy władza rodzicielska przechodzi w ręce matki, jeśli ojciec umrze, lub wskutek nadużycia praw swoich zostanie sądownie ich pozbawiony. Wdowa, wychodząc za mąż powtórnie, traci władzę rodzicielską nad dziećmi,— wdowiec żeniąc się nie traci jéj. Trudno przypuścić, aby obserwacya życiowa dawała powód do mniemania, że w pierwszym wypadku częściéj dzieje się krzywda dzieciom, niż w drugim. Rozwód nie narusza praw rodzicielskich ojca nawet względem tych dzieci, nad którémi opiekę matce powierzono. Ten ostatni ustęp zawiéra jedną z najbardziéj krzywdzących niesprawiedliwości, i pominąwszy prawa kobiéty,

wprost ze względu na wychowanie dzieci szkodliwym okazać się musi. Paragrafy odnośne przeszły bez zmiany, przyznano jednak matce, wykonywającéj władzę rodzicielską, prawo zastępowania dzieci w czynnościach prawnych, czego jéj pierwotny projekt rządowy odmawiał.

Najszerzéj zastosowano zasadę równouprawnienia w rozdziale ważnym wprawdzie, lecz dotykającym mniéj osobistych, mniéj żywotnych interesów kobiét, niż prawa małżeńskie i macierzyńskie. Jako opiekunka małoletnich, kobiéta została zupełnie w prawach swych z mężczyzną zrównana, co jest niewątpliwie ważną i pożyteczną w prawodawstwie nowością. Z chwilą wejścia w życie nowego kodeksu, t. j. od r. 1900, służyć będzie kobiétom prawo obejmowania opieki nad małoletniemi i zasiadania w radach familijnych. Pierwotny projekt rządowy nie szedł w tym względzie tak daleko, poprawkę odnośną uczyniono w komisyi pod wpływem dość charakterystycznych motywów. Uznano, że opieka nad sierotami jest zadaniem zupełnie dla natury kobiéty odpowiedniém, że wyzyskanie energii i zdolności jéj w tym kierunku może stworzyć dla niéj właściwe pole działania i odwrócić ją od „niezdrowych" prądów emancypacyjnych.

Obok téj racyi wypowiedzianéj głośno, świadomi rzeczy mogli nawiasowo dodać następujące wyjaśnienie. Ilość małoletnich, nad którymi potrzeba wyznaczyć opiekę, jest stosunkowo dość wielka, gdyż nietylko siéroty, lecz każde dziecko nieprawe otrzymuje opiekuna. Od przyjęcia opieki wymówić się nie można. Kwalifikacye wymagane nie każdy posiada, dzięki temu pewna kategorya mężczyzn bywa przeciążona obowiązkami względem dzieci, które ich nic a nic nie obchodzą. Chodziło tu więc o podzielenie się z kobiétami ciężarem, który niejednemu zawadza, a w takim razie równouprawnienie jest rzeczą pożądaną i zupełnie na czasie. Mniejsza zresztą o pobudki; mają one na razie znaczenie jedynie psychologiczne. Sam fakt rozszerzenia pola działalności kobiéty w tym kierunku jest i ze względów zasadniczych dużo wart i nie pozbawiony doniosłości praktycznéj. Mieści się w nim pewne uznanie jéj umysłowéj i moralnéj dojrzałości; a z drugiéj strony wątpić nie można, że prawo to szerokie znajdzie zastosowanie i że kobiéty z nowéj dla siebie roli choćby przez dobrze zrozumianą ambicyę będą się starały jaknajlepiéj wywiązać.

W zestawieniu z całością księgi praw rodzinnych, rozdział o opiece stanowi nowy dowód niekonsekwencyi prawodawców. Zajmując podrzędne stanowisko jako żona, jeszcze więcéj upośledzona jako matka — dopiéro w stosunku do cudzych dzieci odzyskuje kobiéta wszystkie prawa i absolutną równość z mężczyzną. Wobec tego nikt

twierdzić nie może, aby ograniczenie praw kobiéty w rodzinie wynikało z jakiéjkolwick rozumowéj zasady, lub miało na celu dobro potomstwa. Jedynym jego zrozumiałym motywem jest obrona interesów i przywilejów mężczyzny, a zatém czynnik zupełnie egoistyczny — choć bardzo naturalny, bardzo ludzki, bardzo pospolity.

I tu znów stwierdza się wypowiedziana przezemnie na wstępie uwaga, że uchwały ciał prawodawczych nie są zwycięstwem idei lub zasad, lecz rezultatem starcia się sprzecznych interesów.

J. Moszczeńska.



Z POEZYI
Pawła Verlaine'a.

Moje zwykłe marzenie.

(Z „Poèmes Saturniens").

Śnię często — przejmująco, dziwnie — o nieznanéj
Kobiécie. Ja ją kocham, i kocha mnie ona.
Nigdy całkiem ta sama, ni całkiem zmieniona,
Kocha mnie, i pojmuje, i goi me rany.

Bo ona mnie pojmuje! Serca mego ściany
Dla niéj jednéj przezrocze, zagadki zasłona
Dla niéj jednéj opada! Gdy skroń ma znużona,
Ona jedna ją chłodzi rosą łzy wylanéj.

Krucze, lniane czy złote są jéj włosy wiotkie,
Nie wiem. Imię? Pamiętam, że dźwięczne i słodkie,
Jak imiona najdroższych wygnańców żywota.

Spojrzenie jéj podobne posągów spojrzeniu,
A głosu dalekiego, cichego pieszczota
Ma dźwięk głosów kochanych, zmilkłych w grobów cieniu.

Rozmowa sentymentalna.

(Z „Fêtes galantes").

W starym parku samotnym, śród wieczornéj mgły,
Dwie postaci przed chwilą wolnym krokiem szły.

Oczy zgasłe, uwiędła krasa ust różowa,
I ledwie dosłyszalne są ciche ich słowa.

W starym parku samotnym, śród wieczornéj mgły,
Dwie mary wskrzeszać chciały dni minionych sny,

— Pamiętasz nasze dawne szałów uniesienia?
— I po cóż chcesz pan u mnie takiego wspomnienia?

— Na me imię czy zawsze serce twoje drgnie?
Czy zawsze duszę moją w snach widujesz? — Nie.

— Ach, niewysłowionego szczęścia złote zorze,
Kiedyśmy usta do ust cisnęli! — Być może.

— O, modrość owych niebios! o, nadziei wzlot!
— Nadzieja pierzchła w bólu za chmur czarnych splot.

Tak szli, gdzie traw zdziczałych łąka legła płowa,
I noc tylko słyszała szeptane ich słowa.

(Z „La bonne chanson").

V.

Zanim, ranna gwiazdo blada,
Z lazurowych zejdziesz łąk,
— W cząbrach stada
Przepiórczane dzwonią wkrąg —

Zwróć ku piewcy, który oczy
Ma miłosnych pełne śnień,
— W nieb roztoczy
Już skowronek wita dzień —

Zwróć spojrzenie, co w jasności
Już się topi rannych zórz;
— O radości
Pośród łanu złotych zbóż! —

Potém myślą zaświeć moją
W dali tam — och! w dali, tak!
— Rosy stoją
W trawy źdźbłach, dyamentow szlak —

W słodkie sny, pieszczące miętko
Drużkę mą, co jeszcze śpi...
— Prędko, prędko,
Bo już oto słońce lśni!

VI.

Biały sierp wązki
Wzeszedł nad bór:
Z każdéj gałązki
Świegotów chór
Płynie gęstwiną...

O, ma dziewczyno!

Stawu tajemne
Lustro bez dna
Odbija ciemne
Wierzb sennych tła,
Gdzie wiatr wspomina...

Marzeń godzina.

Ogromna, tkliwa
Cichość i mir
Z szafirów spływa,
Z gwiaździstych lir
Słodko się chyli!...

O, czar téj chwili!

XIX.

A więc to będzie w jasny, letni dzień:
Weselne słońce, spólnik méj radości,
Zrobi piękniejszą—w szat białych świetności—
Twą drogą piękność—od prawdy i śnień;

Niebo niebieskie, jak namiot wysoki.
Fałdów przepychem wokół naszych czół
Drgać będzie szczęsnych, lecz przybladłych wpół
Z oczekiwania, z błogości głębokiéj;

I przyjdzie wieczór, wonny oddech róż
Pieścić się będzie, igrać z twym welonem,
A gwiazd orszaki okiem uśmiechnionem
Pozdrowią szczęsnych — nowożeńców już!

(Z „Romances sans paroles").

Il pleut doucement sur la ville.
A. Rimbaud.

Łzy mżą na dnie serca,
Jak deszcz mży ponad miastem.
Cóż za ból się wwierca
Aż do głębi serca?

O, słodki szelest deszczu
Na ziemi, na dachach!
Dla serca w męki dreszczu —
O, ten miękki śpiew deszczu!

Łzy mżą bez przyczyny
W sercu, które się dręczy.
Co? żadnéj zdrady, winy?
Ten żal — bez przyczyny.

Najgorsza to z żałości,
Gdy się nie wié, dlaczego...
Bez złości, bez miłości,
Serce w takiéj żałości!

(Z „Sagesse").

Nieba widać, przez dachu kąt,
Modrość i ciszę.
Drzewo jakieś, przez dachu kąt,
Liście kołysze.

Dzwonek w niebie, widocznėm stąd,
Dzwoni cichutki,
Ptak na drzewie, widocznėm stąd,
Śpiėwa swe smutki.

Boże, Boże, życie jest tam,
Proste, spokojne.
Ten łagodny pogwar ot tam
To miasto rojne.

Cóżeś zrobił, ty, co, tak sam,
Szlochasz w żałości,
Cóżeś zrobił, ty, co-ś tak sam,
Ze swėj młodości?

Sztuka poetycka.

(Z „Jadis et Naguère").

Gędźby nad wszystko, gędźby w każdėj chwili!
Przeto wiersz raczėj Nieparzysty bierz,
Mglistszy, płynniejszy, rozpuszczasz go, gniesz,
Nic w nim, co cięży lub się nie uchyli.

Pamiętaj także, przy wyborze słów,
Zbyt nie unikać niedbałości pewnėj:
Oh, nic milszego od piosnki rozwiewnėj,
Gdzie się Niepewne z Pewnėm łączy znów.

To piękne oczy za gazy zasłoną,
To południowy, złoty, drżący pył,
To, gdy jesienny ziemię pomrok skrył,
Błękit z gwiazd jasnych tonią niezgłębioną.

My chcemy tylko odcieniowych smug,
Nie barwy świetnéj, nie, tylko Odcienia!
Oh! mgła odcienia jedyna spromienia
Sny z marzeniami, z fletnią tęskny róg!

Sensów końcowych strzeż się najprzykładniéj,
Nieczystych śmiéchów, złéj Dowcipu gry,
Przez które cieką z ócz Lazuru łzy, —
I wszystkich czosnków tych kuchni czeladniéj!

Kark bez wahania retoryce skręć!
A dobrze zrobisz, w energii rozpędzie,
Gdy przytrzesz Rymom zbyt lśniące krawędzie.
Nie strzeż? — Zobaczysz, gdzie je porwie chęć!

O, któż wypowié wszystkie Rymu grzechy?
Dzieciak ogłuchły, lub negr wściekły snadź
Musiał jarmarczny ten klejnot nam dać,
Co fałszywemi brzmi grzechotek echy!

Gędźby jedynie, zawsze, wszędzie dbaj!
Niech wiersz twój będzie czémś nagłém w przelocie,
Co—czujesz—pierzcha z duszy już w nawrocie
W innych miłości, innych niebios kraj.

Niech wiersz twój będzie szczęśliwą przygodą,
Którą ci wiatru porannego pęd
Przywiał z woniami tymianków i mięt...
Reszta jest tylko literacką modą.

Niemoc.

(Z „Jadis et Naguère”).

Jam jest Cesarstwo rzymskie u schyłku konania,
Które, patrząc, jak idą Barbarzyńce białe,
Układa akrostychy wytworne, niedbałe,
Stylem złotym, gdzie niemoc sennych słońc się słania.

Duszy samiutkiéj, mdło aż, w nudzie, co ochłania.
Zkądciś tam wieści niosą walk olbrzymich chwałę.
O, nie módz, przez tę słabość, przez żądze tak małe,
O, nie chciéć zaznać nieco tego falowania.

O, nie chciéć, o i nie módz umrzéć chociaż nieco!
Wszystko wypite! Ty tam, nie śmiéj się z mych żali!
Wszystko, wszystko wypite! zjedzone! — Cóż daléj?

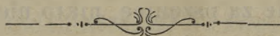
Tylko garść słabych wierszy, co ot w ogień lecą,
Tylko niewolnik nicpoń, co nie dba o pana,
Tylko ból jakiéjś troski, co źre pierś, nieznana.

Przełożył *Miriam.*



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]



II.

W kilka dni potém na jedną z małych stacyi kolei Wiedeńskiéj wpadł pociąg pośpieszny, wyrzucił z siebie dwóch podróżnych i odsapnąwszy, poleciał daléj.

Podróżnymi byli Krępic i Znamieniecki.

Nie wchodząc wcale do poczekalni, obadwaj z kuferkami w rękach przeszli korytarz i stanęli na cementowych schodach wychodzących na podwórze, a w téjże chwili wąsaty stangret, siedzący na koźle węgierskiego wózka, rozwinął bat nad czwórką szpaków, zajechał z wielką fantazyą przed owe schody i z uśmiéchem widocznego zadowolenia zdjął ceratową czapkę.

Krępic i Znamieniecki zdjęli także swoje, a ten ostatni zawołał:

— Jak się macie, Pipczyński!

— A dobrze, proszę jaśnie... proszę wiel... proszę pana—brzmiała zadowolona odpowiedź.

Znamieniecki parsknął wesołym śmiechem i rzuciwszy: — „coś

---

[1]) Patrz zeszyt styczniowy „Ateneum" r. b., str. 10.

wam nie idzie, obywatelu Pipczyński!" — ulokował w wózku najpiérw kuferki, a potém kolegę i siebie.

Konie pomknęły rżąc i wyrzucając głowami i zaraz za stacyą wpadły na wązką, twardą drogę, z któréj dwóch stron ciągnęły się dwa łany żyta, rozkołysanego w słońcu i podobnego to do szarego stepu, to znów do migotliwego oceanu. Młodzi się rozejrzeli, całą piersią wciągnęli nieokréślony, lecz upajający zapach pól, a Znamieniecki, co chwila przesuwając ręką po kłosach, które to się nachylały, to podnosiły i prawie muskały koła węgierskiego wózka, zwrócił się do wąsatego woźnicy.

— Co słychać, Pipczyński?

— A nic—odparł stary, nie odwracając głowy. — Wej nie dali jak wczora, przedaliśma Górki...

Znamieniecki drgnął lekko i dopiéro po pewnéj chwili rzucił nowe pytanie:

— Cóż to, nie urodziło się, czy co?

— Ee! ni. Fur była moc i sypało nikiej mak, ale jak te psie pary żydy się zawzieni i cięgiem dajom nie całe trzy ruble za żyto, a bez mała po štyry ruble za pszenicę, nikto nie wstrzymo i Miemiec-by zbenkrotował.

Pipczyński podrapał się frasobliwie koło ucha, zaklął na podręczną i nie mogąc się doczekać żadnéj nowéj uwagi ze strony młodego pana, począł ciągnąć daléj sam:

— Bezmała dwadzieścia pięć lat, tośma mieli Karolówkę, Górki i Wygróbkę; potém zamanówszy przybywało—to Leszczyny, to Karniki, to Przyręba, a tero to już wej cięgiem na ocip. Poszła Przyręba, dyabli wzieni Karniki, chłopi Wygróbkę, tero Miemiec Górki i tylo!... Zeby tak z pseprosenieni jasna pani ockła, toby pewnikiem znowuk się... zamerła od żałości.

Stary huknął z bata, zaklął na podręczną, poczém mruczał:

— Psie krwie żydy parchy—wyszczuć psami, abo co?

Znamieniecki nie chwytał już ręką kłosów, tylko siedział zamyślony, Krępic od czasu do czasu na niego spoglądał, a konie tymczasem rwały na wyścigi z wiatrem, minęły wspaniały las dębowy i wydostały się na wzgórze, z którego oko widza mogło objąć przestrzeń znaczną.

Po lewéj stronie drogi, ciągnął się wciąż las dębowy, naprost i po prawéj nieprzejrzane łany i łąki, a z pysznéj zieleni tych łąk spoglądało w niebo olbrzymie, połyskliwe oko—jezioro.

To jezioro leżało jakby w szerokim jarze, na którego przeciwległych, łagodnych stokach, widać było zdala zabudowania, ogrody i białe chaty dwóch dużych folwarków.

Ten z rozległym ogrodem, dochodzącym do samego brzegu jeziora, to Kamionka Olchowiczów — drugi, z błyszczącemi wieżyczkami kościoła i płaskim dachem dworu, to Karolówka, rodzinny majątek Znamienieckich.

Teraz droga zakréśliła wielkie półkole, jakiś czas jeszcze się wiła między łanem żyta i pszenicy, poczém skręciła pod kątem prostym na lewo. Wózek mknął po łagodnéj pochyłości, tuż koło parkanu ogrodów Kamionki, a potém wpadł w jar i posuwał się przez łąki, cicho jak ptak.

Znamieniecki odwrócił głowę, rzucił wzrokiem na gontowy, śpiczasty dach, wyglądający ciekawie z morza zieleni i znów rozpoczął gawędę z Pipczyńskim.

— A cóż tam nowego w Kamionce?—zapytał.

— A nic. Jak pan Rodziewicz zbenkrotował, to i tam się tero wylizać nie mogą. Pani Rodziewiczowa przyjechała z dziećmi na lato i panienka ze śkoły tyz.

— Pamiętasz Rodziewiczów? — zwrócił się do Krępica Znamienieckiego.

A Krępic, który przed czterema laty spędził był wakacye w Karolówce, ujrzał teraz przed oczami jak żywych, grubego Olchowicza, szczupłą i suchą panią Olchowiczową, słodką twarz pięknéj panny Maryi Olchowiczówny i wesołą, junacką jéj narzeczonego — Jana Rodziewicza.

— Pamiętam—rzekł—ale nie rozumiem, bo przecież Rodziewicz uchodził za zamożnego.

— Tak, ale tylko uchodził. Ta opinia o wielu obywatelach została jeszcze z czasów, kiedy płacono szesnaście, albo i więcéj rubli za parę. Jak zaczęto brać po ośm, medale poczęły się odwracać z zadziwiają szybkością.

Umilkł i po małéj chwili ciągnął daléj w zamyśleniu.

— Trochę to jednak dziwne, że oni jakoś nie umieją się przystosować do nowych warunków. Przecież powinna być jakaś rada, aby, jeśli nie dorabiać, to choć utrzymać w rękach to, co mają. No! co prawda mój ojciec trzymał w rękach za dużo, bo miał poprostu pasyę nabywania ziemi... ale, ja właściwie nie znam ani jego rachunku, ani téż stanu majątkowego. Nad zmianą warunków zastanowiłem się pierwszy raz dopiéro wtedy, gdy ojciec odwołał mnie z Lipska i miał do mnie długą przemowę, o konieczności posiadania w ręku produk-

cyjnego fachu, na wypadek, gdyby się złe czasy nie poprawiły. Wtedy to mi się wydało trochę dziwne, trochę zabawne, ale jeśli teraz jeszcze sprzedał Górki — hm...

Urwał i zamyślił się głęboko, Krępic wpadł także w zadumę, a wózek, minąwszy jezioro, począł się teraz wspinać na przeciwległe wzgórze, poczém skręcił i wtoczył się w długą aleę kasztanową, na któréj końcu migotały białe ściany i cynkowy dach pałacyku.

Teraz Pipczyński huknął z bata ze wszystkich sił, wielkim kłusem przejechał aleę, okrążył wielki kląb, na którym wieńcem kwitły sztamowe róże i pięły się festony dzikiego wina i pod kolumnami podjazdu osadził konie na miejscu.

Młodzi wyskoczyli, a w téj saméj chwili po białych stopniach ganku zbiegł chłopak w szaréj liberyi, zabrał rzeczy i w chłodnéj sieni zdjąwszy z obu przyjaciół zwierzchnie ubranie, oznajmił, że jaśnie pan jest w gabinecie.

Więc Znamieniecki nacisnął klamkę drzwi prawych i puścił kolegę przed sobą.

W dużym, bezsłonecznym pokoju, o dwóch oknach, zasłoniętych szaremi roletami, przy wielkiém, dębowém biurku, na którém piętrzyły się stosy papiérów i szarych ksiąg rachunkowych, siedział ojciec Zygmunta, Stanisław Znamieniecki.

Na widok młodych ludzi położył pióro, wstał i bez uśmiechu, z jednakim wyrazem na twarzy, podał rękę obudwóm.

Był wysoki i szczupły, włosy miał jasne, gdzieniegdzie przeświecające srebrem i przerzedzone nad czołem, oczy blado-niebieskie, bystre i chłodne, nos rzymskiego patrycyusza i bardzo wąskie usta. Wzbudzał coś w rodzaju poszanowania, czy bojaźni, ale przeważnie szedł od niego chłód.

Krępic się skłonił i uścisnął podaną rękę, Zygmunt poniósł ją do ust i patrzył w oczy ojca z wyrazem, w którym obok zwykłego rozmarzenia, widać było teraz radość.

Ale twarz chłodnego mężczyzny pozostała niewzruszenie spokojną. Zlekka ścisnął palce syna, ustami musnął jego włosy, poczém ruchem ręki wskazując młodym miejsce na szeslongu, który stał wysunięty na środek pokoju, siadł w swoim fotelu i zapytał głosem zadziwiająco dźwięcznym i czystym.

— Podróż musiała was, panowie, zmęczyć, bo zdaje mi się, że dziś jest upał.

— Nie — zaprzeczyli obadwaj, a Krępic dodał — że czas jest bardzo ładny, że oni zatrzymali się w Warszawie dwa dni i że po

takim wypoczynku, dzisiejsza podróż nie mogła ich zmęczyć żadną miarą.

Wtedy, po dość długiém milczeniu, Znamieniecki rzekł:

— W takim razie byliście pewno, panowie, u Rotte'go?

— Byliśmy — odparli równocześnie, szybko się podnosząc, a Zygmunt wyciągnął do ojca rękę i zawołał żywo.

— Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, że pamiętałeś nietylko o mnie. Andrzéj był tak przejęty twoją dobrocią...

Ale Znamieniecki nie dał mu skończyć. Wzruszył ramionami obojętnie, utkwił swoje iście stalowe oczy w twarzy Krępica i rzekł wolno.

— Tylko nie poczuwaj się pan do żadnéj wdzięczności, bowiem ja, w każdym interesie, przeważnie, mam własną korzyść na celu. Uważam pana za człowieka praktycznego i trzeźwego, a że dla Zygmunta wpływ takiego towarzysza jest nader pożądany, że pragnę, byście panowie byli razem jak najdłużéj, przeto tylko w tym celu, mówiłem o panu z Rotte'm. Jeżeli kiedykolwiek będzie kto komu dłużny, to prawdopodobnie tylko ja panu.

Młodzi usiedli w milczeniu na dawném miejscu, Znamieniecki zaś, dodawszy jeszcze obojętnie — że panu Krępicowi nie potrzebna protekcya, bo zbyt dobre pozostawił wspomnienie w fabryce — umilkł także i z wielką uwagą począł się przyglądać swoim paznogciom, które miały kształt migdałów i były bardzo starannie oszlifowane.

Zygmunt utkwił oczy w dywanie zaściełającym pokój, Krępic w krajobrazie Klaudyusza Lorrain'a, wiszącym nad biurkiem gospodarza domu, obadwaj doznawali wrażenia, którego najściślejszém określeniem byłby prawdopodobnie wyraz — zimno; i w tym dużym, przyćmionym pokoju, zapanowała teraz cisza tak zupełna, że brzęczenie jedynéj muchy, która się rozbijała rozpaczliwie o szyby okna, stawało się wprost denerwującém.

Gospodarz domu przerwał milczenie pierwszy. Oderwał oczy od swych cienkich palców, zwrócił je w stronę szeslonga i zapytał głosem, jak zwykle, miarowym:

— Czy nie będzie to z méj strony zbyt niedyskretném, jeśli zapytam obu panów o ich najdalsze plany i nadzieje na przyszłość? Wiem, że młodzi, a zwłaszcza téż pionierzy pewnych klas, są ambitni, mają zazwyczaj szerokie skrzydła i dążą wysoko. Ja tego nie ganię, chciałbym i w Zygmuncie odkryć podobne dążenia, i dlatego byłbym panu, panie Krępic, bardzo obowiązany, gdybyś zechciał choć częściowo wtajemniczyć mnie w swoje zamiary co do przyszłéj karyery.

Krępic podniósł na pytającego wzrok, w którym wyraźnie się malowało żdziwienie i jakby wahanie i rzekł po krótkiéj chwili namysłu.

— Moje zamiary są bardzo proste i zwyczajne, więc łatwo mi być szczerym. Chcę przedewszystkiém pracować, a o karyerze nie marzę, bo wiem, że ją trudno zrobić.

Znamieniecki zaczął znowu oglądać paznogcie i nagle zwrócił się do syna.

— Czy i ty hołdujesz tym samym ideałom, co pan Krępic? — zapytał, nie patrząc na niego.

A Zygmunt zaczerwienił się, lecz odparł dość stanowczo:

— Tak, ojcze, i mam zamiar nie sprzeniewierzyć się im.

— Taak?—powtórzył Znamieniecki przeciągle, a w tym jednym wyrazie zmieściło się i żdziwienie i coś w rodzaju zawodu i ciekawość, a przedewszystkiém szyderstwo.

W pokoju zapanowała znowu cisza, przykrzejsza teraz niż poprzednio i trwała póty, póki Znamieniecki nie skończywszy nowego przeglądu palców, nie podniósł się, mówiąc:

— Mam nadzieję, że jeszcze pomówimy w tym interesującym przedmiocie, tylko późniéj. Teraz idźcie, panowie, odświeżyć się po podróży i za małe półgodziny przychodźcie na obiad. Porządek u mnie nie zmieniony. Obiad o szóstéj, po za tém proszę nie krępujcie się zupełnie i po pracy odpoczywajcie w taki sposób, jaki wam się wyda najodpowiedniejszym.

Zygmunt i Krępic podnieśli się także i wyszli. W przedsionku, u wejścia na szerokie schody, wiodące na pierwsze piętro, czekała na nich pani Kulasińska, zwana Bonią.

Zobaczywszy młodych, najpierw dygnęła głęboko, poczém, gdy ją Zygmunt za ręce schwycił, z wielkiém uszanowaniem nachyliła się i pocałowała go w ramię.

Zygmunt uczynił to samo, ale rąk jéj nie puszczając, począł teraz z wesołym uśmiechem patrzéć w jéj oczy, wyblakłe i mrugające z zadziwiającą szybkością. Wtedy stara się rozpłakała, wyrwała ręce i objąwszy go za głowę, całowała w oczy, w czoło i we włosy.

A Zygmunt wciąż się uśmiechał i mówił żartobliwie:

— Otóż to! Bonia chciała się już wyprzéć Zygmusia, chciała go przywitać tak samo, jak pana Olchowicza z Kamionki, ładnie—bardzo ładnie Boniu...

Na to Bonia rozpłakała się jeszcze rzęsiściéj i przez łzy poczęła powtarzać, a głos jéj się urywał co chwila.

— Ładny mi Zygmuś... mężczyzna jak się patrzy... wielki pan... wąsy już widzę urosły, a Bonia głową nawet do ramienia nie sięga... tak.

Za każdym powrotem młodego Znamienieckiego, próbowała go witać z szacunkiem należnym przyszłemu dziedzicowi i za każdym razem płakała z rozczulenia, odkrywając w nim nie zmienionego, dawnego Zygmusia.

Teraz oczy fartuchem obtarła i uśmiéchając się do własnych myśli, a sapiąc, poczęła obu młodych prowadzić na górę.

Była to osoba okazałéj tuszy i posiadała poczciwą twarz, o szerokości niezwykłéj. Ongi, jak to twierdziła sama, miała być przystojną i obfitującą w konkurentów, ale za mąż nie wyszła, bo zanadto ceniła swoją godność szlachecką i za bardzo się przywiązała do swéj wychowanki, przy któréj spełniała urząd bony i z którą się nie rozstała nawet wtedy, gdy pan Stanisław Znamieniecki wywiózł młodą żonę z domu rodziców i uczynił panią Karolówki. Matka Zygmunta przywykła uważać swoją dawną wychowawczynię więcéj za przyjaciółkę niż za sługę, a gdy młodéj kobiéty nie stało, Bonia wszystkie tkliwsze uczucia, mieszczące się w jéj szerokiéj piersi, przeniosła na Zygmunta. Do gospodarza domu miała pewne uprzedzenia, a właściwie bała się go, że jednakże okazał jéj wielkie zaufanie i w jéj ręce złożył zarząd całego Karolowieckiego dworu, nie opuszczała go i bez wielkiéj energii, ale z nieposzlakowaną uczciwością, przyjęte obowiązki wypełniała.

W długim korytarzu młodzi minęli drzwi kilkoro, poczém Bonia otworzyła jedne i pierwsza wtoczyła się do dużego, balkonowego pokoju, który drzwiami przysłoniętemi portyerą, łączył się z drugim podobnym. Czysto tu było jak w szklance, na biurku i na stole przed kanapką, stały wielkie bukiety żółtych róż, widocznie rękami Boni ułożone, bo niezbyt zgrabne, zapuszczone rolety powstrzymywały nawałę słoneczną, a gorące półświatło, atmosfera przesycona zapachem kwiatów i miły chłód, czyniły wrażenie przyjemne i wręcz przeciwne temu, jakie się odbiérało w gabinecie gospodarza domu. Bonia obrzuciła oba pokoje badawczym wzrokiem, sprawdziła czy właściwe materace włożono w łóżka i nie znalazłszy nic do poprawienia, rzekła:

— Rozgośćcie się chłopcy i zaraz przychodźcie na obiad, bo niedługo każę podawać.

Poczém wyszła, sapiąc i oddychając ciężko. Zygmunt tymczasem poskoczył do okna, podniósł roletę, a gdy złotawy potok światła zalał ściany, meble i posadzkę, otworzył jeszcze drzwi balkonowe i wybiegł.

Krępic poszedł za nim i ujrzał widok, który już przed cztérema laty zachwycał go, kolegę zaś zawsze rozmarzał.

Jezioro leżało im u nóg, a było tak błękitne i takie ciche, jakgdyby zahypnotyzowane światłem i milczeniem. Na przeciwległym brzegu, Kamionka, cała w zieleni i w blaskach, wygrzéwała się na słońcu i przeglądała w wodzie. Na prawo, świéżo skoszone łąki ciągnęły się aksamitnym szmatem, aż hen, pod stopy dąbrowy; na lewo — błękit i błękit bez końca, pocentkowany gdzieniegdzie srebrem skrzydeł mewy, a nad tém wszystkiém jakaś mgławica nieuchwytna, niedojrzana, ale przemawiająca rozmarzeniem, zadumą i tęsknicą słodką, choć bezdenną.

Zygmunt wyciągnął ramiona, jak gdyby chciał to wszystko przygarnąć do siebie i wchłonąć, a potém je zarzucił nad głową i począł mówić rozmarzonym głosem.

— Nie masz pojęcia, jaka we mnie jest olbrzymia siła kochania! Konserwowano mnie w lodzie, ale wystarczą łzy Boni, albo ot taki szmat jeziora, by wszystko we mnie tajało i rozpływało się w jakąś słodycz, w jakąś tęsknotę, sam nie wiem za czém.

Opuścił ręce, stał tak chwilę i nagle położył dłoń na ramieniu Krępica.

— Słuchaj! — zawołał z żalem i nie odwracając oczu od szyby wodnéj —gdybym teraz nie miał ciebie i Boni, może palnąłbym sobie w łeb... Niech co chce mówi Kubacki, ale idea i miłostki, które jemu wypełniają życie, nie każdemu są w stanie wystarczyć za wszystko. Aby być szczęśliwym, trzeba jeszcze miéć choć jedno ciepłe, ludzkie serce, mniejsza z tém, ojca, siostry, czy żony, byle wiedziéć, że się je posiada, byle w nie wierzyć...

Na to Krępic uścisnął mu rękę silnie i rzekł:

— I ja nie mam ani jednego takiego serca, a jednak mam ochotę żyć i szukać szczęścia. Przytém, bardzo wierzę w tamtych i w ciebie i może dlatego, nie czuję się zupełnie sam.

— Ja także wierzę w ciebie — szepnął Zygmunt, poczém umilkli i nie puszczając rąk, stali tak póty, aż we drzwiach ukazał się służący i cichym głosem poprosił ich na obiad.

Obiady, jak to niedługo zauważył Krępic, były jedyną, niesłoneczną chwilą w Karolówce.

Siedząc na wprost spokojnéj, jakby zakrzepłéj postaci ojca Zygmunta, zdawało mu się zawsze, że zupa jest zamało gorąca. Patrząc na śnieżny obrus, na sztywne kryształy i cicho się snującą służbę, mimowoli zwracał się myślą w przeszłość, do niskiéj matczynéj zagrody, do fajansowego z szafirową obwódką talérza, do różowego barszczu, któremu podobnie dobrego nie jadł potém nigdzie i myślał, że szczęście, zamiast się ślizgać po wykwintnych posadzkach, woli się czasem ukryć pod słomianą strzechą, bo tam cieplej.

Ale po za obiadami przyjaciele nie widywali prawie gospodarza domu. Całemi dniami przesiadywał w gabinecie, samotnie, albo w towarzystwie licznych interesantów i wyjeżdżał często, oni zaś zrzucali wtedy z siebie lodową powłokę, która na nich krzepła pod spojrzeniem jego stalowych oczu, ze śmiechem pożywali we dwóch ranne śniadania i późne wieczerze, przy których zawsze im asystowała Bonia, po całych dniach wygrzéwali się na słońcu, gadali bez przerwy i bez zmęczenia i było im we dwóch dobrze.

Najwięcéj godzin spędzali w parku, w miejscu, gdzie pod staremi świérkami słońce się przedziérało z trudem i kładło na murawę żółte, drgające plamy i gdzie między gałęziami drzew błyskało jezioro.

Oni leżeli w hamakach, patrzyli w skrawki błękitu nieba albo wody, snuli wielkie projekty, marzyli głośno i nierzadko sprzeczali się zawzięcie. Za zobopólną zgodą nie czytali nic, ale po kilku dniach Krępic silniejszy fizycznie, uczuł, że ten bezmyślny wypoczynek, zaczyna go nudzić i nużyć. Więc począł rzucać różne projekty, mające służyć do racyonalniejszego zabicia czasu, ale natrafił na silny opór Zygmunta.

— Daj mi pokój—mówił tenże — nie jestem jeszcze zdolny do niczego i sama myśl o jakimkolwiek wysiłku myślowym, czy fizycznym, przeraża mnie.

Krępic przestał rzucać projekty, ale za to nie mogąc już sypiać tak długo, jak Zygmunt, począł wstawać wcześniéj i zaglądać coraz częściéj do biblioteki Karolowieckiéj.

Ta biblioteka — to był duży, o trzech oknach pokój, położony obok wielkiego parterowego salonu i sali bilardowéj. Obicia w nim były ciemne, szafy i stoły dębowe, duże i ciężkie, meble bardzo stare, pokryte bronzową, złoconą skórą. Czystość tu była wielka, ale chłód jeszcze większy, niż w całym Karolowieckim dworze. Krępic przed cztérema laty zapoznał się był bliżéj z tym pokojem i teraz strzeliła

mu nagle myśl uporządkowania biblioteki i pokatalogowania książek. Zwierzył się ze swoim zamiarem koledze, ale Zygmunt wzruszył ramionami i rzekł:

— Ojca się o to spytaj, bo jak widzisz, ja tu jestem prawie takim samym gościem, jak ty.

Więc Krępic podniósł swój projekt podczas obiadu i sankcyą najwyższą uzyskał nader łatwo.

— Jeżeli pan nie masz nic lepszego do roboty — mówił Znamieniecki—proszę, rób pan, co ci się tylko podoba.

A po chwili dodał:

— Tam nawet powinny gdzieś być dawne katalogi, ale wątpię, aby się teraz na co przydały. Kiedyś, już dawno, wychodząc z zasady, że książki są do czytania, pożyczałem je na wszystkie strony, ale że nikt nie oddawał, zamknąłem w końcu szafy i teraz to wszystko leży bezużyteczne. Przypuszczam, że znajdą się tam wielkie braki.

Mówił dłużéj niż zwykle, co mu się rzadko zdarzało i był zdaje się zadowolony z prośby Krępica, bo miał na wąskich ustach coś, jakby życzliwy uśmiéch.

— Czy pana już znudził wypoczynek? — zapytał jeszcze po krótkiém milczeniu.

— Trochę—odparł Krępic szczerze--jestem zanadto zdrów i silny, by absolutnie nic nie robić, a czytanie jeszcze mnie męczy.

— Zupełnie to rozumiem — zgodził się gospodarz — bo w wieku pana byłem tak samo energicznym i czynnym, ale Zygmunt wdał się ww...., nie we mnie.

Krępic słuchał go trochę zdziwiony.

— Zygmunt nie jest energiczny? – powtórzył.

— No, może się źle wyraziłem; czasami on umié być energicznym—nawet zanadto, ale to słomiany ogień, płomień duży, a popiołu potém jeszcze więcéj.

Zygmunt się uśmiéchnął trochę smutnie.

— Nie wiedziałem—rzekł,—że ojciec się stara zbadać moje wewnętrzne ja i że je ocenia tak trafnie.

A Znamieniecki zwrócił na niego oczy, które teraz były trochę mniéj błyszczące i dodał:

— Zresztą nie mam o to do ciebie pretensyi, bo pretensya nie zmieni stanu rzeczy, przytém—nie twoja w tém wina. Umilkł i wpadł w zwykłe zamyślenie, które fałdowało mu gładkie czoło w dwie pionowe zmarszczki, biegnące tuż przy sobie nad wydatnym nosem.

Krępic spędzał teraz całe ranki w bibliotece. Zygmunt niemal przemocą musiał go codziennie odrywać od zakurzonych foliałów, poczém go prowadził na śniadanie i na miłe *farniente* pod świerkami. Dobre to były dnie, pogodne, ciche i właśnie takie, o których późniéj wspomnienie, zamiast zachodzić mgłą, złoci się i ubiéra w uroki nie istniejące nigdy a zawsze świeże.

Ale jednego dnia, biblioteka zrobiła Krępicowi niespodziankę. Zauważył na dnie szafy, wielkie, płaskie pudło, i wyciągnął je z trudem. A gdy zdjął wierzch i sporą ilość arkuszy papieru, pokrywających zawartość pudła, z ciemnego wnętrza, z prześlicznie rzeźbionych w róże i rumiany, dębowych ram, spojrzały na niego rozmarzone oczy Zygmunta, osadzone w twarzy młodéj dziewczyny, idealnie pięknéj. Główka, w wieńcu białych róż na brązowych włosach, z wielkiemi szafirowemi oczami, z ustami wyciętemi na kształt łuku amora, w najmniejszym szczególe przypominała mu kolegę, a pomimo to, była głową anioła. Krępic nie miał pojęcia, by natura była w stanie uwięzić w twarzy ludzkiéj tyle pierwiastku poezyi, marzenia, ideału, jedném słowem zaświatowości.

Patrzył, przecierał obraz ścierką i znów patrzył prawie zamodlony, dziwiąc się potrochu, że anielska twarz dziewczyny nie rozpływa się w mgle, że nie odlatuje z ziemi, do swéj właściwéj dziedziny — w błękity.

— Matka Zygmunta! — pomyślał i nagle stanęła mu przed oczami postać kobiety, którą wyobraził był sobie dawniéj pod wpływem opowiadań pani Olchowiczowéj z Kamionki i różnych wzmianek kolegi.

— To nie była kobieta — mówiła pani Olchowiczowa, — to był żyd w spódnicy. Znamieniecki żył pieniędzmi i skupowaniem ziemi, to prawda, ale ona przeszła nawet jego. Razem z nim siadywała nad regestrami, wiedziała o każdym interesie, lepiéj od geometrów znała pomiary każdego majątku, lepiéj od adwokatów i rejentów przepisy prawne, ujadała się z żydami i z kupcami, a on był dumny z tego i nie robił nic bez niéj, bo przewyższała go sprytem i chciwością.

Ale gdy potém kupili Przyrębę od Bassiniego, karta się odwróciła i pokazały się jeszcze inne rzeczy. Bassini był chłopak ładny, pół włoch, pół polak, więc się pani zakochała i naraz, jak grom spadła wiadomość, że Znamieniecka uciekła od męża za granicę.

Miała dziecko, mąż ją kochał, była bogata, niczego jéj nie brakowało, ale jak kobieta raz przestanie być kobietą i zacznie się wdzie-

rać w prawa mężczyzny, zawsze się w końcu stoczy w błoto. Ona — Olchowiczowa, wiecznie jéj przepowiadała smutny koniec, i — przepowiedziała. Znamieniecka po kilku tygodniach napisała do męża, żeby jéj pozwolił wrócić do dziecka—w głowie takich kobiet, nawet takie rzeczy się mieszczą—jéj się to wydawało możliwem—no! ale Znamieniecki naturalnie nie pozwolił, a ona—zastrzeliła się, prawdopodobnie dla tego, że i tamten ją rzucił.

Tego ostatniego szczegółu pani Olchowiczowa nie była pewna, zwłaszcza iż chodziły wieści, że i Bassini w łeb sobie palnął, ale fakt faktem, że to była kobieta bez serca, bez zasad moralnych i bez religii.

Taki był obraz matki Zygmunta, kreślony przez panią Olchowiczową, która była kobietą dobrą i rzadko mówiła źle o drugich, Krępic więc starał się wyobrazić sobie panią Znamieniecką targującą się z kupcami, piszącą kontrakty, asystującą przy pomiarach ziemi, a tymczasem z rzeźbionych ram patrzyły na niego prześliczne oczy Zygmunta, a idealna główka zdawała się mówić: — jam jest kwiat uczucia, jam jest natchnienie, jam jest ideał, którego nic nie zdoła ściągnąć na ziemię.

Klęczał przed portretem i jak urzeczony wpatrywał się w czyste czoło dziewczyny uwieńczone różami, w to czoło, na które późniéj miała się targnąć samobójcza dłoń zrozpaczonéj kobiety. Zimny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy, a w tejże chwili wszedł do biblioteki Zygmunt.

Stanął za plecami Krępica, spojrzał i równocześnie schwycił go za ramię, mówiąc zniżonym głosem.

— Czemu ty to wyjąłeś.

A Krępic się podniósł, z wysiłkiem dźwignął ciężki portret, oparł go o ścianę i wskazując Zygmuntowi, rzekł:

— Gdybym był tobą, nie rozstawałbym się z tém ani na chwilę. Ta twarz, gdyby nawet nie była twarzą mojéj matki, dla mnie byłaby wsparciem — bodźcem do wszystkiego, co dobre.

Zygmunt się roześmiał, a ten śmiech był dziwny.

— Czy ty wiész co mówisz? — zawołał—Kubacki miałby tu jeszcze jeden dowód więcéj, na poparcie swoich twierdzeń o kobietach, więcéj nic.

— To nie prawda! — odparł Krępic z przejęciem. Popatrz ty w te oczy, zupełnie takie jak twoje, spójrz na to czoło i na te niewin-

ne, zupełnie dziecinne usta i pomyśl, że ta kobieta jest, a raczéj była tém, o co ją obwiniają. To jest niemożebne, to jest wprost przeciwne naturze! Ile ona miała lat, gdy wyszła za mąż?

— Siedmnaście, ten portret jest właśnie z tych czasów.

— Siedmnaście... — powtórzył Krępic i znowu utkwił oczy w obrazie—siedmnaście—dziecko—może o gorącém sercu i rozmarzonéj głowie, a przy niéj, twój ojciec Zygmuncie...

Popatrzył na przyjaciela i nagle począł mówić szybko, jakby w gorączce.

— Słuchaj, nie mam prawa poruszać tajemnic twojéj rodziny, nie dotykałem ich nigdy, pomimo, iż wiedziałem więcéj, niż przypuszczałeś, ale nieraz raziły mię twoje słowa, w których może bezwiednie zdradzałeś się z żalem do twojéj matki—mało z żalem, prawie z pogardą. Może ci to nie trafi do przekonania, ale mojém zdaniem, dzieci nie powinny sądzić rodziców, a zwłaszcza matki i tobie byłoby lepiéj gdybyś, zamiast się truć żalem, przebaczył i kochał jéj wspomnienie. Tak myślałem dawniéj, a teraz, gdym zobaczył tę twarz, wprost cię nie pojmuję. Toż ona nie mogła być winna, toż to musiał być anioł, któremu wyskubano pióra ze skrzydeł i kazano żyć—pieniądzem! Powiédz? — czy ty możesz sobie wyobrazić, dwudziestoletnią kobietę, z zamiłowaniem uprawiającą handel i ciułającą grosze? Ja nie — a jeszcze, gdy patrzę na twarz twojéj matki, po sto razy, nie! To musiała być nieszczęśliwa kobieta, to może była ofiara, która w szale, porwana miłością tamtego, spragniona jéj jak kwiat rosy, rzuciła wszystko i o wszystkiém zapomniała. A teraz pomyśl, jak ona musiała ciebie kochać, kiedy się opamiętała tak prędko i miała odwagę napisać list do twego ojca. Toż to było straszne upokorzenie dla kobiety, która umiała się zdobyć na samobójstwo!

Zygmunt stał oparty o poręcz wyzłacanego krzesła, a po jego twarzy, jak światła i cienie, przesuwały się różnorodne wrażenia i myśli. Krępic popatrzył na przyjaciela, jeszcze raz rzucił wzrokiem na twarz jego matki, idealnie dziewiczéj, a jednak podobnéj do syna, jak są do siebie podobne dwie bliźnie krople wody i wyszedł cicho, bardzo wzruszony.

A wieczorem tegoż dnia, Bonia ujrzawszy nad łóżkiem Zygmunta portret swéj dawnéj wychowanki, stanęła jak wryta, poczém tak się rozpłakała, że młodzi nie wiedzieli co z nią robić.

Zygmunt posadził ją na kanapie, dał jéj się napić wody, a potém zaczął ją prosić głosem, któremu trudno było się oprzéć.

— Boniu, powiédz mi co o matce! To poskutkowało odrazu. Bonia wytarła oczy i nos, utkwiła przygasły wzrok w portrecie i nie patrząc na młodych, którzy usiedli obok siebie i oczami zawiśli na jéj ustach, poczęła mówić zupełnie tak, jak gdyby opowiadała bajkę.

— Zabroniła jéj mówić Zygmusiowi o sobie, bo się bała, że ją będzie przeklinał, ale była taka dobra, że płakała nad każdym obdartym dziadem i raz, a miała wtedy z dziesięć lat, zdjęła pantofelki, dała je babie, co przyszła z dzieckiem po prośbie i sama poszła do dworu boso. A potém była taka ładna, że gdy się modliła w kościele, ludzie zamiast na święte obrazy, patrzyli na nią. Tylko była trochę inna niż wszystkie panny. Śmiać, to się śmiała jak dzwonek i tańczyć lubiła okrutnie, ale jak czasem przyszła noc ciepła i na pełni, to nie szła spać, choć ją Bonia prosiła, tylko stawała w oknie, patrzyła na ów księżyc i ciągle gadała do siebie, głośno, a do wiersza.

Czemu mi smutno? Czy że wiatr jesieni,
Lasy i pola już odarł z zieleni...

Bonia nie pamiętała dobrze, ani tego wiersza, ani tego drugiego, który panienka widać lubiła najwięcéj, bo najczęściéj powtarzała:

Ach! być „paetom" czy wiész dziewczyno,
Co to „paetom" być znaczy?

To nawet nie było zupełnie do sensu, ale panienka wyglądała wtenczas zupełnie tak, jakby jéj tylko brakowało skrzydeł i Boni najlepiéj wtedy szło z pacierzami.

A potém przyjechał pan. Był ładny i mówili jeszcze, że mądry i bogaty. Panienka zawsze bladła jak wchodził, przy ślubie to się trzęsła jak osika i wyglądała niby święty opłatek, a starsza pani mówiła, że u państwa tak wypada. Bonia pojechała z rzeczami do Karolówki, a państwo młodzi do ciepłych krajów. Kończył się maj, jak wrócili. Wtenczas w Karolówce było pięknie jak w niebie, tak pięknie, że nawet Boni chciało się czasem płakać, gdy w wieczór wyjrzała przez okno. Kwiatów była wielka moc, a pachniały, że aż dusiło, słowiki śpiewały jeden przez drugiego i jezioro wyglądało, jakby kto srybra nalał do jaru.

Myślała, że panienka całe noce teraz będzie gadała do księżyca. — Ah, być „paetom" — ale panienka dzień i noc pieściła pana, ciągle siedzieli razem, nic nie widzieli i kochali się jak turkawki.

Potém urodził się Zygmuś, pani długo chorowała, a pan kupował Karniki i ciągle jeździł. Na to jeżdżenie pani się z początku gniéwała,

potém płakała, a jeszcze potém wzięła i dawaj z panem rachować i jeździć, tak już było ciągle.

Bonia wolała to, niż żeby się złościła, albo nie sypiała po nocach z płaczu, ale czasem serce ją bolało, bo takie rzeczy, to przecie nie dla pani. I pani nie było z tém dobrze. Często przychodziła do dziecinnego pokoju, ściskała małego tak mocno, że aż krzyczał, albo razem z nim siadała przy niéj, tuliła się jak kociak i skarżyła jak dziecko — zimno mi Boniu, zimno.

Czasami ją Bonia prosiła, żeby częściéj zaglądała do Zygmusia, ale ona się wtenczas podnosiła, marszczyła brwi i mówiła, — że Zygmusiowi to wszystko jedno, bo Zygmuś jéj nie kocha i nikt jéj nie kocha.

A potém przyszło nieszczęście. Ten antychryst, co ją urzekł, oczy miał jak węgle i jeżeli pan był jako lód, tamten był jako ogień.

Jak i kiedy się to stało, Bonia nie wiedziała. Pani jeździła do Przyręby z panem, albo i sama, ten gałgan także tu przyjeżdżał i przesiadywał, aż gdy pojechali pisać kontrakt, przyszła noc, któréj Bonia nie zapomni nigdy, choćby żyła sto lat.

Pani weszła do dziecinnego pokoju w futrze i w kapeluszu, blada jak nieboszczyk. Uklękła przy dziecku, całowała je tak, że chyba i jednego miejsca nie przyzostawiła, a płakała, a trzęsła się jako liść na wietrze. Nie mogła się oderwać, wstawała i znów wracała, a w końcu ją—Bonię schwyciła za rękę i wyciągnęła do sypialnego pokoju. Tam kazała jéj uklęknąć przed krzyżem i przysiądz, że nie opuści dziecka do śmierci i że mu nigdy nie będzie mówiła o matce. Bonia dopiéro wtedy zrozumiała, że się ma stać jakieś wielkie nieszczęście, więc choć nie wiedziała jakie, u nóg pani się włóczyła i puścić jéj nie chciała.

Ale akurat konie zaszły, pani się wstrzęsła, wyrwała, wyleciała przed dom jak wiatr i tyle ją Bonia widziała.

Pan przyjechał dopiéro w trzy dni. Jak przeczytał list, co pani na biurku zostawiła, podobno stanął jak słup, a z oczu, to mu szedł ogień.

Potém pojechał do Przyręby, ale i tam już nie było nikogo... Bonia zakryła szeroką twarz tłustemi rękami i długo siedziała w milczeniu, którego nie przerywali jéj, ani Krępic, ani Zygmunt, ale po chwili znowu zwróciła oczy na obraz anioła-dziewczyny i mówiła daléj, tylko głosem cichszym i jakby złamanym.

— Żeby choć jéj dał czas na odpokutowanie... toż ten antychryst

z diabelskiém nazwiskiem poprostu ją urzekł — ale u wielkich państwa jest jakiś honor, a pokuty nijakiéj nié ma.

Sama przyniosła panu list z czerwonemi markami, bo poznała, że to od niéj, a choć jéj nogi dygotały od strachu, przy drzwiach stała i czekała, czy się czego nie dowié.

Ale nie dowiedziała się nic. Pan przeczytał, roześmiał się tak, że aż ją mrowie przeszło, długo chodził po pokoju jakby nigdy nic, a potém na nią spojrzał i krzyknął:

— Marsz, do dziecka!

A w dziesięć dni potém przyjechali państwo Olchowiczowie oboje, u pana siedzieli długo, w pałacu zaś wzięli gadać, że pani się zabiła.

Jako i zastrzeliła się, a w gazetach ponój pisało, że i ten antychryst także.

Pan wziął znowuk jeździć i rachować—jak dawniéj, na dziecko nie chciał patrzéć, jako że było takusieńkie jak matka i wszystko było jak było, tylko już nie stało jéj biednéj, zabitéj na duszy.

Bonia załkała głośno, mówiła jeszcze, że dwa razy do roku zakupuje msze święte i pości co środa, żeby dla niéj choć czyściec wyprosić, w końcu tak się rozszlochała, że wyszła z pokoju, w pośpiechu klapiąc wielkiemi pantoflami.

Przyjaciele zostali sami. Zygmunt siedział zapatrzony w posadzkę, Krępic zaś wstał i począł latać po pokoju, co chwila zatrzymując się przed portretem. Wreszcie stanął przed kolegą.

— Widzisz! gdyby nie głupie przesądy, nie wykrzywione pojęcia honoru i oschłość serca, ta biédna, krucha istota, byłaby dziś może zacną i nawet szczęśliwą kobietą. Twój ojciec miałby w sobie więcéj ciepła, a ty, nie byłbyś bez matki!

Lecz Zygmunt nic mu na to nie odpowiedział. Siedział bez ruchu, bez słowa, rozebrał się i położył spać i przez parę dni chodził jak senny.

Krępic, pomimo pozornéj szorstkości, czuł głęboko i czasami umiał się zdobyć na subtelność uczuć prawie kobiécą. Teraz mu się nie narzucał, czekał i dopiéro po paru dniach rzekł:

— Słuchaj Zygmuncie, pogoda jest ciągle wspaniala, a my prawie z niéj nie korzystamy. Nie masz pojęcia, jak mię dziś ciągnie jezioro... popłyńmy do Górek.

— A popłyńmy—odparł Zygmunt apatycznie, poczém poszli do parku i w parę minut już się kołysali na wodzie.

W powietrzu unosiła się senność, niebo było raczéj szare niż błękitne — jakby spłowiałe od żaru słońca, woda pod uderzeniami wioseł przelewała się jak płynna masa szafiru o postrzępionych rąbkach ze śniegu i srebra, a młodzi wiosłowali zawzięcie, lecz w milczeniu.

Nagle Zygmunt puścił wiosło, rozejrzał się, odetchnął i rzekł:

— Żyjemy jak we śnie, to jezioro jest także jak sen, a mnie teraz przydałby się na głowę zimny prysznic...

Zadumane oczy utkwił w przeciwległym brzegu i nagle rzucił.

— Jedźmy do Kamionki!

— Czy to ma być prysznic? — uśmiechnął się Krępic.

— Nie, ale przecież jakieś życie, ruch, jedném słowem zmiana... Ta Karolówka to coś zupełnie oderwanego od świata, można w niéj zostać poetą, albo waryatem...

Począł wiosłować z podwojoną energią, a w kwadrans potém przybili do przeciwległego brzegu w tém miejscu, gdzie w ogrodzie Kamionki jest grabowa altana. W piasku nadbrzeżnym bawiło się dwoje dzieci, trzechletni chłopiec i dwuletnia dziewczynka, w altanie zaś były trzy kobiety, młode, lecz różnego wieku.

Gdy Krępic i Znamieniecki wyskoczyli z łodzi, dzieci poczęły klaskać w ręce, kobiety zerwały się z darniowéj ławeczki, a najstarsza, z ujmującym wyrazem ust, delikatną twarzyczką i ciemnémi włosami, uśmiechała się do nich wołając.

— Śliczni, uprzejmi sąsiedzi! Podobno już od trzech tygodni siedzi się w Karolówce, a do Kamionki zupełnie jak za morze...

— Za morze, jak za morze kuzyneczko, ale za jezioro! — odparł jéj równie wesoło Zygmunt i poniósł do ust rączkę pani Bodziewiczowéj, poczém obrzucił wzrokiem jéj towarzyszki.

Jedna z nich, panienka z krótkiemi włosami, które w czarnych pierścieniach spadały na ramiona i tworzyły ramę do główki o nosku wschodnim, czarnych oczach i bardzo pąsowych ustach, wyglądała jak cyganka i ciekawie patrzyła na nowoprzybyłych. Druga, jeszcze dziewczynka, może lat trzynastu, a może piętnastu, biała, przezroczysta, miała piwne oczy, niezwykle duże, włosy jak len a na twarzy apatyę, właściwą dzieciom chorym na bezkrwistość i skrofuły. Zygmunt i Krępic przywitali dziewczynkę, a gdy potém obadwaj skłonili się przed panienką, podobną do cyganki, pani Bodziewiczowa wybuchnęła wesołym śmiechem.

— Jakto — wołała — pan jéj nie poznaje, panie Zygmuncie? Maniusi Sławskiéj pan nie poznał?

Z twarzy Zygmunta znikł wyraz okraszony niepewnym uśmiechem, który sili się mówić — ależ wiem, poznaję, a właściwie nic nie wié i nic nie poznaje. Widocznie uradowany wyciągnął teraz rękę do panny Maniusi i mówił:

— Przepraszam, rzeczywiście nie przypuszczałem... Nie trzeba widocznie nigdy zapominać, że młode panienki są jak poczwarki, w których siedzi przyszły motyl.

— Co znaczy, że byłam poczwarką... śliczny kompliment, — roześmiała się panna Sławska.

— To tylko szczerość, tém przyjemniejsza, że teraz można mówić tylko o motylu. Ale pani pozwoli, że jéj przedstawię mego kolegę i przyjaciela. Andrzéj Krępic.

Panienka wyciągnęła rękę do uścisku, potém całe towarzystwo opuściło altanę i skierowało się ku domowi, do którego wiodła bardzo stara, grabowa aleja. Ta aleja była tak szeroka, że wszyscy mogli zupełnie swobodnie postępować obok siebie w szeregu, ciągnęła się wokoło całego ogrodu i kończyła tuż przed werendą salonu.

Zygmunt postępował obok panny Sławskiéj i pytał:

— Czy pani już dawno bawi w Kamionce? Czy rodzice są także?

A ona patrzyła na niego uśmiéchniętemi oczami, opowiadała — że przyjechali wszyscy, ale tylko na parę dni, że są w przejeździe, że lato spędzą w Ischl'u i że ponieważ ona w tym roku dorosła, więc rodzice obiecali jéj pokazać Paryż i Wenecyę. Śmiała się przytém jak rozbawione dziecko i co chwila błyskała na niego czarnemi oczyma.

Tymczasem pani Bodziewiczowa mówiła do Krępica, że jéj bardzo żal męża, który nigdy nie może razem z niemi odpocząć na wsi i jest strasznie zapracowany i wypytywała go o egzamina, oraz o sposób w jaki obadwaj przepędzają czas w Karolówce.

Blada dziewczynka zaś postępowała tuż obok siostry, patrzyła wprost przed siebie i nie odzywała się wcale, a gdy przez oszklone drzwi wszyscy weszli do salonu, umeblowanego trochę po staroświecku natychmiast znikła.

Lecz salon nie był pusty. Obok jednego z weneckich okien stał stolik do kart, a przy nim siedziało dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

— Jak ty nędznie grasz! — wołał właśnie wysoki, tęgi pan w szarym kitlu, do szczupłéj, jakby zasuszonéj blondynki, w ciemnéj perkalowéj sukni.

— Ale skądże! — broniła się pani Olchowiczowa — przecież leży—bez jednéj.

A pan Łamkowski, ojczym panny Maniusi zanosił się od śmiechu i wołał:

— Bez dwóch byłbym, bez dwóch kuzynko! Dziękuję ci i proszę o częściéj.

— Eh! po co bez dwóch... dla mnie i bez jednéj dosyć,—zaczęła pani Olchowiczowa i urwała zobaczywszy we drzwiach gości.

Zaraz téż podnieśli się wszyscy. Gospodyni pocałowała Zygmunta w głowę i bardzo serdecznie powitała Krępica, a gospodarz wycałował obydwóch i począł mówić ogromnie głośno.

— Wyobraźcie sobie, wychodzi pod drugą rękę w najmocniejszy kolor i obrabia senatorowi króla. Przecie gracie w preferansa?

— Nie gramy — odparł Zygmunt, który właśnie przedstawiał państwu Łamkowskim Krępica.

— Co? ani be?

— Ani be.

— Aha! nauczyliście się w winta, ba! postępowcy! Ale my tu jeszcze na partykularzu uprawiamy prefka i wiścika.

Pan Łamkowski zaś wyprostował swoją szczupłą figurkę, poprawił na palcu pierścionek z wielkim brylantem i gładząc ręką siwe faworyty rzekł:

— Daj im pokój, oni świat przerabiają, a ty im każesz grać w winta. Jakże? Dyplomy przywieźliśmy, teraz odpoczywamy, a potém co?

— A potém będą robili miliony!—przerwał mu Olchowicz i westchnął. — Bodaj to być młodym i w dodatku inżynierem, dyrektorem, albo administratorem paru fabryczek! Takiemu nic nie dojé, ani deszcz, ani susza, ani ceny, ani serwituty — pan całą gębą i kwita!

Zygmunt na to odparł z powagą.

— Daj Boże, żebyś pan to wymówił w szczęśliwą godzinę. Jak tylko zostaniemy administratorami paru fabryczek, zaraz tu gdzie w sąsiedztwie kupimy sobie włości i razem będziemy narzekali na ceny, na żydów i na serwituty.

Olchowicz popatrzył na niego ze żdziwieniem, które jego wypukłe oczy jeszcze wypuklejszemi uczyniło.

— Jakto, co, kpisz, czy o drogę pytasz? Kapitały topiłbyś w ziemi, waryacie?

— Nie przypuszczam, abym kiedykolwiek zrobił kapitały, gdyby jednak—w ziemi jest dużo do roboty.

— To pocóż u dyabła ta nauka i wydatki? — wybuchnął Olchowicz. Trzeba było odrazu z ojcem siedzieć i gospodarować!

— Mój ojciec jeszcze nie chce pomocy, więc ja tymczasem poprobuję sił na inném polu.

Ale Olchowicz wziął go pod ramię i zbliżywszy się razem z nim do Łamkowskiego, począł mówić zniżonym głosem.

— Właśnieśmy tu mówili z senatorem, że twój ojciec jest zwaryowany maniak, wiész? Nikt w takich krytycznych czasach nie spekuluje ziemią, a on znów sprzedał Górki i podobno kupuje dwa folwarki od Stobickiego, które chce parcelować. Waryat! ja ci to mówię. Jeśli masz rozum, pieniądz rób, ale z nim od ziemi daleko, rozumiész?

Zygmunt pokręcił głową.

— To będzie trudno,—rzekł—bo przecież choć przy Karolówce i Leszczynach chyba zostanę.

— Phi... niewiadomo,—skrzywił się Olchowicz—Karolówka ładny kawał ziemi i lasu, trzysta lat w ręku Znamienieckich, ale... jabym się w takie romanse nie bawił. Póki jeszcze czas sprzedałbym wszystko i postawiłbym fabrykę, rozumiész? Jak postęp, to niech będzie postęp i kwita.

Na to Łamkowski się uśmiéchnął.

— Tak się to mówi, jakby przyszło co do czego, Kamionki byś nie sprzedał.

— Co, nie sprzedałbym? Proponowałem Znamienieckiemu, ale jemu teraz parcelacya w głowie, chłopi by mi graby wycięli, a przecie nie dla nich ojciec sadził. Słuchaj, daj mi ty dwa tysiące rubli za włókę, a jutro Kamionka będzie twoja. Mam już tego wszystkiego po sam nos—i żydów i tej pszenicy po cztery ruble i serwitutów, a najwięcéj tych kochanych chłopków, co to podobno w powieściach ładnie gadają, ale z kłonicą w garści nie, o, nie!

Łamkowski, który mieszkał w Warszawie, umieszczał swoje kapitały na domach i sam miał ich dwa, tylko wzruszył ramionami, więc Olchowicz znowu się zwrócił do Zygmunta.

— Twój ojciec w tém jedném rozum pokazał, że cię na fachowca wykierował, a ty się tego trzymaj i na ziemię pluj.

Poczém go za ramię ujął i zniżywszy głos zapytał.

— Czy prawda, że Rotte zakłada w Moskwie, czy też w Odesie filię swojéj fabryki i ciebie z Krępicem wysyła na reprezentantów?

Znamieniecki parsknął śmiéchem.

— Ładnieby wyglądał, gdyby go tam reprezentowali tacy studenci jak my,—rzekł i po chwili dodał seryo.

— My zresztą mamy zamiar pracować w kraju.

A Łamkowski na to pogładził faworyty i kiwnął głową.

— Masz racyą, ja także miałem dawniéj myśl wynieść się za granicę, ale potém przyszedłem do przekonania że i tu można wiele zrobić.

— No i cóż ty robisz? — zapytał Olchowicz bardzo żdziwiony, wiedział bowiem, że jego kuzyn prowadzi w Warszawie dom otwarty, że co dzień chodzi do Stempkowskiego na kawior i na ćwiartkę porteru, skutkiem czego przezwano go „ćwiartką” i że po za tém niczém więcéj się nie zajmuje.

Lecz senator wydął usta trochę wzgardliwie i zwracając się raczéj do Zygmunta niż do gospodarza domu tak mówił:

— Nie myślcie, żeby arystokracya nie rozumiała, iż antagonizm klas, to gordyjski węzeł. Ona wié o tém, ale wié także, iż go nie należy przecinać. Cięcie pokaleczyłoby wiele palcy, a zgodne rozwiązanie, nikomu nie zrobi krzywdy i, myśmy to zrozumieli.

— Więc? — zapytał Zygmunt bardzo ubawiony, nie tyle namaszczonym tonem senatora ile oczami Olchowicza, który teraz przypominał wołu.

— Więc to jest pole, na którém dzisiejsza arystokracya ma bardzo wiele do roboty i dla którego ja pozostałem w kraju. Moje salony, to teren na którym gromadzą się wszystkie żywioły i ściérają wszystkie zdania. Ja równie uprzejmie witam u siebie adwokata, literata, studenta, jak i księcia, barona i finansistę. Mogą się porozumiewać, a jeśli się nie porozumieją, to już nie będzie moja wina.

-- Wobec tego, tatko musi i pana Znamienieckiego zaprosić na nasze soboty!—zawołała panna Maniusia, która znudziwszy się rozmową pań z Krępicem, stanęła za krzesłem ojczyma i rączkami objęła jego szyję.

— A naturulnie, to się samo przez się rozumié. Pamiętaj o naszych sobotach Zygmuncie i kolegę także przyprowadź. Zobaczysz, nawet tacy burzyciele tronów i ołtarzy jak wy, nie znudzą się u nas, nie mówiąc, że mogą się wiele nauczyć!

A tymczasem pani Olchowiczowa badała Krępica, czy rodzina jego ojca nie pochodzi przypadkiem z Litwy, na co Krępic odparł spokojnie, że nie, bo Krempice na Litwie piszą się przez *m* i są szlachtą, a jego ojciec był chłopem i zwyczajnym Krępicem przez *ę*. Wtedy pani Olchowiczowa się zmieszała i spojrzała na panią Łamkowską, poczém obie zaczęły ukradkiem wodzić oczami po twarzy i całéj postaci młodego inżyniera i jakby się dziwić, skąd chłop doszedł do ta-

kich rysów, takiéj figury i ruchów, w których nie było wprawdzie nic szczególnego, ale które niczém nie raziły w salonie.

A pani Bodziewiczowa cała zarumieniona, tłómaczyła mu, że mama bardzo lubi wyprowadzać rodowody, że zna na palcach genealogię mnóstwa rodzin i że na wsi ludzie jeszcze zachowali trochę starych przyzwyczajeń, które ostatecznie nikomu nie szkodzą.

Krępic wszakże nie był urażony. Trochę go bawiło zakłopotanie pani domu i badawczy wzrok pani Łamkowskiéj, a delikatność uczuć widoczna w rumieńcach i w słowach pani Bodziewiczowéj, nawet go rozrzewniła. Przytém, podobało mu się w Kamionce. Te wszystkie twarze były jakieś cieplejsze, niż twarz Zygmuntowego ojca, od ścian nie wiało takim chłodem, jak w Karolówce. Właśnie zachodziło słońce, weneckie okna zapaliły się czerwonym ogniem, napoiły gorącą barwą spłowiałe obicia ścian i mebli i atmosfera pokoju stała się niewymownie spokojną. Krępic rozmawiał z paniami, a równocześnie wodził wzrokiem po staroświeckich sprzętach i z przyjemnością patrzył, to na charakterystyczną postać Olchowicza, obok delikatnéj Zygmunta, w którego włosach migotało złoto zachodu, to na angielską twarz senatora, obok cygańskiéj buzi jego pasierbicy.

Ale czerwone blaski gasły i uciekały przed zmrokiem, pan Olchowicz począł bardzo głośno skarżyć się na serwituty i przysięgał, że na przyszły rok zasieje przelot, a szelmy chłopy niechaj wtedy pasą na drugoletniém koniczynisku! — wniesiono zapalone lampy, poczém blada dziewczynka ukazała się na progu i oznajmiła podanie kolacyi.

Wszyscy przeszli teraz do jadalnego pokoju i przy wtórze wesołego śmiechu dzieci i panny Maniusi, zabrali się do pożywania kurcząt z sałatą.

Panna Sławska była widocznie usposobienia żywego, mówiła dużo i lubiła, aby się nią zajmowano. Siedząc obok Zygmuta, namawiało go teraz, by im towarzyszył za granicę, a gdy się śmiał ubawiony tym projektem, gniewała się jak dziecko, które nie rozumié, by mu można cośkolwiek odmówić. Łamkowski patrzył na nią prawie z uwielbieniem, a jego żona jakby z prośbą i niepokojem.

Z całego towarzystwa tylko dwie osoby milczały, blada dziewczynka i gospodarz domu.

Pan Olchowicz nałożył sobie na talérz piramidę z kurcząt, z wielką systematycznością ogryzał kostki i nie mieszał się wcale do ogólnéj rozmowy, lecz gdy piramida zamieniła się w stos ruin, otarł usta i dał

dowód, że proces pożywania bynajmniéj nie stoi na drodze procesowi myślenia.

— Tak, tak — rzekł nagle, jakby w odpowiedzi na wątpliwości, które mu w czasie rozprawy z kurczętami mózg przetrawiły—gadajcie co chcecie, ale teraz nie ma jak fach w garści! Znamieniecki w tém jedném rozum pokazał, a i ja zrobiłbym tak samo, gdybym miał syna.

Tu machnął ręką ze zniechęceniem i dodał:

— Tylko... czy to Pan Bóg wié, komu synów dawać? Taki osioł Stobicki ma aż czterech, a wszystko jołop w jołopa, na gospodarzy idą, żeby potém żydom buty pucować.

Na to Zygmunt rzekł:

— Pan za to możesz miéć zięcia fachowca.

— O, to z pewnością. Mam już dość jednego gospodarza, co teraz łapy liże — drugi może być goły, byle miał fach. Prawda Emilciu, ty weźmiesz sobie inżyniera, albo chociaż doktora, co?

Po tych słowach pani Bodziewiczowa się zaczerwieniła i poczęła drżącemi rękami odwiązywać serwetę z szyi swego syna, panna Sławska błysnęła oczami najpierw na Zygmunta, potém na bladą dziewczynkę, ta zaś podniosła oczy na ojca i rzekła spokojnie:

— Dziękuję ci tatku... ja wcale nie wyjdę za mąż.

Powiedziała to wolno i apatycznie, ale nagle rozbłysłe oczy zdradziły, że była podrażnioną. Krępicowi te oczy wydały się teraz niezwykle ładne.

A Olchowicz się roześmiał, ogromnie ubawiony, poczém zapytał:

— A cóż ty, mała, będziesz robiła, sprzedawała rutę, chę?

Panna Emilcia spuściła oczy, usta jéj drżały, ale w końcu podniosła główkę i rzekła dość pewnym głosem:

— Ja będę aktorką.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a najgłośniéj i najserdeczniéj śmiał się Olchowicz.

— Dałbym ja ci... dałbym ja ci... — powtarzał wśród wybuchów dobrego humoru i ociérał łzy, które mu płynęły z oczów gradem.

Tylko Krępic się nie śmiał i z zajęciem obserwował dziewczynkę. Na jéj buzię najpierw buchnęły rumieńce, potém wystąpiła bladość, a w oczach ukazało się kolejno, żdziwienie, gniéw i wreszcie dwie wielkie łzy, z któremi panienka się nagle zerwała i uciekła.

— Niedobry pan jesteś!—zawołała wtedy panna Sławska i wybiegła także.

A Olchowicz przeprowadził obie wzrokiem aż do drzwi, poczém rzekł:

— Jakbym tylko ja się śmiał!... i miała się też czego rozbeczyć... Z temi pensyonarkami nigdy nie można trafić do ładu.

Gospodyni zaś westchnęła i poczęła się żalić do pani Łamkowskiéj na dzisiejsze pokolenie panien, na pensye i wogóle na świat, który był zupełnie inny, gdy one były młode.

— Taki piętnastoletni smarkacz—kończyła — twierdzi teraz, że małżeństwo jest ubliżeniem dla kobiéty. Dorastające panny czytają książki, przy których dawniéj mężatki się rumieniły i wyciągają z nich wnioski, które mnie się zupełnie nie mogą w głowie pomieścić.

Lecz Olchowicz tylko wzruszył ramionami.

— Masz też czém sobie głowę zawracać! Jak dorośnie, a zjawi się konkurent, pójdzie za mąż i będzie taką samą żoną jak wszystkie.

— Ale musicie ją koniecznie zawieść do Ciechocinka—odezwała się pani Łamkowska. — Usta jéj zgrubiały, nos się robi jakiś niekształtny i skrofuły mogą jéj zupełnie twarz popsuć.

Na to pani Olchowiczowa westchnęła i spojrzała z wymówką na męża, ten zaś trochę spochmurniał, wreszcie wstał i zawołał raźno:

— Dałbym ja jéj, żeby mi była brzydka!

Poczém wszyscy przeszli do salonu, gdzie obie panny wpół się objąwszy chodziły i rozmawiały bardzo żywo. Młodzi zbliżyli się do nich, panna Emilcia zrobiła ruch, jak gdyby chciała uciekać, ale towarzyszka ją przytrzymała.

— Ona nie cierpi mężczyzn — zawołała śmiejąc się do Zygmunta.

— Jakto, wszystkich? — ździwił się Znamieniecki i patrzył na dziewczynkę z komicznym wyrazem przygnębienia. — Co myśmy pani zrobili, panno Emilciu?

— Nic — odparła krótko.

— Więc za cóż pani nienawidzi mnie i biédnego Krępica.

— Wcale panów nie nienawidzę, tylko... nic mnie nie obchodzicie.

— Więc obojętność! Aleź to gorsze niż nienawiść.

Nie odpowiedziała mu, tylko odwróciła głowę, a panna Sławska rzekła:

— Ona dowodzi, że mężczyzni są tyrani, że gnębią kobiéty i że kochać trzeba tylko słabych, nie mocnych.

— A pani jak myśli?

— Tak samo.

— Niepodobna! Niech pani zrobi wyjątek dla jednego mężczyzny, tylko dla jednego...—prosił.

— Ani myślę! Pojedzie pan do Ischl'u?

— Aha! już pani zrobiła.

— Wcale nic! Ale pojedzie pan?

— Na przyszły rok.

Sprzeczali się dalej, a tymczasem Krępic postępował obok panny Emilci i dokładał starań, by przemódz jéj uporczywe milczenie. Po części mu się to udało, bo zaczepił o temat pensyi, koleżanek i profesorów.

— A może pan zna i Mejcherta?—pytała dziewczynka już z pewném zajęciem.

— A znam, to mój kolega gimnazyalny. Cóż on paniom wykłada?

Skrzywiła się.

— Wykłada arytmetykę, ale to osioł! — tu zmieniła ton mowy i naśladując potępionego Mejcherta, zaczęła mówić słodko — dostanie pani dziesięć groszy, z jedną trzecią pójdzie pani po bułeczki...

Krępic się roześmiał, panna Emilcia także, a pani Bodziewiczowa przesłała mu zdaleka spojrzenie, w którém chłopak wyczytał wdzięczność.

Gdy młodzi opuścili Kamionkę, była już godzina dwunastu. Pan Łamkowski zapowiedział na jutrzejszy dzień swoją wizytę w Karolówce, a panna Maniusia uczepiona u jego ramienia, rzekła:

— Pozwolę ci tatku, jeżeli nie powrócisz sam.

— Tylko z nimi? A jeśli nie będą chcieli?

— Muszą, bo ja chcę.

Łamkowski się śmiał i ściskał ręce obu przyjaciół.

— Nie macie pojęcia, co to za tyranka!

A w chwilę potém łódź płynęła cicho po jeziorze i ciągnęła za sobą srebrzysty warkocz drgających fal, gwiazdy zapalały w wodzie długie płomyki, księżyc przyglądał się bezmyślnie nocnym urokom, a młodzi wiosłowali w téj ciszy i mieli w duszach także ciszę.

Lecz po chwili Zygmunt przerwał milczenie.

— Wiész, ta mała jest zabawna, Olchowicz ciekawy okaz jako mamut, a ten wuj Łamkowski, to istna małpa zielona. Ani myślałem, że się tak ubawię.

Opowiedział o społecznych zasługach senatora i o węźle gordyjskim, lecz Krępic był nastrojony na ton pobłażliwy.

— Tacy ludzie przynajmniéj nie są szkodliwi — mówił — i, kto wié, czasami mogą nawet zrobić coś dobrego, bo mają serce.

— Gdzieżeś ty je dopatrzył?

— W jego przywiązaniu do panny Sławskiéj.

— A ładna, co?

— Tak sobie, dzieciak!

— Phi... flirtować umié.

Znowu zamilkli, Krępic myślał, że panna Emilcia stanowczo dziwnie odbija na tle Kamionki i że pani Bodziewiczowa jest tak cicha i spokojna, jak dzisiejsza noc letnia, a fale pluskały im pod wiosłami i przeléwały się srebrem.

(*D. c. n.*). *Exterus.*



DWA KONGRESY.

Technika drukarska, mimo świetnego rozwoju swego, nie zdołała w świecie naukowym zastąpić konieczności osobistego porozumiewania się. Wynikiem jéj coraz liczniéj mnożące się kongresy, wiece, zjazdy, konferencye i naukowe pogadanki, zapełniające referatami szpalty czasopism, jak to się działo szczególnie podczas tegorocznych wakacyi parlamentarnych w czasie, gdy martwy sezon był u zenitu, a gazety cierpiały na chroniczną jałowość. Zamiast parlamentarnego gadulstwa, wypełniały łamy naukowe rozprawy, jeśli nie zawsze pouczające, w każdym razie jednak zawsze bardziéj rzeczowe i świadczące regularnie o głębszém stosunkowo zrozumieniu odnośnéj sprawy, niż przeciętne rozprawy ciał prawodawczych.

Z téj całéj masy kongresów wybrałem dwa, które po części doniosłością, częścią ciekawym przebiegiem rozpraw zasługują na obszerniejszą wzmiankę i zdolne są wzbudzić zajęcie szerszych kół publiczności.

Omówię je w porządku chronologicznym, t. j. tém bardziéj, że kolėj w jakim się odbywały odpowiada pragmatycznemu przedstawieniu ich treści, zależnych wzajemnie w niektórych punktach: najnowszych odkryć. I tak np. dokładne zrozumienie postępu i żądań współczesnéj kryminalistyki wymaga znajomości najnowszych odkryć w dziedzinie psychologii. Omówienie więc przebiegu kongresu psychologii przed kongresem kryminalistycznym, jest w obecnym wypad-

ku dogodném o tyle, że nie wymaga zmiany porządku chronologicznego a przyczynia się równocześnie do lepszego zrozumienia następnie omówionego przedmiotu.

Doniosłe znaczenie kongresów—przedewszystkiém naukowych—objawia się w szybkiém a bezpośredniém porozumieniem się koryfeuszów wiedzy. Wynikiem tego szybkiego „wyładowania energii psychicznéj" jest wielka umysłowa podnieta i silne a zdrowe zapłodnienie umysłu ideami częścią nowemi, częścią wyklarowanemi z wątpliwości, na których pozbycie się trzeba pojedynczemu, samotnemu pracownikowi, ograniczonemu wyłącznie do laboratoryum i książek, nieraz długich lat. Téj zmudnéj pracy kilkulecia dokonywa nieraz jedno zetknięcie się z kolegą-fachowcem na kongresie naukowym. Nic téż dziwnego w zjawisku obserwowaném regularnie na horyzoncie pewnéj dziedziny naukowéj, że po dotyczącym ją kongresie, zwykle poziom jéj się we wszystkich kierunkach podnosi z początku raptownie, potém równomiernie—aż do następnego kongresu, gdzie po rozpatrzeniu poczynionych nowych zdobyczy naukowych, po usunięciu zbytecznych naleciałości i hamujących szybszy ruch wątpliwości—nauka posuwa się znowu szybkim krokiem naprzód.

Jednak zaletą pierwszorzędną kongresów jest pewnik, że popularyzują wiedzę. Działy naukowe, oparte na subtelnych obserwacyach, rachunkach i hypotezach, okazują dopiéro swą prawdziwą siłę żywotną przy zetknięciu z światem codziennym. W tém zmieszaniu teoryi z brutalną praktyką leży demokratyzowanie nauki. Kongresy więc spełniają równocześnie dwie prace: potęgują szybkość postępu pewnego działu nauki i podnoszą intelektualny poziom współczesnego tłumu, żądnego praktycznych wyników badań naukowych. Amerykańska zasada „czas to pieniądz", znajduje zastosowanie tak w życiu praktyczném jak w nauce. Nauka staje się tém samém praktyczną. Scholastyczne dyskusye, spekulacye metafizyczne, ustępują pola dzielnym a szybkim obserwacyom, których wyników tegoczesne społeczeństwo z upragnieniem wyczekuje, by je w konkurencyjnéj walce o byt natychmiast wypróbować i z nich skorzystać. Ta ogniowa próba, któréj każdy nowy pomysł, każdy nowy wynalazek podpada—nadaje właśnie obecnéj nauce owo czerstwe zdrowie i umożliwia tém samém dążność do ulepszeń, do nowych wynalazków, do nowych ulg dla nękanéj, zdenerwowanéj ludzkości.

Na wzmiankę zasługują jeszcze—zanim przystąpię do właściwego omówienia rzeczy—po pierwsze panowanie na kongresach szablonu tradycyjnie przekazanego przez pewną „szkołę"—i po drugie, kolizya rozpraw w sekcyach z rozprawami na walnych zgromadzeniach.

W pierwszym wypadku cześć oddawana przez delegatów kongresowych jakiejś uświęconéj wielkości naukowéj jest zazwyczaj tak wielka, że brak na kongresach miejsca i sposobności na uznanie nowych teoryi i nowych pomysłów. Czynność kongresu ogranicza się zwykle do dokładnego przetrawienia rzeczy znanych. Nie wynika jednak z tego, aby polemika toczona w materyi zupełnie nowéj, jak się to np. działo obecnie na kongresie kryminalistycznym, nie podziałała zapładniająco na glebę naukową i nie wpłynęła na przebieg przyszłych kongresów.

Co do drugiego wypadku—z sekcyami—sprawa przedstawia się tak, iż tyle ich zwykle jest, i tyle w każdéj omawianych bywa najróżnorodniejszych tematów, iż nawet marzyć nie można o spełnieniu pracy umysłowéj koniecznéj do powierzchownego przejęcia całego zadania kongresu. Praca ta zresztą o ile jest niemożliwa, o tyle jest zbyteczna: nauka współczesna wykazała złudę dążeń do t. zw. wszechstronności. Tegoczesny uczony wié o tém najdokładniéj, że najwyższy szczebel nauki, możliwy do osiągnięcia, jest dokładna specyalizacya w pewnym ściśle ograniczonym kierunku. Rozprawy w sekcyach mają mu właśnie tę pracę ułatwić. Rozprawy zaś na walnych zgromadzeniach mają częściowo zapobiedz niebezpieczeństwu, grożącemu każdemu specyaliście: zasklepienia się w zbyt ograniczonym zakresie naukowego fachu,—a częścią przyczynia się do wyświetlenia pewnych spraw natury ogólnéj, przez omawianie ich z rozmaitych punktów widzenia, zajmowanych właśnie przez specyalistów.

Nie można zresztą zaprzeczyć, iż przeciętna organizacya kongresów pozostawia jeszcze wiele do życzenia. Technika przeprowadzania obrad tak, aby wycisnąć z nich wszelką dającą się osiągnąć korzyść dla uczestników kongresu,—nie jest jeszcze wydoskonalona. Przyczyna jednak nie leży w zacofaniu lub zastoju, lecz w zbytniéj młodości kongresów naukowych wogole, a zwłaszcza kongresów naukowych tak skombinowanych i tak zróżniczkowanych, jak to się dzieje w czasach najnowszych.

Bądź co bądź, mimo wszelkie braki i słuszne zarzuty, nigdy nie stała nauka tak wysoko jak obecnie—i nigdy, dzięki kongresom, nie widniała jéj przyszłość tak piękna, jak za naszych czasów.

I. Kongres psychologiczny.

Został otwarty w Monachium dnia 4 sierpnia w wielkiéj auli królewskiego uniwersytetu przy współudziale czterystu zapisanych ucze-

stników i mnóstwa publiczności płci obojéj. Jeśli się zważy, iż przed czterema laty wątpiono wogóle o możliwości przyprowadzenia do skutku kongresu psychologicznego, można dopiéro ocenić jego doniosłość, sądząc po silném zainteresowaniu się nim całego cywilizowanego świata, reprezentowanego przez uczonych różnych narodowości i języków. Poprzednie dwa kongresy odbyte w Londynie i Paryżu były wprawdzie licznie zwiedzone, nie podobna ich jednak porównać z obecnym.

Kongres ten jest międzynarodowym w ścisłém tego słowa znaczeniu. Z Ameryki przybyli: Stanłey, Petersen, Titchener i t. d. Z Anglii spora liczba, w któréj odznaczają się przedewszystkiém Bramwell i Myers. Z Francyi przybyli Richet, Janet, Courtier, Bérillon, Bernheim. Z Austryi Exner, Ehrenfels, były profesor filozofii Brentano. Z państwa rosyjskiego Dawid, Tokarski, von Tschisch (Dorpat), Mendelsohn i t. d.

Wobec ogromnego nawału materyałów, należało przeprowadzić odpowiednią organizacyę. Uchwalił więc komitet centralny stworzenie pięciu niezawisłych sekcyi, odpowiadających pięciu rodzajom nadesłanych wykładów,—i na posiedzeniach tych sekcyi miał być obrobiony materyał, przekraczający ramy walnych zgromadzeń. Nadesłanych tematów było 170. Z tego uchwalono omówić na walnych zebraniach 12, reszta przeszła do odpowiednich sekcyi. Pierwsza z nich obejmowała przedmiot dotyczący anatomii i fizyologii mózgu, fizyologii i psychologii zmysłów—i psychofizyologii; druga obejmowała psychologią normalnéj indywidualności; trzecia psychopatologią i psychologię kryminalistyczną; czwarta psychologię snu i śnienia, a nadto zjawisk hypnotycznych i im pokrewnych; wreszcie piąta sekcya obejmowała wszystkie zjawiska z dziedziny psychologii porównawczéj i pedagogicznéj.

Ponieważ kongres miał trwać dni cztery, — trzy zostały przeznaczone na walne zgromadzenia,—jeden na sekcyjne.

Na każde posiedzenie sekcyi obliczył komitet sześć do ośmiu wykładów. Każdy z nich nie może trwać dłużéj w sekcyi nad 20 minut; na walném zgromadzeniu najwyżéj pół godziny. Mówcy zabierający głos w dyskusyi mają czas ograniczony do pięciu minut. Więcéj jak dwa razy jeden mówca nie może zapisywać się do głosu w téj saméj dyskusyi. Uczeni zgłaszający się z wykładami, mieli polecone przysłać sekretaryatowi kongresowemu streszczenia swych wykładów, nie wynoszące więcéj nad jedną do dwóch stron druku.

Te i inne ograniczenia, mające na celu umożliwienie opanowania ogromnego materyału, osiągły rzeczywiście pożądany skutek. Rozprawy potoczyły się tempem obliczoném, a wobec ścisłego przestrzega-

nia przez uczestników uwag komitetowych, nie zaszedł ani jeden wypadek, mogący wpłynąć niepomyślnie na normalny przebieg rozpraw.

A zachodziło niebezpieczeństwo zawikłania i sporów między komitetem a pewną kategoryą uczestników, mogących się czuć obrażonymi z powodu wystąpienia komisyi kierującéj rozprawami w sekcyach. Tą podobno była czwarta sekcya: hypnotyzerska. Przeszło piąta część wszystkich nadesłanych wykładów odnosiła się — zjawisko charakterystyczne w naszych czasach—do hypnozy i t. p. Wobec szczupłości czasu, komisya zmuszona była postępować w wyborze najodpowiedniejszych wykładów na ten temat bardzo surowo, a podczas obrad sekcyjnych padła bardzo słuszna uwaga, iż zwolennicy „okultyzmu" powinni zwołać swój specyalny kongres, jeśli czują taką nadzwyczajną a konieczną potrzebę omówienia kwestyi, którą obecna nauka przyjmuje z niezachwianym drwiącym sceptycyzmem. Okultyści oszczędzą sobie tém samém niepotrzebnych skarg na zacofanie i zaślepienie obecnego świata uczonych, który poza odwiecznym szablonem nie widzi nowych, dziewiczych horyzontów...

Uczestników kongresu przyjęła gmina monachijska ucztą w ratuszu. Na drugi dzień (5 sierpnia) przyjmował swych kolegów (!) dr. okulista, książę bawarski, Ludwik Ferdynand w Amalienburgu, willi położonéj w książęcym parku Nympfenburgu.

Dnia 4-go sierpnia otworzył kongres przewodniczący dr. Karol Stumpf, berliński profesor filozofii, wykładem „o metodach i ogólnych zasadach psychologii". Mówca opanował przedmiot wszechstronnie i jasno przedstawił ogromne trudności, napotykane w drodze do zbadania tajemnicy życia umysłowego. Mimo wszysko, usiłowania podejmowane nietylko przez fachowców lekarzy i przyrodników, ale nadto przez jurystów, socyologów, historyków, etnologów i lingwistów, przez fizyków, teoretycznych filozofów przyrody, estetyków i pedagogów a wreszcie przez anatomów, zoologów, fizyologów, patologów i psychiatrów—zadanie pozostało nierozwiązaném. Między fachowymi psychologami są również rozmaite poglądy na wartość metod zastosowanych w badaniach psychologicznych. Jedni z nich kładą największą wagę na obserwacye własnéj osoby, inni na porównawczą metodę obserwowania rozwoju umysłowego u dzieci i zwierząt, — jeszcze inni wierzą jedynie w eksperymenta. Są nadto badacze dochodzący drogą opisową do skreślenia najsubtelniejszych elementów — i badacze szukający rozwiązania zagadki w genialnie zbudowanych hypotezach, dotyczących fizyologicznéj i psychologicznéj mechaniki mózgu. Lecz ta praca, rozstrzelona na pozór, jednoczy się w dążeniu do wspólnego celu: odgadnięcia tajemnicy duszy. I praca ta odbywa się jak przy budowie

tunelu: w dwóch wprost przeciwnych kierunkach wiercą robotnicy skałę; lecz słychać już przez cienką ścianę, dzielącą obie grupy, potężne uderzania młotów bijących o twardą opokę...

Najważniejszém zadaniem czekającém na rozwiązanie — prawił mówca daléj—jest stare jak świat zagadnienie: określenia wzajemnego stosunku duszy do ciała, psychicznéj a fizycznéj strony istoty ludzkiéj. Cała wiedza zdąża jedynie do rozwiązania tego problemu, a podział historyi rozwoju ludzkości na epoki, zależy przedewszystkiém od stanowiska zajętego przez społeczeństwo w tym względzie. Zadaniem więc psychologii współczesnéj jest rozwiązać albo przynajmniéj badać pytanie najstarsze a dotychczas nierozwiązane. Zadanie to brzmi, by użyć wyrażenia nieśmiertelnego Galileusza: *Rem vetustissimam inquirere ratione novissima*.

Już Fechner, twórca metody psycho-fizycznéj, bronił zasady, że ciało i dusza są nierozłącznemi, że jedno jest bez drugiego nie możliwe, że są tylko wewnętrznym i zewnętrznym objawem tego samego zjawiska. Na obronę tego poglądu wysilał Fechner wszystkie zasoby swego geniuszu, swego bystrego dowcipu i świetnéj stylistyki. „Niestety — i ta hypoteza, chociaż wspaniała—ma przecież, jak wszystko na świecie, swoje dwie strony: jest nadzwyczajnie poetyczną i niezwykle ponętną, ale téż niemniéj ciemną... Jéj prawdziwéj istoty nikt się jeszcze nie dopatrzył, i nikt inaczéj nie wytłomaczył, jak przez alegoryę."

Ten brak ścisłości w określeniu pojęć i dwuznaczność, tkwiąca w przedstawieniu rzeczy—przyczyniły się do fałszywego zrozumienia myśli Fechnera i wysnucia z niéj wniosku wprost niedorzecznego, iż funkcye cielesne i psychiczne są sobie „równoległe", t. j. działają z osobna bez wzajemnego oddziaływania i nigdy nie łączą się w jedną całość. Istnieją zatém te dwa światy tak, jak gdyby każden z nich istniał sam jeden. Jeśliby jednak koniecznie należało już przyznać materyi pewien wpływ na funkcye duszy — nie można przecież twierdzić tego samego o działaniu duszy na ciało, które od wpływów psychicznych jest zawsze i wszędzie—zdaniem owych glosatorów Fechnera—wolne; organizmy więc żyją i spełniają swoje instynktowe materyalne funkcye, gdy tymczasem „właściwi ludzie" t. j. ich umysły rozmyślają, rządzą, dyplomatyzują, tworzą poematy i t. d.—ale zawsze jedno niezależnie od drugiego.

Szczególnie przeciwko temu właśnie rozumieniu fechnerowskiéj teoryi zwrócił Stumpf zjadliwe ostrze ironii, posługując się przytém pracami badacza wiedeńskiego E. Macha, znanego ze swych prac w dziedzinie badań psychologicznych.

Minister wyznań i oświaty v. Landmann, który imieniem rządu bawarskiego przywitał kongres, wyraził życzenie, aby kongresy psychologiczne położyły tamę „pewnym błędnym doktrynom i aby drogą nauki przywróciły dogmat o odpowiedzialność każdego człowieka za swe czyny do pierwotnego znaczenia.”

Na to otrzymał zaraz odpowiédź od profesora Liszta z Halli, który ze szczególnym naciskiem zaznaczył w swym wykładzie „o odpowiedzialności kryminalistycznéj”, iż z wezwaniem ministra, aby kongres środkami nauki rehabilitował dogmat wolnéj woli, pod żadnym warunkiem się nie zgadza. Braki w obecném prawie karném rzucają się same w oczy, — a powodem ich właśnie zastarzały „dogmat o odpowiedzialności”, który z dogmatem o „wolnéj” woli ma rażące podobieństwo, mimo, że nauka wolną wolę już dawno ze słownika naukowego wypleniła. Jeśli już mamy do czego dążyć drogą nauki,—kończy profesor Liszt — dążmyż do stworzenia racyonalnego kodeksu karnego i do zastąpienia tegoczesnych więzień urządzonemi odpowiednio domami poprawy.

Profesor Richet (z Paryża) miał wykład „o boleści” (*sur la douleur*) „któréj zadaniem jest chronić dotknięte nią istoty przed szkodliwemi wpływami.” ...Boleść powstaje albo z powodu bardzo intensywnego albo téż anormalnego wzburzenia systemu nerwowego, tak że cel swój (ochrony) osiąga boleść w sposób „doskonalszy”, niż się to dzieje przy pomocy bezwiednych refleksów. Nie wytłomaczył jednak referent, dlaczego niektóre gwałtowne trucizny, jak np. morfina, haszysz, nikotyna, a po części kofeina, theina i inne nie tylko nie sprawiają naszemu organizmowi boleści, lecz owszem pewną rozkosz. Nadto jest boleść—zdaniem Richeta—podstawą wszelkiéj moralności. Dlaczego? Ponieważ bez poprzedniego uczucia boleści nie zdobyłby się żaden człowiek na litość, a doświadczenie nadto poucza nas, iż choroby osłabiające wrażliwość na doznawany ból, pociągają za sobą równocześnie deprawacyę moralnego charakteru rekonwalescenta.

To osłabienie wrażliwości na ból tłomaczy również bardzo prawdopodobnie demoralizujący wpływ alkoholu i narkotyków—a po części téż suggestyi i hypnozy na organizmy ludzkie.

Z wykładów dni następnych, wymienię tylko te, które najwięcéj zyskały rozgłosu. Zaznaczę jednak wprzód charakterystyczną cechę obecnego kongresu: jest nią nadzwyczajna uwaga poświęcona pedagogii.

Już sam fakt, iż największa liczba uczestników pochodzi z klasy pedagegów (profesorowie uniwersytetu) przyczyniła się do wysunię-

cia stanowiska psychologii wobec pedagogiki i ich wzajemnego oddziaływania na pierwszy plan. Sprawa ta była omawiana nadzwyczaj obszernie w piątéj sekcyi, przeznaczonéj wyłącznie na przedyskutowanie tego przedmiotu. Nowo osiągnięty rezultat nie jest wprawdzie doniosły w tym stopniu, aby w dziejach racyonalnego rozwoju publicznego i prywatnego wychowania stworzył epokę, jest on jednak sporym krokiem naprzód do owego wydoskonalenia metody pedagogicznéj, zdolnéj „stwarzać" ludzi—jak się wyraził pewien optymista—zdolnéj charaktery urabiać w dowolne formy, jak rzeźbiarz tworzy posągi. Nie wchodzę w zasadniczą wartość tego twierdzenia, stojącego w rażącéj sprzeczności z teoryą Lombrosa,—*relata refero* a przedmiot omówię obszerniéj, skoro w sprawozdaniu przyjdzie nań koléj.

Na drugiém walném zgromadzeniu przypadło przewodnictwo obrad (według turnusu narodowości) profesorowi Richetowi. Zabrał głos ulubieniec całego zgromadzenia lipski profesor psychiatryi i dyrektor domu obłąkanych dr. Paul Flechsig dla omówienia swéj oryginalnéj teoryi „o centrach asocyacyi w mózgu ludzkim."

Hyrtl wyraża się w swém wiekopomném dziele „Zasady anatomii" o badaniach mózgu, że są one częścią anatomii najzmudniejszą i najmniéj dającą rezultatów. Badając bowiem inne organa, można po części z kształtów ich wnioskować o funkcyach, które spełniają. Tymczasem z mózgiem sprawa ma się całkiem inaczéj. Nadzwyczaj zawikłana budowa nie dozwala rozpatrzéć dokładnie jego składu i mimo niewątpliwego przekonania o ścisłym związku istniejącym między funkcyami umysłowemi a funkcyami fizyologicznemi mózgu—niepodobieństwem było aż do niedawna rozświetlenie tajemniczego mroku, osłaniającego ten związek. Trzeba było zatém poprzestawać na powierzchownych i ogólnych spostrzeżeniach, bez możności wykazania dlaczego się to wszystko dzieje właśnie tak a nie inaczéj—i na jakiéj zasadniczéj prawdzie możliwe jest sformułowanie i określenie systemu tych skombinowanych objawów psychicznych.

Już samo zbadanie opony mózgowéj z jéj niezliczonemi zmarszczkami, fałdami i zaklęsłościami o kilometrowych długościach, było wprost nie do osiągnięcia, jeśli się weźmie na uwagę niedołężny sposób naukowéj metody badania i zupełną nowość przedmiotu. Ale brak metody i odpowiednich instrumentów był nie jedyną przeszkodą. Drugą—może jeszcze ważniejszą od pierwszéj, była teologia, która swą metafizyczną siatką, jak pajęczyną, zasnuła wejście do tego *mysteryum* duszy ludzkiéj, szukanego przez ludzkość od lat tysiąców. Tłomaczenie zagadki „rozumu" i duszy ludzkiéj na podstawie fizyologii jest jeszcze obecnie przez teologię i jéj przedstawicieli wzbranianém. Dla

czego? Odpowiedź na to pytanie należy do historyi cywilizacyi ludzkości—nie do kongresu psychologicznego. Dość, że tak jest—stwierdzamy fakt, — a dalszym wynikiem tego faktu jest niedołężność słownictwa naukowego co do mózgu. Nowe odkrycia wymagają nowych, najkrótszych określeń. Badacz więc, poświęcający się odkryciu nieznanéj dziedziny naukowéj, ma do spełnienia dwie ciężkie prace: techniczną i lingwistyczną I stąd tłómaczy się mnogość nowych wyrazów, które co roku wzbogacają międzynarodowy słownik, tworząc, nieznany dotąd w dziejach ludzkości, język międzynarodowy.

Wytrwałość, poświęcenie i skromność prawdziwéj nauki, pokonywają jednak wszelkie przeszkody — i stanu obecnego badań mózgowych nie można nazwać inaczéj, jak (uwzględniwszy młodość nauki) ze wszechmiar zadawalniającym. Oczywiście, nie należy tu ani na chwilę zapominać o celu psychologii. Nie jest on tak daleki, jak czystéj, spekulatywnéj metafizyki teologicznéj—ale téż o tyle od niego praktyczniejszym, że go można osiągnąć. Nie chodzi psychologii o p o w s t a n i e duszy, ale jedynie o wytłómaczenie jéj funkcyi na zasadzie współczesnéj fizyologii i chemii, aby przez tę dyagnozę przynieść ulgę choréj ludzkości.

Po długich, ciężkich badaniach, wymagających wytrwałości i cierpliwości, o których profan nawet pojęcia mieć nie może — udało się wreszcie wypełnić przepaść dzielącą funkcyę od organu i znaleść kompas, wiodący nas do wyznaczonego celu w chaotycznym labiryncie komórek mózgowych. Oryentujemy się już, jakkolwiek—oczywiście—nie lepiéj, aniżeli na to pozwala nasza młoda nauka. Pierwszym niezmordowanym pracownikiem na tém polu był wiedeński profesor Maynert, ten „piewca epiczny mózgu" *(Epiker des Gehirns)*, który badania swe prowadził bez odpowiednich instrumentów, bez pomocy z zewnątrz—oddany własnemu geniuszowi wynalazcy. I rzeczywiście, jest on pierwszym, co stworzył metodę, odpowiednie instrumenty i wskazał drogę, po któréj jego epigonowie dążą pewnym krokiem do jasno określonego celu.

Prace Fritsch'a i Hitzig'a wykazały niezbicie, iż mózg podzielony jest na części, z których każda odnosi się do pewnych funkcyi organizmu. Przy pomocy prądu elektrycznego wykazano na mózgu psa, iż drażniąc pewne sfery opony mózgowéj, wywołuje się pewne stale się powtarzające ruchy reszty ciała. Pierwszy krok był tém samém uczyniony. Chodziło teraz o ścisłe określenie tych dziedzin. Dokonał tego profesor Hermann Munk, który podał dokładny plan mózgu fizyologiczny i funkcyonalny przy pomocy swéj słynnéj metody e k s t y r p a c y i, t. j. wycinań całych części mózgowia. Był to jedyny ekspery-

mentalny sposób przekonania się o związku dotyczących części z resztą organizmu. Wiwisekcya ta wykazała, które funkcye zostają w danym razie sparaliżowane—i w ten sposób zdołał Munk podać dokładną mapę mózgu, według którój część jego tylna (od potylicy) spełnia funkcye wzroku, przednia (ciemię) funkcye motoryczne, boczna (skronie) funkcye słuchowe i t. d.

Zapomniał jednak Munk o wykazaniu w mózgu dziedziny spełniającéj czynność najważniejszą, a mianowicie: myślenia — i tu właśnie uzupełnia jego teoryę prof. Flechsig swą hypotezą o centrach spójkowych (asocyacyjnych).

Myślenie polega—jak już zresztą język łaciński instynktowo słowem *co(a)gito* odgaduje — na współudziale wrażeń wszystkich zmysłów. Im lepiéj zmysły wrażenia przyjmują, czyli im zmysły są wrażliwsze, a następnie im dokładniéj te wrażenia są skombinowane, tém myślenie jest dokładniejsze i bogatsze w rezultaty, tém dokładniejsze pojęcia tworzy indywiduum o przedmiotach, sprawiających na jego zmysłach wrażenia. Chodziło więc o wykrycie fizyologicznych funkcyi sprawiających właśnie owo współdziałanie wrażeń, które teorya już drogą czysto abstrakcyjną wykryła. Fizyologicznie i anatomicznie udowodnił ją Flechsig przy pomocy swéj oryginalnéj, od niego nazwanéj metody badania opony mózgowéj. Naukowa jéj nazwa brzmi: ewolucyjna metoda Flechsiga *(Flechsig'sche entwickelungs-geschichtliche Methode für das Studium der Gehirnbahnen).*

Przewody nerwowe w mózgu i zagłębienia tworzące się na jego oponie, nie znajdują się odrazu w stadyum pełnéj zdolności funkcyonowania. Następuje to stopniowo i to bardzo powoli. Przy pomocy barwnych nastrzykiwań masą, również przez Flechsiga wynalezioną, można ten proces na preparatach bardzo dokładnie zaobserwować. Widzi się więc, jak grupy, z początku zlane z sobą w jedną całość, z czasem się rozdzielają; jak stopniowo postępuje rozwój nerwów przewodnich, łączących zmysły z odnośnemi częściami mózgu—i jak z tych części wywiązują się następnie, z rozwojem indywiduum, motoryczne przewody, nawiązujące stosunki mózgu z całym organizmem. I — co najważniejsza—tą samą metodą namacalną wykazuje Flechsig prawdę swéj hypotezy spójkowéj: podobnie więc, jak się widzi, najdokładniéj rozwój stosunku reszty organizmu z mózgowiem, podobnie przekonywamy się, że część mózgu, dojrzewająca najpóźniéj, nie wstępuje nigdy w bezpośredni stosunek ze zmysłami, ale ogranicza się jedynie do wzajemnego łączenia pojedyńczych sfer mózgowych, przyjmujących bezpośrednio wrażenia zmysłowe. Właśnie te części mózgu, bierne

wobec pojedyńczych zmysłów, a czynne wobec sfer mózgowych, nazywa Flechsig centrami spójkowemi *(Associations-Centren)* i widzi w nich substrat, zasadę wyższych czynności umysłowych, t. j. logicznego myślenia.

Że tak jest rzeczywiście, wykazał to Flechsig na swych znakomitych preparatach, a nadto przytoczeniem licznych wypadków patologicznych, obserwowanych codzień w klinikach psychiatrycznych. Anormalny stan tych ośrodków nie pociąga za sobą sparaliżowania żadnego ze zmysłów. Dotknięty nim osobnik ani głuchnie, ani ślepnie, ani nie traci mowy, smaku lub powonienia,—ale w sposobie jego myślenia następuje widoczna rozterka. Zatraca się logiczny związek między wrażeniami—i indywiduum popada w stan — obłąkania. Sekcyonując mózg waryata, można przez mikroskop przekonać się jak najdokładniéj o patologicznych zmianach zaszłych w komórkach i włókienkach spójkowéj części mózgu.

Skoro więc zajdą w mózgu takie zmiany patologiczne, natenczas jasne pojęcia ustępują miejsca halucynacyom, a zdolność korzystania z przeszłych doświadczeń i snucia z nich świéżych wniosków—słabnie i powoli zanika. Z tego, niezliczone razy obserwowanego a nożem i mikroskopem sprawdzonego zjawiska widzimy, iż obłąkanie umysłowe nie jest jedynie zewnętrzném, abstrakcyjném zagmatwaniem logiki myślenia, nie mającém z wewnętrznym stanem organizmu nic wspólnego. Pogląd ten, trzymający się dotychczas uparcie niektórych głów, jest z gruntu błędny. Widzimy bowiem, że obłąkanie jest tylko wynikiem chemicznego zaburzenia w ośrodkach spójkowych — powstaje więc na zasadzie czysto fizycznéj. I z téj zasady wychodząc — profesor Flechsig kończy temi słowy wykład: może psychiatrya naukowa za swe hasło przyjąć słowa, włożone przez poetę w usta króla Lear'a: „My przestajemy być sobą, skoro natura gnębiącym naciskiem zniewala duszę, — wraz z ciałem znosić katusze."

Długi, nieskończony oklask nagrodził głęboki, z przejęciem i poezyą wygłoszony referat uczonego męża. Sala i galerye w niemej ciszy słuchające zajmujących i mimo całéj głębi, z niezrównaną swobodą i przystępnością przedstawionych rezultatów długoletnich badań w laboratoryum, zgodnie wieńczyły nieustraszonego pioniera postępu, który z uśmiechem szczerego zadowolenia dziękował za uznanie wdzięcznéj publiczności. W bardzo ożywionéj dyskusyi, wywołanéj tym wykładem, zabiérali między innemi głos profesorowie: Teodor Lipps (Monachium), Stumpf (Berlin), Ebbinghaus (Wrocław), Forel (Jena) i Dechterew (Petersburg). Na szczególniejszą wzmiankę zasłu-

guje replika pierwszego z wymienionéj grupy, Lippsa, odznaczająca się ciętą dyalektyką: Nie zgadza się na ograniczenie specyalistów do czystéj psychologii, to jest do wyłącznego badania mózgu, ponieważ jednostronność taka prowadzi do izolowania téj części medycyny od reszty biologicznych zjawisk; nie zgadza się również z zuchwałém hasłem Alberta Langego (słynny psycholog duński) „psychologia — bez duszy". Wystąpienie jego, a zwłaszcza ostatnia wzmianka polemiczna, jest objawem dla obecnych stosunków uniwersyteckich—nadzwyczaj charakterystycznym. Oto badacze, nie wzdrygający się w swém laboryatoryum lub na swéj klinice przed snuciem najparadoksalniejszych wniosków, gdy przychodzi do zastosowania owych, wysnutych przez nich samych wniosków, w praktycznėm życiu społeczeństwa, w stosunku do tradycyjnych dogmatów o moralności, cnocie i t. d. — albo stają bezradni, albo wprost cofają się wstecz z obawy przed „zbytnią" oświatą, mogącą łatwo sprowadzić przewrot uświęconych tradycyi...

Profesor Giuseppe Sergi (professor ord. di Antropologia, Roma) miał wykład o naturze i siedzibie afektów. Rozpoczął od słów Langego, że nie afekty i nie wszelkie inne wzruszenia są powodami fizyologicznych zjawisk towarzyszących im pospolicie, lecz przeciwnie — są one ich wynikiem. Jeśli więc np. Pascal czyni z gorzką ironią uwagę, że pobożność większéj części ludzi polega jedynie na pokropieniu się święconą wodą i klepaniu — w udanym zachwycie — pacierzy, podobnie i Lange jest zdania, iż rzeczywisty stan duszy jest wobec afektu zjawiskiem drugorzędném. Człowiek musi być fizyologicznie, z urodzenia, skłonnym do pobożności i nabożeństwa: modli się i przewraca obłudnie oczami, bo to mu już leży w naturze. W dalszym ciągu omawia referent siedzibę afektów i — odmiennie od dotychczasowych hypotez — szuka jéj nie we właściwym mózgu, lecz w przedłużeniu rdzenia pacierzowego.

Ostatni wykład na drugiém walném posiedzeniu, miał profesor Preyer (Jena) o psychologii dziecka, któréj dokładne poznanie, w związku z całą psychologią porównawczą, może się nadzwyczaj przyczynić do gruntownego poznania psychicznéj organizacyi człowieka. Cały rozwój psychiczny ludzkości przechodzi w skróceniu każde dziecko normalnie rozwinięte. Z początku brak mu zupełnie znamion różniących człowieka od zwierzęcia. Nie zna ono nawet afektu bojaźni. Ale już w przeciągu jednego roku prześciga pod względem inteligencyi zwierzę, a następnie daje coraz lepsze dowody szybko wzrastającéj pojętności i tém samém zbija twierdzenie, że „podstawą myślenia jest mowa". Dokładne zbadanie duszy dziecięcéj przyczyniłoby się do rozwiązania zagadki o powstaniu instynktowego pojęcia czasu i prze-

strzeni. Wykład nie stał zresztą na wysokości poprzednich, zwłaszcza Flechsiga; był jedynie reprodukcyą poglądów i twierdzeń oddawna znanych i uznanych.

Na ostatniém walném (b. liczném) zgromadzeniu, przewodniczył Zygmunt Exner, profesor fizyologii w uniwersytecie wiedeńskim. Głos zabrał były wiedeński profesor filozofii, dr. Ludwik Brentano, którego przed dwoma laty minister Madeyski zmusił do ustąpienia. Sprawa ta była w swoim czasie bardzo głośną w całéj prasie niemieckiéj. Wykład traktował o wrażliwości *(Ueber autokinetische Empfindungen).*

W pierwszéj części swych wywodów zwrócił Brentano uwagę na językowe określenia wrażeń, odnoszących się do rozmaitych zmysłów. Te same określenia służą do scharakteryzowania np. pewnéj farby i pewnego tonu. Mówi się o „krzyczących farbach”, o dobrze cieniowanéj instrumentacyi, o wrzaskliwym kolorycie i t. p. To pomieszanie cech z rozmaitych dziedzin wrażliwości, objawia się szczególnie jaskrawo we współczesnéj literaturze francuskiéj, gdzie jest rozmyślnie i z artyzmem uprawiane. Znane jest nadto w nauce owo określenie pierwszego wrażenia czerwonego światła sprawionego na ślepym od urodzenia, który w dojrzałym wieku został operowanym: zdawało mu się, że słyszy silny dźwięk trąbki (krzycząca barwa). Z tych wszystkich zjawisk obserwowanych, można wnioskować o wspólném źródle wszystkich wrażeń, będącém zarazem źródłem całego życia duchowego. Psycho-fizyologii pozostaje do zbadania właściwa natura tego życia duchowego, przyczém analiza psychologiczna musi badać naprzód objawy najprostsze, a następnie zdążać do skomplikowanych. W drugiéj części referatu rozbiérał Brentano istotę „napięcia” wrażenia *(Intensität der Empfindung).* Jest ono — zdaniem referenta — drugorzędną cechą odnośnego wrażenia. Cechą zasadniczą jest przedewszystkiém jego barwa i charakter sam przez się.

Wykład Brentana, jako nie-medyka, ma znaczenie jedynie ze względu na zręczne poglądowe zestawienie faktów i wysnucie z nich— drogą czysto logiczną — wyż wymienionych wniosków. Nie mówią one — w gruncie rzeczy — nic nowego, ale że referent z powodu zajścia z ministrem zyskał nadzwyczajną u publiczności i kolegów po katedrze popularność, przeto słuchano zajmującego i pięknie wygłoszonego wykładu z uwagą, a mówcę obdarzono oklaskiem.

Następny wykład wrocławskiego profesora filozofii, d-ra Hermana Ebbinghausa „o najnowszéj metodzie badania zdolności umysłowych i zastosowania jéj do uczucia”, stanowi krok w psychologii pedagogicznéj. Doniosłość nowéj metody témbardziéj się uwydatni

im lepiéj uzmysłowimy sobie dotychczasową niedołężność wychowania szkolnego w tym kierunku i ujrzymy niezwykłą prostotę środków, przy pomocy których psychologia pedagogiczna osiąga niebywałe dotychczas rezultaty.

Przedewszystkiém chodziło o wykrycie takiéj metody, któraby dała wyniki możliwie najpewniejsze, a nie jak dotychczasowe, przybliżone. Np. metoda słynnego pedagoga austryackiego, Burgersteina, polega na zatrudnianiu kilkugodzinném dzieci zadaniami rachunkowemi i wnioskowaniu następnie z ilości wykonanéj pracy i stopniowo wzrastającéj ilości błędów rachunkowych o stopniu zmęczenia. Na zasadzie téj metody doszedł Kraepelin do przekonania, iż już w trzeciéj godzinie takiego zajęcia, dzieci znajdują się w pewnego rodzaju narkozie, wywołanéj zmęczeniem *(Ermüdungsnarkoze)*, która czyni dłuższą naukę zupełnie bezcelową. Nauka ta byłaby dla dzieci męczarnią, gdyby nie ich „błogosławiony przymiot roztargnienia, który im dozwala wyrwać się z żelaznych uścisków nauki szkolnéj.” Tę metodę jednak uważa Ebbinghaus za nieodpowiednią, ponieważ rachunki są dla dzieci zajęciem nietylko najbardziéj nużącém, lecz zarazem najbardziéj nudném; osiągnąwszy więc jakiś rezultat z tego rodzaju badania, niewiadomo ile w nim przypisać wpływowi zmęczenia, a ile znudzenia. Metodzie Griesbacha, polegającéj na mierzeniu wrażliwości skóry, referent nie przypisuje również wielkiéj doniosłości.

Uwzględniwszy nadto fakt, że właśnie najwięksi geniusze nie szczycili się ani zbytniemi zdolnościami matematycznemi, ani nadzwyczajną pamięcią, zbudował Ebbinghaus swą metodę na zasadzie — domyślności. Więc nie pamięć lub wrażliwość skóry, lecz wrodzony spryt jest, według referenta, jedyną najpewniejszą zasadą metody, mogącéj dać pojęcie o sile zdolności dziecka. Najpewniejsza cecha umysłowéj zdolności we wszystkich kierunkach polega na uzupełnianiu pewnych skojarzonych wrażeń, uwzględniwszy wprzód właściwy cel. Np. skoro lekarz z zawikłanych symptomów stawia dyagnozę, lub skoro generał ze skąpych informacyi domyśla się stanowiska nieprzyjacielskiego i odpowiednie rozkazy wydaje, albo gdy artysta z pospolitych rysów swego modelu wydobywa ogólne cechy i tworzy typową postać—to wszyscy tu działają jedynie według wyż podanéj metody—i tym sposobem wystawiają sobie sami świadectwo swych zdolności — a nikomu nie przyjdzie na myśl zapytać, czy ten lub ów mistrz w swym zawodzie ma dobrą pamięć, albo czy umié dobrze rachować, lub czy ma wrażliwą skórę.

Metoda ta, zastosowana do dzieci, polega przedewszystkiém na wypełnianiu zdań, gdzie niektóre słowa są albo zupełnie wypuszczone

albo tylko zaznaczone. Ze związku ma się dziecko domyśléć znaczenia opuszczonego wyrazu. Jako charakterystyczną próbkę przytacza prelegent zdanie następujące: „*Eine Abtheilung Grenadiere wurde ausgeschickt, um unsere T — — und V — — ins Lager zu bringen*" (Oddział grenadyerów został wysłany, aby naszych *z* — — i *r* — — przeniósł do obozu). Jest to zdanie wyjęte z opisu oblężenia Kolbergu, a zadaném było w pewnéj szkole żeńskiéj. Widocznie bardzo moralnie wychowana dziewczynka wypełniła braki przy „*T* — — " i „*V* — —" na „*Tanten*" i „*Verwandten*" zamiast „*Todten*" i „*Verwundeten*". Bez względu na ten mimowolny komizm, jaki czasem w podobnych wypadkach się trafia, zgadzają się wszyscy pedagogowie, którym referent polecił tę metodę do wypróbowania, że jest z zastosowywanych dotychczas najlepszą, ponieważ dozwala sądzić zdolności dzieci z bezstronnością i ścisłością prawie matematyczną. Wnioski zatém, dotyczące pomiarów zmęczenia dziatwy szkolnéj, a osiągniętych tą metodą, wykazują, że praca już w trzeciéj godzinie co do ilości wzrasta *(Quantität)*, ale pod względem jakości *(Qualität)* poczyna raptownie upadać. Obliczenia te nie są jeszcze skończone, ale jakkolwiek jest, rezultat wykazuje ścisłość, pod każdym względem zadawalającą i upoważnia tém samém do nadziei, że dla wychowania publicznego świtają wreszcie lepsze czasy.

Wykład d-ra P. Janeta, profesora psychologii w paryskiém w Collège de France, p. t. „O konieczności hipnotyzowania histeryków i opieki nad chwiejnymi" *(Le besoin de l'hypnotisme chez les hystériques et le besoin de direction chez les douteurs)* dowodzi, jak bezzasadnym jest zarzut, iż naukowa psychologia współczesna zasklepia się w laboratoryach zdala od trosk i nędzy życia codziennego, ograniczając się do tworzenia z żywych obserwacyi, oderwanych pojęć i klasyfikowania ich następnie w systemy.

Janet wykazuje wpływ hipnozy na histeryków i dowodzi, że przy pomocy suggestyi dadzą się u nich nieraz najcięższe choroby na pewien czas usuwać. Z początku są pacyenci od wszelkich chorobliwych objawów zupełnie wolni, odżywianie jest normalne, czynności umysłowe w porządku. Ale po pewnym, niezbyt długim, czasie, zjawiają się wszystkie dawne symptomy i to z niemniejszą, jak przedtém, gwałtownością. Tu można obserwować objaw w wysokim stopniu interesujący: pacyenci okazują nałogową potrzebę powtórzenia hipnozy, powtórnego poddania się jéj wpływowi, a w razie zadośćuczynienia ich żądaniu, chęść owa powtarza się w coraz krótszych odstępach czasu. Janet zwraca uwagę, iż pod tym względem histerycy niczém się

nie różnią od nałogowych alkocholików, morfinistów i t. p. nałogowych miłośników środków narkotycznych.

Z czasem osiąga osoba hipnotyzera nad swojém medyum nieograniczoną władzę i wypełnia jego całą jaźń, cały byt umysłowy i fizyczny. Przed laty odwiedził Charcota pewien młody lekarz z prośbą o środek, którym mógłby się pozbyć młodéj histerycznéj pacyentki, wyleczonéj przez niego właśnie w ten, cudowny sposób. Zdaniem referenta, każde histeryczne indywiduum, poddane przez jedną dobę bezustannemu wpływowi hipnozy, traci na zawsze własną wolę, i jakkolwiek żyje napozór zupełnie normalnie, jak wszystkie osoby z jego otoczenia, przestało ono w rzeczywistości być s o b ą i znajduje się wobec swego hipnotyzera w stosunku bezwzględnéj niewolniczości. Nierzadkie są wypadki, gdzie pewne osoby niezdolne są do najdrobniejszéj rezolucyi. Lekarz ich jest bezustannie zarzucany pytaniami w rodzaju: Czy mam jeść? Czy mam wstać, albo siąść? Czy mam wyjść?—a rozkazy spełniają rzeczywiście, jak automaty. Po pewnym jednak czasie trzeba je, jak zégarek, nanowo nakręcić.

Ten stan umysłowy ustępuje czasem, skoro zajdą nagle w życiu pacyenta jakieś gwałtowne rozstrzygające wypadki, wymagające szybkiéj a stanowczéj rezolucyi. Np. co roku zjawia się w szpitalu Salpêtrière po kilka tuzinów dziewcząt, które nie mogą się zdecydować na z a m ą ż p ó j ś c i e i popadają w pewien specyalny, chorobliwy stan *abulii*, t. j. zupełny brak własnéj woli, zupełna bezwładność energii umysłowéj. Jedyny środek leczniczy na to—według Janeta—jest, poddanie im odpowiedniéj rezolucyi.

Również ciekawym typem chorobliwości są „moralni zbrodniarze", t. j. indywidua cierpiące na bezustanne wyrzuty sumienia z powodu urojonych zbrodni. Chorzy ci zjawiają się co pewien czas u lekarza po „pociechę". Parę słów — a odchodzą szczęśliwi, aby po jakimś przeciągu czasu znowu w tym samym celu powrócić.

Janet kończy zdaniem, iż wszyscy jesteśmy p o t r o c h u takiemi naturami niewolniczemi, to téż owa przewaga demoniczna, jaką sobie potężne osobistości zyskują nad ogółem, nie jest czémś tajemniczém.

Prof. Lipps z Monachium kończy ostatnie walne posiedzenie wykładem „o pojęciu nieświadomości w psychologii", w którym zaznacza konieczność ograniczania się do metody badania doświadczalnéj i do ścisłego przestrzegania pozytywnego czynnika psychologii. Z m e t a f i z y k i n a l e ż y z u p e ł n i e z r e z y g n o w a ć. W psychofizyologii ma głos tylko „czysta" psychologia; wszystko inne jest tylko przeszkodą w jéj rozwoju.

Tym wykładem zostały walne rozprawy zamknięte. Pozostają jeszcze do omówienia najważniejsze referaty w sekcyach.

Zasadniczéj wartości wykład, który przedewszystkiém zasługuje na wzmiankę, miał znany neurolog frankfurcki, profesor dr. L. Edinger. Temat: „Czy psychologia może z współczesnéj anatomii mózgu ciągnąć korzyści?"

Od ćwierci wieku przeszło szukają psychologowie konkretnéj podstawy dla nauki o duszy w anatomii mózgu. Mimo to, znaczeznaczenie téj gałęzi badania zagadnień psychologicznych, nie jest stosunkowo tak doniosłém, jak w rzeczywistości być powinno. Powód leży w fakcie, że psychologowie zwracali dotychczas uwagę jedynie na mózg wielki i jego funkcye. Ta jednostronność w badaniu stała wyświetleniu kwestyi wyższych funkcyi umysłowych na przeszkodzie, gdyż mechanizm tych funkcyi będzie dopiéro wtedy należycie zrozumiany, skoro zostaną przedewszystkiém zbadane owe zasadnicze, najprymitywniejsze mechanizmy, które pozornie tak są przejrzyste, że już z góry można obiektywnie przewidziéć, jakie czynności leżą w ich zakresie. Ścisłe zrozumienie i obliczenie funkcyi całego aparatu mózgowego można osiągnąć jedynie drogą porównawczéj anatomii mózgu. W tym celu należy rozpocząć najściślejsze badania według teoryi ewolucyjnéj, t. j. od zwierząt najniższych w górę, stopniowo aż do mózgu ludzkiego. Referent wykazuje prawdę swych wywodów na licznych a znakomitych preparatach.

W drugiéj sekcyi referował dr. Christian baron von Ehrenfels, prywatny docent filozofii na uniwersytecie wiedeńskim „o etyczném poczuciu wartości", prof. Lipps „o wrażeniu estetyczném i złudzeniu optyczném", prof. Ribot „*L'abstraction des émotions*", Lazzarini Giulio, profesor filozofii w Pawii, „o definicyi prawdy", a nadto wielu innych o najrozmaitszych dziedzinach umysłowéj działalności człowieka, przedewszystkiém zaś o zasadniczém zagadnieniu estetyki psychologicznéj.

Mimo wszechstronnego rozpatrywania téj ostatniéj kwestyi, stanowczo jéj nie rozwiązano. Zgodzono się na jedno, że wrażenie estetyczne jest jedynym w swym rodzaju stanem psychicznym, który niezależnie od obiektu, ma swe właściwe znamiona, a mianowicie swobodne kojarzenie wyobrażeń, czyli nieohamowany bieg fantazyi wobec częściowego zaniku potrzeb fizycznych. Nad tę ogólną definicyę, brak wszelkiéj szczegółowszéj. Co jest istotą piękna? Dlaczego rytmiczny, melodyjny dźwięk muzyki lub deklamacyi, albo widok pięknego malowidła, budzi w nas uczucia tak różne od owych, które się czerpie w monotonii życia codziennego? Gdzie jest źródło tych uczuć?

Te pytania pozostały nierozwiązanemi. Metafizyka ze swojemi spekulacyami, kategoryami, sylogizmami, całą logiką, dyalektyką — mimo odwiecznych szperań i wietrzeń za prawdą—pozostawiła zagadkę tym samym tajemniczym sfinksem, jakim ją zastała. Zaś młoda nauka, jaką jest psychologia eksperymentalna, ledwie tknęła zagadki bezlitośnym nożem badacza, a już można zaznaczyć krok naprzód, drobny wprawdzie, lecz wobec odwiecznego zastoju ogromny.

Metoda, którą współczesna psychologia zdąża do celu, jest ewolucyjna. U zwierząt niższego rzędu brak jest wszelkiego poczucia estetyki; czynność narządów ogranicza się tam do walki o byt. W miarę, jak się organizm zwierzęcy rozwija, ustępuje dotychczasowa ścisła celowość narządów, organizm nie ogranicza swych funkcyi wyłącznie do walki o byt, lecz poczyna szukać „przyjemnego wypoczynku, zabawy". I właśnie w tych bezcelowych funkcyach, objawiających nadwyżkę energii życiowéj, niespotrzebowanéj w walce o byt — leżą pierwsze zaczątki, najprymitywniejsze formy sztuki. Hipoteza ta rozwinięta jest w dziele, świeżo wyszłém z druku p. t. „*Die Spiele der Thiere*" (1896) przez Grossa, nie wyjaśnia jednak faktu, dlaczego ów zmysł estetyczny w walce o byt nietylko nie słabnie, lecz, owszem, coraz lepiéj się rozwija. Teorya Darwina naturalnego doboru wyświetla sprawę, lecz tylko częściowo. O zupełném rozwiązaniu powyższych pytań—dotychczas mowy być nie może. W każdym razie jesteśmy na dobréj drodze, sądząc po rezultatach, zdobytych już w tak krótkim czasie.

W trzeciéj i czwartéj sekcyi, obradujących wspólnie, referował profesor Forel o hipnozie i wrażliwości na suggestyę. Rozróżnia on histeryę wrodzoną i nabytą, przyczém zaznacza, iż histerya nie jest prostym, luźnym symptomem patologicznym, lecz kompleksem symptomów, których wybitną cechą jest chorobliwa czułość na wpływ suggestyi *(pathologische Suggestibilität und Auto-Suggestibilität)*. Liczne szczeble, dzielące normalny stan od histeryi, odznaczają się, im są odleglejsze od granicy zdrowia, tém silniejszą czułością na suggestyę. Ogromną doniosłość w kliniczném zastosowaniu auto-suggestyi wykazuje referent na wypadku, gdzie następstwem była śmierć pacyenta.

Profesor Voisin (Paryż), który pierwszy zwrócił uwagę świata medycznego na doniosłość suggestyi w lecznictwie, wykazuje na licznych wypadkach, że możliwość zastosowania jéj w terapii jest nierównie rozleglejsza nad obecne uwzględnianie jéj w medycynie.

W kwestyi halucynacyi i telepatyi potoczyła się cięta dyskusya. Mrs. Sidgwick broniła rezultatów statystyki halucynacyjnéj, zebranéj

przez specyalny komitet (Sidgwick-Comittée), stojący pod przewodnictwem jéj i jéj męża, Mr. Henry Sidgwick, prof. filozofii moralnéj w Cambridge. Zadaniem tego komitetu jest publikowanie autentycznych (!) faktów halucynacyi, gdzie dane osoby przeczuwają jasno śmierć lub wielkie nieszczęście, spotykające pewną bliską ich sercu istotę—a tém samém udowodnienie rzeczywistego istnienia telepatyi psychicznéj. Publikacye komitetu Sidgwicków odznaczają w całéj masie pism okultystycznych ogromnemi rozmiarami materyału statystycznego. Praca zużyta na zebranie tego materyału, przedstawionego kongresowi, jest dziełem olbrzymiego natężenia i cierpliwości. Czy jednak masa zdolna jest zastąpić dowód? Ktoś z obecnych zauważył złośliwie, iż właśnie ten ogrom jest tylko jednym dowodem więcéj *contra*, ponieważ trudno od komitetu Sidgwicków żądać dobrowolnego zrzeczenia się pomyślnych (!) rezultatów długoletniéj pracy. A rezultaty uzyskane przez panią Sidgwick drogą ścisłego wnioskowania są konsekwentne... do śmieszności. Twierdzi ona, że ilość wypadków, w których halucynacya albo raczéj telepatya, uprzedziła rzeczywiście dane indywidua co do nieszczęść im zagrażających, jest 292 razy większą od rezultatu uzyskanego zwykłym rachunkiem prawdopodobieństwa!...

Na te wywody odpowiedział profesor filozofii z Upsali dr. Bager-Sjögren polemicznym referatem p. t. „Czy jest możliwe w drodze międzynarodowéj statystyki halucynacyjnéj uzyskać potwierdzający dowód istnienia wpływów telepatycznych?” Z pomiędzy dowodów przytoczonych celem wykazania bezpodstawności hipotezy halucynacyjnéj, zasługuje na uwydatnienie dowód, wykazujący najsłabszą stronę zebranego materału statystycznego: Że pomiędzy halucynacyą a odnośném nieszczęściem istnieje związek natury czysto duchowéj, czyli że wypadek nadaje się do statystyki, w rodzaju zebranéj przez komitet, można jedynie w ten sposób udowodnić, jeśli się uda wykazać zupełny brak wszelkiego innego związku między obudwoma zjawiskami. Jeśli np. syn ma wiadomości o ciężkiéj chorobie matki — i w bezsennych nocach twarz jéj nie schodzi mu z oczu i ten stan trwa aż do ostatniéj, smutnéj wiadomości — w takim razie istnienie telepatyi jest wykluczoném, ponieważ przeczucie wywołane zostało nie w drodze czystego, t. j. duchowego związku, lecz w sposób zupełnie naturalnego uprzedzenia. Dopóki zaś w statystyczném archiwum Sidgwicków znajdują się podobne wypadki, póty wnioskom snutym stamtąd brak dostatecznego uzasadnienia.

W rzędzie obrońców pani Sidgwick, a raczéj hipotezy telepatyi, stanął słynny Richet. Zresztą, prócz dowcipnych napaści i gorzkiéj ironii sceptyków, brak było rozprawie nad tym przedmiotem właściwéj

cechy przedmiotowości naukowéj. Przedstawiciele tegoczesnéj nauki uniwersyteckiéj nie mogą zdobyć się w swéj większości na poważne traktowanie spirytyzmu i t. p. fenomenów.

Rzeczywiście racyonalném badaniem okultyzmu zajął się profesor psychiatryi na uniwersytecie w Giessen, dr. Robert Sommer. Na wysłuchanie jego referatu „O graficznéj metodzie odgadywania myśli" i na zbadanie wynalezionego przezeń aparatu, zebrały się wszystkie sekcye razem. W ściśle naukowym wykładzie opisał prof. Sommer drogę, którą doszedł do swego wynalazku. Na myśl tę naprowadziły go spirytystyczne produkcye, w których brał umyślnie udział. Szczególnie zajęło go „odczytywanie myśli" w razach takich, jak np. gdy osoba z zawiązanemi oczyma, lecz oprowadzana za rękę przez drugą osobę, odnajduje ukrytą rzecz. Referent udowodnił, iż podczas takiego oprowadzania, osoba oprowadzająca, wiedząc o kryjówce, nie może nigdy tak dalece nad sobą zapanować, aby wzruszenie nie objawiło się choćby najlżejszym odruchem. Otóż przyrząd prof. Sommera umożliwia graficzne notowanie tych odruchów. Zatém pierwszy krok na drodze doświadczalnych badań tajemnicy odczytywania myśli jest zrobiony!

Zjawił się również na kongresie „zdemaskowany" fakir peszteński. Pan Bheema Sena Pratapa z kasty wojowników Szattrija zaprzeczył, w wydanéj przez siebie broszurze, stanowczo wszelkim „demaskowaniom". Dla udowodnienia prawdy tego twierdzenia, dał się pogrążyć przez d-ra Hoffmanna w sen letargiczny „Yoga", trwający całą dobę. Po upływie tego czasu zbudził go dr. Hoffmann przez silne naciéranie tylnéj części głowy. Po ocuceniu był bardzo znużony, zażądał mléka, wypił go dwa litry — i odzyskał natychmiast dawną rześkość.

W piątéj sekcyi miał profesor fizyologii w Wiesbadenie, dr. W. Preyer, odczyt „O indywidualności w piśmie"; dr. Antonio Marro, profesor w Turynie, „*Les psychoses de la puberté*" (stany duszy w stadyum dojrzewania), mowa dziecka i narodów niecywilizowanych; W. Preyer „Psychologia dziecka"; dr. Edgar Bérillon (Paryż) „Wartość pedagogiczna suggestyi hipnotycznéj" i „Zasady pedagogii suggestywnéj", a nadto znaczna liczba innych. Tematów tych rozbiérać nie będę.

Wypadkiem dnia było doświadczenie ulepszoną maszyną Röntgena. Berlińskie towarzystwo aparatów elektrycznych zaprosiło uczestników kongresu do wzięcia udziału w doświadczeniu. Rezultat przewyższył wszelkie oczekiwania, bo nietylko uwidoczniono części kostne organizmu, ale można było badać całe wnętrze przeświecanego indywiduum, ruchy serca, stan płuc i t. d.

Wieczorem po odbyciu ostatniego posiedzenia, t. j. 7 sierpnia r. z., zebrali się wszyscy kongresowicze na wspólny bankiet. Po licznych toastach, wniósł podsekretarz stanu, Mayr, zdrowie uczonego świata i pośród ogólnych oklasków zaznaczył, iż nauka musi być międzynarodową, jeśli się ma rozwijać. Uczeni wszystkich narodów łączcie się! *Die Gelehrten verschiedener Nationen müssen getrennt marschiren, aber vereint schlagen!*

Miejsce i czas przyszłego kongresu: Paryż w r. 1900.

II. Kongres antropologiczno-kryminalistyczny.

Silna reakcya przeciw teologiczno-jurystycznym pojęciom klasycznéj szkoły prawa karnego, objawiła się w czterech kongresach kryminalistycznych szybko po sobie następujących: w Rzymie, Paryżu, Brukseli i—ostatni—w Genewie. Zadanie, nad którego rozwiązaniem kongresy te pracowały, polegało najprzód na medyczném zbadaniu pojęcia zbrodni. Według szkoły klasycznéj, opierającéj się na prawie rzymskiém, zbrodnia jest objawem „wolnéj woli" danéj jednostki, która, mając do wyboru dwie drogi: cnoty i przestępstwa, wybiéra „dobrowolnie" drogę przestępstwa. Tymczasem badania psychiatrów wykazały zupełną błędność tego poglądu. Skalpel anatoma wykrył, iż wola ludzka jest nadzwyczaj skombinowanym objawem funkcyi organizmu, że o „swobodnéj" woli mowy być nie może, a niektórzy, jak np. Huxley, posunęli się tak daleko, iż nazwali człowieka wprost automatem, maszyną zależną niewolniczo od własnego systemu nerwowego i od mniejszéj lub większéj wrażliwości na wpływy otoczenia.

Poglądy te podjął i niejako wcielił w sobie profesor medycyny sądowéj na uniwersytecie turyńskim Cesare Lombroso—i dał początek szkole kryminalistycznéj, która, opiérając sie na hypotezie o zupełnym braku wolnéj woli, rozpoczęła systematyczną wojnę z zastarzałemi tradycyami prawniczemi.

Jako typ zbrodniarza, przyjmuje Lombroso „przestępcę z urodzenia" *(incorrigibili nati)*, a badania jego szkoły ograniczają się do wyszukania t. zw. stygmatów zbrodniczości, objawiających się nietylko w anomaliach anatomiczno-fizyologicznych, jak np. w niezwykłéj budowie czaszki, w całéj fizyognomii, i w anormalnych funkcyach organizmu, ale nadto w zupełnym braku wrażliwości moralnéj, w t. zw. *moral insanity* (moralne szaleństwo) i w towarzyszącéj mu zwykle epilepsyi. Zbrodnia jest—według Lombrosa—atawistycznym wybrykiem natury ludzkiéj, a ponieważ objawia się wbrew albo i bez woli człowie-

ka, niepodobna więc — po sprawiedliwości — karać za tego rodzaju czyny. Na zbrodniarzu spoczywa ręka „przeznaczenia”. Jest on ofiarą fatalizmu i cierpi niezasłużenie. Co już Mahomet w islamizmie ogłosił za dogmat wiary, to przyjmuje obecnie Lombroso i jego szkoła za pewnik naukowy.

Bezwinność i bezkarność zbrodni uznaje więc nowa szkoła w zasadzie. W praktyce jednak, będąc zmuszoną uwzględnić społeczeństwo, w którém zbrodniarz żyje, szuka sposobu uczynienia nieszkodliwym osobnika anormalnego i zabezpieczenia tym sposobem otoczenia przed następstwami jéj chorobliwego stanu. Metoda, którą się kieruje, wykazuje właśnie słabe strony Lombrozyanizmu i niedojrzałość kryminalistycznéj teoryi, do zastosowania jéj w praktycznéj kryminalistyce. Lombroso żąda bowiem dla „zbrodniarzy z urodzenia” (t. j. niepoprawnych czyli „nieuleczalnych”, w odróżnieniu od zbrodniarzy „przygodnych” t. zw. takich, którzy jedynie przypadkowym zbiegiem okoliczności zostali pchnięci do zbrodni)—„zupełnego uczynienia ich nieszkodliwymi” czyli dożywotniego więzenia.

W zasadzie niepodobna temu żądaniu odmówić konsekwencyi. Lombroso zapomina jednak o rzeczy najważniejszéj — a to: o daniu ścisłéj definicyi „zbrodniarza z urodzenia”. Dopóki brak jéj, póty przeprowadzenie reformy kryminalistycznéj — według planu Lombrosa — jest niewykonalne, choćby z samego względu na biurokracyę, która jedna zyskałaby na tém, zdobywając sobie nowe pole samowładczéj działalności. Wprawdzie Lombroso sam przyznaje, iż jego teoryi brak wykończenia, że anatomiczno-fizyologiczne cechy zbrodniczości wykryte przezeń, mimo iż są niezawodne, stanowią jedynie pojedyńczy ton muzyczny, z którego niepodobna stworzyć akordu, jeśli nie przyłączą się doń jeszcze inne stygmaty fizyczne i moralne”, — ale tém wyznaniem ani teoryi swéj nie wzmacnia, ani słabéj jéj strony nie usprawiedliwia.

Niedokładności te Lombrozyanizmu, zauważone zostały natychmiast po jego narodzinach. Już przed laty wykazywali je: Brouardel, Manouvrier, Benedict i inni uczeni. Doszło nawet do tego, iż na przedostatnim kongresie w Brukseli ogłoszono bankructwo teoryi Lombrosa, a pomiędzy wszystkimi uczestnikami znalazła się ledwo jedna osoba, mająca odwagę stanąć w obronie mistrza, — a była nią pani Tarnowska, doktór medycyny z Petersburga. Sam Lombroso był nieobecny; nie trudno też było uporać się przeciwnikom z jego teoryą.

Zarzut, czyniony jéj ogólnie, nieuwzględnienie socyologii kryminalnéj w określeniu typowego zbrodniarza — skłonił pewną część uczniów Lombrosa do secesyi z jego szkoły i do utworzenia no-

wéj *scuola terza*, która za swe zadanie podaje: uzupełnienie teoryi Lombrosa opiérającéj się na zbyt jednostronném akcentowaniu czynników biologicznych, przez wciągnięcie w rachubę socyologii kryminalnéj. Koryfeuszami téj szkoły są Enrico Ferri, Colajanni, Alimena, Carnevale i t. d.

Mimo różnicy, dzielącéj obie szkoły, zgadzają się one na jedno: że Lombroso jest niezaprzeczonym ojcem nowego kierunku w kryminalistyce i, że mimo pewnych niedokładności, teorya jego jest podstawą, na któréj przyszła kryminalistyka oprzéć się musi. Secesyoniści badają zbrodniarza nie tylko ze stanowiska czysto anatomicznego, nie uważają jego anormalnego stanu za wyłączny owoc konstytucyi fizycznéj, lecz nadto za wynik wpływu otoczenia, i za konieczny produkt popędu przystosowania.

Lombroso upiéra się przy anatomii, jako wyłącznym czynniku *scuola terza* przy socyologii kryminalnéj. Kongres ma rozstrzygnąć po czyjéj stronie jest słuszność. Hasłem burzliwych rozpraw jest: *pro* lub *contra* Lombroso.

Prezydent rzeczypospolitéj szwajcarskiéj Lachenal otworzył kongres dnia 24 sierpnia b. r. w olbrzymiéj auli uniwersytetu genewskiego. Pomiędzy obecnymi nie zauważyłoby nawet oko nieuprzedzonego widza, postaci drobnego przysadkowatego człowieczka, o wielkiéj charakterystycznéj głowie, wybitnych rysach twarzy, w okularach i ze szpakowatą energiczną brodą *à la Henri IV*: Lombroso. Obok niego wyglądał Enrico Ferri okazale: młody smukły, wysokiego wzrostu, śniadéj twarzy, o żywych oczach i pięknem czole. Uwagę publiczną ściągali nadto: szwajcarski psychiatra Forel (znany czytelnikom z kongresu psychologicznego), belgijski ex-minister sprawiedliwości Lejeune, tajny radca dworu v. Liszt z Halli, wreszcie petersburski psychiatra profesor Bechterew, rosyjski prokurator Fojnicki, i *enfant terrible* kongresu senator Zakrewski, nadto mnóstwo lekarzy, prawników i ciekawéj publiczności. Po wybraniu biura kongresowego i wstępném słowie prezydenta, który zwracał szczególną uwagę na fakt, iż tu poraz pierwszy bierze kryminalistyka obok stygmatów anatomiczno-fizyologicznych w rachubę czynnik socyologiczny — ogłoszono kongres za otwarty i pierwszy zabrał głos, wśród hucznych oklasków, Cesare Lombroso.

Mówił o postępach kryminalnéj antropologii i socyologii począwszy od roku 1890. Uwzględniwszy najnowsze prace, zbliżamy się — zdaniem referenta — do owéj nieznanéj dotychczas ścisłéj definicyi „wrodzonego a więc nieuleczalnego zbrodniarza.” Dowodzą tego badania Winklera, Mondio'a, Carrary, Lippmanna, Motti'ego, Ottolenghi'e-

go i innych. Lippmann sprawdził np. u wielkiéj ilości nałogowych zbrodniarzy liczne nacięcia w skórze, przedstawiające rysunki, zdania, napisy i t. p. Mondio i Motti wykazują u zbrodniarzy anormalny kształt mózgu, nierówną ilość i zmniejszenie wagi zwojów mózgowych; nadto u 90 procent zbrodniarzy zboczenia w rozwoju wewnętrznych organów, jak np. serca, które wykazuje często bezpośrednie połączenie dwóch komór, anomalię nerek i t. p. Ottolenghi zaznacza nadto u zbrodniarzy liczne wypadki psychicznéj epilepsyi. Wszystkie te spostrzeżenia potwierdzają tylko jego teoryę. Czy to jednak przekona ludzi, którzy już z góry są do jego hypotezy uprzedzeni? „Wątpię."

Oświadczenie niniejsze wywołało — jak łatwo przewidzieć—burzliwą dyskusyę. Po replikach psychiatry Näckego i brukselskiego profesora Dallemagne'a przemawiali Forel i Ferri. Pierwszy starał się obozy pogodzić. Mitygował napastników uwagą, że jeśli nawet znajdują w teoryi uczonego turyńskiego błędy, nie należy jednak zapominać: że on to jest twórcą systematycznych badań kryminalistyczno-antropologicznych, i że chcąc odmówić wprost teoryi jego wszelkiéj podstawy „wyléwa się z wanienki dziecko razem z wodą." Enrico Ferri, namiętny zwolennik Lombrosa, wypowiada *credo* założonéj przez siebie *scuola terza* i wprowadza temat odrazu na obiektywne tory, pozbawiając go subiektywnego czynnika Lombrosa. Treść jego przemówienia jest mniéj więcéj następującą: Zbrodniarz z urodzenia nie jest typem wyłącznie anatomicznie anormalnym. Jest to indywidualność skombinowana i aby ją zrozumiéć, należy wziąć pod uwagę trzy czynniki: biologiczny, psychologiczny i socyalny. Sama zbrodniczość jest owocem współdziałania trzech sił: atropologii danego osobnika, następnie jego fizycznéj konstytucyi i wpływu środowiska społecznego, w którém żyje. Z naciskiem podnosi Ferri fakt, że niejeden może się urodzić z cechami zbrodniczości a przecież umiéra po długich latach, bez dopuszczenia się najmniejszego przestępstwa, jeśli żył w otoczeniu i warunkach, skąd mógł czerpać siły do powstrzymania się od czynów karygodnych. I na odwrót: mimo złego otoczenia znajduje czasem indywiduum w sobie samém dość siły do oparcia się wpływowi zewnętrznemu... Lombroso nie uwzględnia dostatecznie czynnika społecznego w kryminalistyce; studyuje on przestępcę zanadto w laboratoryum, a za mało w społeczeństwie, wobec którego przecież zbrodniarz staje się winnym.

Sądząc z owacyi, które spotkały Ferri'ego po odczycie, należy wnosić, iż nowa szkoła ma obecnie więcéj zwolenników od czystego Lombrozyanizmu, mimo że, jak słusznie zauważył Dallemagne, teorya Ferri'ego różni się tak zasadniczo odteoryi pozytywnéj szkoły krymi-

nalistycznéj, iż jest prawie zupełnie nową hipotezą. Skoro bowiem Lombroso uwzględnia tylko jeden punkt widzenia zbrodni ze stanowiska psychofizyologii i anatomii—i dąży przedewszystkiém do zbadania tylko tych czynników metodą naukową mikroskopu i noża,—Ferri rozszerza perspektywę i tém samém czyni zasadę jeszcze zawilszą. Do badań psychofizyologicznych jednostki przyłączają się u niego badania objawów społecznych, które światu naukowemu są nieskończenie mniéj znane, niż objawy indywidualne. To zwiększenie trudności jest jednak o tyle zbawienne, że skłania sędziego do nadzwyczajnéj ostrożności w badaniu i osądzeniu jakiéjkolwiek sprawy kryminalnéj; wyklucza więc tém samém zbyt wygórowaną podmiotowość w widzeniu stanu rzeczy i daje prawdopodobieństwo wyroku obiektywnego.

Z szkoły Lombrosa zabierali głos Anfosso w sprawie nowych pomiarów kraniologicznych, które mają z matematyczną dokładnością wykazać istnienie stygmatów zbrodniczości w budowie czaszki. Referent twierdzi, że wynalazł aparat wykrywający anormalną budowę czaszki w sposób czysto mechaniczny i rozwiązujący tém samém w tak prosty a pewny sposób najważniejszą część hipotezy Lombrosa.

Lombrozyonista Pailhas stara się wykazać dyagnostyczną wartość dokładnéj znajomości kształtów ludzkiego ucha, które odpowiednio do charakteru indywiduum przybiera najrozmaitsze formy. I tak np. uważa referent uszy mocno odstające za cechę zbrodniczości; mocno przyrośnięte lub bardzo drobne miękisze, oznaczają nerwowy, zdegenerowany temperament; grube zaś, mięsiste i swobodnie wiszące umysł inteligentny i charakter energiczny.

Wywody te trafiły na zjadliwą krytykę Naeckego i Forela.

Profesor Marro z Turynu referował o związku między dojrzewaniem organizmu a skłonnością do zbrodni i obłąkania. Wykład ten oparty na badaniach według teoryi ewolucyjnéj, rzucił nowe światło na tę dziedzinę kryminalistyki. Marro zwraca uwagę na drugorzędne objawy towarzyszące dojrzewaniu organizmu: zwierzę w tym czasie otrzymuje stałą formę i pewny charakter. Ptaki zmieniają upierzenie, jeleń dostaje rozłożystych rogów, człowiek zyskuje silną muskulaturę, równocześnie głos mutuje, tors rozwija się, kościec nabiéra tęgości i gibkości. Równolegle z temi objawami postępują zmiany wewnętrzne organizmu. Samce w tym czasie są niezwykle rozdrażnione i napastnicze, samiczki zachowują się wyzywająco i kokietują. Posłuszny pies nie słucha głosu pana, pogromca zwierząt nie odważa się wstąpić do klatki uległych mu zresztą bestyi. Na ten właśnie czas przypada u mężczyzny najgwałtowniejsza skłonność do przestępstwa, gdy tymczasem u kobiety faza ta występuje dopiéro późniéj, w okresie macie-

rzyństwa, gdy jéj fizyczna konstytucya jest wzmocniona a poczucie siły spotęgowane.

Czém jest zwyrodnienie i jaki jest jego stosunek do kryminalistyki—omawiał profesor Dallemagne. Zdaniem referenta mieszczą się w nazwie zwyrodnienia pewne procesy biologiczne, dążące do zniszczenia albo saméj jednostki albo téż całego gatunku. Degeneracya jest normalnym procesem biologicznym, ujawniającym się w doborach: płciowym i naturalnym, dokonywanych — odpowiednio do teoryi Darwina—pod wpływem czynników społecznych i indywidualnych. Wyniki tego procesu polegają na zboczeniach już to natury anatomicznéj, już biologicznéj, już socyologicznéj. Ostatni rodzaj zboczenia ujawnia się w braku zdolności przystosowania do otoczenia, czyli do walki z istniejącym porządkiem społecznym, która zowie się „zbrodnią" i jest według istniejących praw karygodną. Wniosek, jaki stąd wysnuwa konsekwentnie referent jest, że kryminalność i zwyrodnienie nie mają w zasadzie ze sobą nic wspólnego, jakkolwiek faktycznie ujawniają się zwykle jedno w towarzystwie drugiego.

W dyskusyi wywiązanéj nad tym tematem zarzucano referentowi uznanie degeneracyi za normalny, biologiczny proces. Definicya ta jest fałszywa. Dallemagne pomieszał widocznie pojęcia zwyrodnienia z pojęciem inwolucyi czyli zeszczątkowania narządów *(la regression fonctionnelle)*. Inwolucya polega na zaprzestaniu używania niektórych narządów i sprowadzenia przez to naprzód zastoju w ich rozwijaniu się, a następnie ich zeszczątkowania czyli cofnięcia się do stanu zupełnéj bezużyteezności, jak np. u człowieka szczątki ogona.

Jeśli więc funkcyonalność niektórych organów człowieka zmniejsza się z postępem cywilizacyi, np. siła wzroku, słuchu, węchu i t. p. a zwiększa się natomiast działalność innych organów (np. mózgu) — w tym wypadku przebieg procesu biologicznego jest rzeczywiście zupełnie normalny—ale téż wtedy nie nazywa się w ścisłym języku naukowym, zwyrodnieniem, lecz inwolucyą.

Degeneracya zaś we właściwém słowa znaczeniu, jako masowy objaw chorobliwy, ma swe źródło w masowéj nędzy i proletaryzowaniu społeczeństwa. Uwzględniwszy w téj mierze zbieg wypadków, otrzymuje się rezultat, mocą którego zwyrodnienie może być, ale nigdy nie musi być, wynikiem wrodzonéj skłonności do zbrodni, gdyż ono mogło równie dobrze wyniknąć z biegiem czasu, pod wpływem życiowych warunków, w których rozwijało się dane indywiduum. Nie podobna więc utożsamiać kryminalności z degeneracyą, bo jedno i drugie ma zupełnie odmienne źródła i jednostka zdegenerowana jest wprawdzie

zazwyczaj kryminalną, ale jednostka kryminalna nie zawsze musi być zdegenerowaną.

Enrico Ferri w odczycie na temat: „Kryminalistyka a temperament" stara się wykazać, że istniejący czwórkowy podział temperamentów, na flegmatyczny, sangwiniczny, melancholijny i choleryczny, nie jest wystarczającym. Do wymienionéj liczby dołącza Ferri temperament piąty: kryminalistyczny. Uzasadnia to referent faktem, iż każde przestępstwo jest czynem anty-socyalnym człowieka podległego wszelkim wybrykom swego systemu nerwowego, osłabionego nieprzyjaznemi wpływami, częścią natury fizyologicznéj, częścią socyalnéj. Temperament taki, jako anormalny nie podchodzi pod żadną z czterech nazw tradycyjnych i domaga się koniecznie zaliczenia do nowéj a nieuwzględnionéj dotychczas kategoryi temperamentów: kryminalistycznéj.

Aktualne zastosowanie nowéj teoryi kryminalistycznéj w praktyce, omówił amsterdamski profesor Van Hamel, założyciel „Międzynarodowego zjednoczenia kryminalistów", w referacie „o zwalczaniu anarchizmu ze stanowiska antropologii kryminalnéj." Wnioski, które wysnuł z rozumowania na powyższy temat, znajdują wyraz w następującém orzeczeniu kategorycznėm: Anarchiści są bez wyjątku zwykłymi zbrodniarzami, a nie politycznymi; anarchiści są częścią zjawiskami natury patologicznéj, częścią zaś są to zwykli zbrodniarze, którzy teoryi anarchistycznych używają jedynie za pokrywkę dla swych samolubnych celów. Pierwsi z nich (rzeczywiście chorzy) mają być pozamykani w domach obłąkanych, — drudzy mają ponosić najsurowsze kary, nawet śmierć, ponieważ obowiązkiem i prawem społeczeństwa jest bronić się wszelkiemi sposobami przed szkodliwemi czynami zbrodniczych jednostek, jak to już zresztą Spinoza czystą spekulacyą w swéj „Etyce" udowodnił.

Definicyi rzeczywiście chorych t. j. zwyrodniałych zbrodniarzy dla odróżnienia ich od zwykłych przestępców—referent nie podaje...

W obronie anarchistów stają Lombroso i Ferri. Pierwszy uważa ich za „Philoneistów" (zwolenników postępowych reform), działających jedynie z poświęcenia dla dobra ludzkości i w imię miłości bliźniego. „Prawdziwy anarchista" działa zawsze w najlepszéj wierze." Dlatego należy—zdaniem tego uczonego—traktować anarchistów, jak wszystkich innych przestępców politycznych nie zaś według specyalnych praw wyjątkowych. Mimo swego niepokonalnego wstrętu do instytucyi sądów przysięgłych, gotów Lombroso zgodzić się ostatecznie na zastosowanie ich przy sądzeniu zbrodni fanatyków religijnych i politycznych, a więc i anarchistów. „Jednak (z przekąsem) te trybunały

sędziów przysięgłych musiałyby się składać wyłącznie z senatorów i deputowanych... Nie należy zresztą zapominać, że *tempora mutantur*, a co dziś jest zbrodnią, już jutro może być bohaterstwem."

Jeden Ferri nie odstępuje mistrza. Potwierdza i popiéra gorąco jego wywody. Crispi ginie ostatecznie za swe prześladowania anarchistów, od piorunów wymowy młodego reformatora z katedry, a cały obecny system karny równa Ferri z ziemią... System więzienny, to „*absurdum* XIX-go wieku" musi ustąpić miejsca nowemu systemowi karnemu, zgodnemu z duchem czasu. Jak ten system ma wyglądać — Ferri sam jeszcze dobrze nie wié... Mniejsza jednak o to... Pewnikiem jest w każdym razie, że tylko hygiena „socyalna i reforma społeczna" zdolne są uzdrowić świat współczesny. Na czém jednak jedna i druga polega—o tém milczą jego wymowne usta...

Słynny kryminalista francuski Tarde miał odczyt „o kryminalistyce zawodowéj." Nazwę tę należy rozumiéć dwojako: po pierwsze—zbrodnie popełniane przez należących do pewnego oznaczonego zawodu, a następnie zbrodnie właściwe jakiemuś specyalnemu zawodowi. Co do pierwszego rodzaju przestępstw wykazuje Tarde, że we Francyi na każde 10,000 ludzi przypada następujący procent zbrodni: w rolnictwie 0.84; w przemyśle 1.32; w handlu 1.0; w zawodach liberalnych (z wyższém wykształceniem) 2.39. Te ostatnią grupę dzieli Tarde na pojedyńcze kategorye i obdziela je zbrodniami: kler 0.71; profesorowie i pedagodzy 1.58; lekarze 1.86; aptekarze 3.79; akuszerki 8.60; literaci i uczeni 4.49; artyści 4.02; urzędnicy pocztowi 7.45; notaryusze, adwokaci, urzędnicy sądowi 28.13 Co do zbrodni właściwych specyalnym zawodom, — najbardziéj charakterystycznemi są np. u kupców podstępne bankructwa, u akuszerek spędzenie płodu i t. p. Zaznaczyć jednak wypada, iż statystyka jest bardzo niedokładna, na co zresztą Tarde sam zwraca uwagę. Wnioski więc, z tych dat statystycznych snute, należy brać nadzwyczaj sceptycznie.

Kwestyę „kleptomanii" omówił profesor lyoński Lacassagne, wydawca pierwszorzędnego czasopisma francuskiego poświęconego kryminalistyce „Archives de l' Antropologie criminelle" i autor słynnego dzieła, świéżo wyszłego z druku p. t. „Zbrodnia, samobójstwo i rozwód", do którego przedmowę napisał Bertillon, wynalazca systemu antropometrycznego. „Klepto-mania" jest chorobliwym popędem do spełnienia kradzieży, objawiającym się u ludzi dobrze uposażonych majątkowo, a więc bez troski o jutro. Kradzieże takie spełniane są zwyczajnie w wielkich (galanteryjnych!) magazynach. I tak zdarzają się wypadki, iż elegancko ubrana dama kradnie pierścionek, broszkę lub jakąkolwiek fatałaszkę. Czy to rzeczywiście kradzież w krymina-

listycznėm znaczeniu? Psychiatra zaprzecza, twierdząc, iż taka osoba działała w stanie niepoczytalnym. Ludzie tacy badani o powód przestępstwa, odpowiadają zwykle: „Zdawało mi się, że to wszystko do mnie należy.” Najciekawszemi okazami pod tym względem są młode bony, które z prowincyi przyjeżdżają do Paryża i można je nieraz obserwować na ulicy, jak stają olśnione i hipnotyzowane blaskiem wspaniałych wystaw sklepowych. Te wystawy uważa Lacassagne za najgłówniejszy powód kleptomanii, na którą jest, jego zdaniem, tylko jedna rada: strzedz się kleptomanów w sposób możliwie najmniéj rażący.

Forel widzi w tém zjawisku jedynie następstwo *tartarinady* t. j. zbytniego chorobliwego rozdrażnienia fantazyi.

O stosunku alkoholizmu do kryminalistyki mówił Legrain, dyrektor paryskiego szpitala dla alkoholików. Referent zowie pijaństwo źródłem największéj liczby zbrodni. Następstwa tego nałogu nie ograniczają się jedynie do zupełnego zdegenerowania jednostki, lecz przenoszą się na potomstwo, które nabywa po nałogowych rodzicach „cechy zbrodniczości z urodzenia.” Nałogowy pijak działa nietylko demoralizująco na swe najbliższe otoczenie i wyrządza mu najrozmaitsze szkody materyalne, ale napady *delirium*, zjawiające się chronicznie, czynią go również niebezpiecznym dla osób daléj stojących. Chodzi więc o sposób zapobieżenia szerzącemu się alkoholizmowi. Na zakładanie szpitalów i schronisk dla nałogowców i przymusowe internowanie ich tamże, zgadza się referent tylko częściowo. Jest raczéj za tworzeniem stowarzyszeń wstrzemięźliwości, których członkowie mieliby za obowiązek zupełne wstrzymywanie się od gorących napojów. Innéj rady Legrain na tę klęskę nie zna; Forel ogranicza się do wyrażenia swéj sympatyi dla wniosku szanownego referenta, a kongres przyjmuje radę do wiadomości.

Najgwałtowniejsze sceny wywołał odczyt byłego nadprokuratora charkowskiego, senatora Zakrewskiego, „O stosunku prawa do antropologii kryminalnéj”. Zdaniem jego, nie ma psycho-patologia z prawnictwem nic a nic do czynienia, a przyznanie słuszności nowożytnéj psychyatryi oznacza — jego zdaniem — tyle, co zastąpienie sędziego przez lekarza... Antropologia kryminalna nie ma—zdaniem p. Zakrewskiego—już dlatego żadnego prawa bytu jako samodzielny dział naukowy, iż brak jéj kontrastu, a mianowicie: antropologii cnoty!.. Jurysprudencya nie może kapitulować na korzyść medycyny!.. Wywody swe zakończył fundamentalném... twierdzeniem, że stosunek prawa do antropologii jest ten sam, co prawa np. do—geografii!..

Można być ostatecznie zasadniczym przeciwnikiem Lombrozyanizmu, jak senator Lejeune, *Abbé* Baets i inni, ale nie wynika jeszcze

z tego, aby w naukowej dyskusyi zapominać o granicach przyzwoitości parlamentarnej i czepiać się wprost osoby przeciwnika, pomijając bronione przez niego poglądy. Wszyscy przeciwnicy naukowi Lombrosa, zabierający głos na kongresie, poruszali się w zakresie najdaléj idącéj przedmiotowości i walcząc z niesympatyczną sobie teoryą kryminaloga, oddawali zawsze jemu samemu cześć, należną każdemu samodzielnemu i śmiałemu myślicielowi. Zakrewski obszedł się z Lombrosem, jak ze zwykłym oskarżonym. Ale téż podobnéj repliki, jaką mu dał Ferri, z pewnością w swém życiu od żadnego adwokata nie usłyszał. Zarzut ignorancyi, zacofania i umysłowéj ślepoty — był jeszcze najmniejszym.

Lombroso, w odpowiedzi *pro domo sua*, zachowywał się bardzo wstrzemięźliwie i zauważył tylko, że współczesna antropologia kryminalistyczna zbyt wysoko i silnie stoi, aby się miała zniżyć do obrony od podobnych napaści lub doznać jakiegolwiek od nich uszkodzenia.

Osaczony w ten sposób ze wszystkich stron pan Z. uważał za stosowne przemówić parę słów na swą obronę. Nie miał wcale zamiaru obniżać wysokiéj wartości badań szkoły pozytywnéj prawa karnego— i jedynie tylko musi odmówić współczesnéj kryminalistyce antropologicznéj wszelkiego prawa bytu do samodzielnego istnienia, które sobie rości. Zgromadzenie przyjęło to oświadczenie do wiadomości i przeszło nad całą sprawą natychmiast do porządku dziennego.

W zastępstwie byłego profesora uniwersytetu moskiewskiego N. Drilla odczytał p. Fojnicki (który zeszłego roku wydał na spółkę z paryskim profesorem Leveillé ogromnéj doniosłości dzieło „o deportacyi"), rozprawę „o podstawach poczytalności w prawie karném." Zasadą, na któréj opiérają się współczesne systemy klasycznego prawa karnego, jest dogmat o wolnéj woli. Tymczasem antropologia kryminalna, opiérając się nie na wynikach z metafizycznych spekulacyi, lecz faktycznych doświadczeń, zaprzecza stanowczo istnieniu swobody woli, jako pojęciu *a priori*—a na jéj miejsce stawia przeznaczenie (determinizm, fatalizm). Człowiek więc, według téj nowéj nauki, nie działa tak lub owak, dlatego że chce działać właśnie tak a nie inaczéj, lecz dlatego, że inaczéj działać nie może, że tak działać musi. Cała czynność ludzka nie jest niczém inném, jak tylko produktem indywidualności danéj jednostki, z wszystkiemi jéj żądzami i namiętnościami. I dlatego właśnie w postępowaniu czyli w działalności każdego człowieka, odbija się cała fizyczna i moralna istota jego jaźni. Teoretyczny wniosek, konsekwentnie wysnuty z tego rozumowania jest, iż odpowiedzialność w ścisłém słowa znaczeniu, za

swe czyny jest wykluczoną. Jeśli jednak w praktyce rzecz się ma inaczéj, leży powód nie w charakterze pojedynczego indywiduum — lecz w charakterze zjednoczenia osobników czyli w zorganizowaném społeczeństwie.

Pojęcie złego i dobrego jest więc określeniem postępków ludzkich ze stanowiska społecznego: czyn pożyteczny dla ogółu jest dobrym,—czyn dla ogółu szkodliwy—złym. Człowiek, spełniający czyny złe, jest dla społeczeństwa szkodliwy; ponieważ zaś nadto przestępuje tém samém ustawy państwa, któremi broni się zorganizowane społeczeństwo przeciw szkodliwym wpływom, staje się tém samém „przestępcą" czyli „zbrodniarzem" i zostaje za swe czyny pociągniętym przez państwo do odpowiedzialności. Jakkolwiek zatém człowiek jest w gruncie rzeczy niewinną ofiarą fatalizmu—według Lombrosa, — nie zwalnia go to jednak od odpowiedzialności wobec społeczeństwa, które dając mu możność korzystania z licznych wygód, nakłada nań równocześnie pewne surowe obowiązki — i za niespełnienie ich karze. Kara więc nałożona na zbrodnie nie oznacza dążenia do pomsty ani chęci poprawienia przestępcy, lecz poprostu akt obrony społeczeństwa przeciw szkodliwemu dla niéj zachowaniu się niektórych jednostek. Zapatrywanie to nie jest nowém. Już Spinoza w czwartéj części swéj „Etyki" wypowiedział i udowodnił je z niezrównaną logiką.

Referent zapatruje się również na zbrodniczość ze stanowiska determinizmu. Na kongresie psychologicznym w Monachium bronił téj tezy tajny radca v. Liszt. Zachodzi teraz pytanie jak wybrnąć z dylematu, jak pogodzić fizyologicznie stwierdzoną niewinność zbrodniarza z dobrem społeczeństwa, zagrożonego przez świat zbrodniczy. Referent wywiązuje się z zagadnienia, uznając w zasadzie nieuniknioną konieczność zastosowania systemu kar do zbrodni, jednakowoż nie według istniejącego szablonu klasycznego prawa karnego. Szablon ten ustanawia ściśle *minimum* i *maximum* dla pewnéj zbrodni, ale nie uwzględnia indywidualności zbrodniarza. Po odpokutowaniu przestępstwa odzyskuje zbrodniarz wolność bez względu, czy tkwi w nim jeszcze ów szkodliwy czynnik pchający go do zbrodni, czy téż nie. „Więzień odzyskuje na nowo możność rzucenia się na społeczeństwo" by się posłużyć wyrażeniem słynnego jurysty Iheringa. Nowa szkoła kryminalistyczna potępia ten system karny. Zadaniem społeczeństwa jest—według niéj—nie karanie zbrodniarza, lecz wyleczenie go. W jaki sposób można ten idealny cel osiągnąć, referent nie mówi...

Nad reformą systemu karnego wywiązuje się ożywiona dyskusya. Generalny inspektor więzień w Londynie major Artur Griffiths stwierdza również bezcelowość systemu karnego, będącego obecnie

w zastosowaniu, ponieważ zbrodniarze już po krótkim czasie rozpoczynają na nowo dawne szkodliwe dla społeczeństwa rzemiosło. Jedyny sposób zapobieżenia téj recydywie leży—zdaniem referenta—w nieograniczoném co do czasu internowaniu, jednak nie w więzieniach, lecz w wiejskich koloniach albo w domach roboczych; zupełne uwolnienie może nastąpić tylko wtedy, jeśli stan „pacyenta" nie budzi już obawy.

Na ten wniosek zgadza się Lombroso, stwierdza jednakowoż równocześnie, iż środek ten może być zastosowanym tylko do małéj liczby „przygodnych" zbrodniarzy. W stosunku do zbrodniarzy zwyrodniałych jest zupełnie bezcelowy, bo niezdolny odnieść jakikolwiek zbawienny skutek. Pewne ulepszenia systemu karnego, podjęte ostatniemi czasy przez niektóre państwa jak Szwajcaryę, Anglię, Belgię, Stany Zjednoczone Ameryki północnéj i inne, a polegające na „zawarunkowaném skazaniu" oskarżonego, objawiającém się w „odroczeniu pokuty" (*sursis à l'exécution*, *probation of good conduct*, *Aufschub des Strafvollzuges*) skoro chodzi o młodocianych przestępców, i w „nieoznaczonych wyrokach" (*indeterminate sentences*, *Unbestimmte Strafurtheile*) skoro chodzi o nałogowych zbrodniarzy, — te ulepszenia są jeszcze najpraktyczniejszemi środkami na „przygodnych" zbrodniarzy. Cóż jednak począć ze zwyrodniałymi? Lombroso dochodzi do następującego wniosku:

Jedną ich część należy uważać za zupełnie nieuleczalną—i w tym wypadku wszelka zmiana miejsca pobytu jest bezcelową, bo bezskuteczną. Inna część, do któréj należą epileptycy i dziedziczni alkoholicy, są czasem do uratowania. Dokonać może tego jedynie metodyczne leczenie lub trepanacya czaszki—zależnie od wypadku. Ważném jest również „leczenie psychiczne" t. j. usunięcie od zwyrodniałego wszelkiéj sposobności dopuszczenia się zbrodni. Z czasem popęd zbrodniczy słabnie i przy odpowiednich warunkach nie rozwija się, tak, iż pewne indywiduum można uważać za normalne.

Na uwagę zasługują również wywody pewnego belgijskiego uczonego o szkodliwości systemu celkowego dla więźniów cierpiących na halucynacye. W samotności celi więziennéj, halucynacye zyskują tylko na sile, gdy tymczasem na wolném powietrzu, przy ciągłém zajęciu mózg zajęty jest bezustannie nowemi wrażeniami i nie ma czasu na chorobliwe tworzenie halucynacyi. Referent jest za koloniami roboczemi.

Wywody pewnego kryminalisty francuskiego o łatwości z jaką można nad niektóremi osobami zyskać wpływ bez zastosowania hipnozy, — i jak je następnie łatwo skusić do wydania fałszywego świadec-

twa—nakłoniły kongres do powzięcia uchwały, domagającéj się zupełnego usunięcia tajnego prowadzenia badań przez sędziów śledczych.

Eksminister sprawiedliwości Lejeune, z którego imieniem wiąże się wzorowa reforma belgijskiego systemu więziennego, wyraża w podniosłych słowach swą radość, iż znalazła się nareszcie w kryminalistyce dziedzina, na któréj „starzy” i „młodzi”, klasycy i pozytywiści mogą sobie podać ręce do wspólnéj pracy. Tą dziedziną jest reforma systemu karnego. Jako uczeń klasycznéj szkoły kryminalistyki, przybyłem na kongres, aby wspólnemi siłami szukać środka zaradczego przeciw rozwojowi zbrodniczości, téj straszliwéj klęski ludzkości... Przysłuchiwałem się wywodom pana Ferri'ego, następnie osobiście z nim rozprawiałem—i zyskaliśmy obaj przekonanie, że, pominąwszy drobne różnice teoretyczne, zgadzamy się w praktyce do joty. Drobnostką różniąca nas, jest pogląd na wolność woli — ale sprawa ta jest przecież dla praktyki zupełnie obojętną... Co do mnie, nie żądam od antropologii kryminalistycznéj niczego innego, jak tylko, by pouczała sędziego i prawodawcę!... Nacóż mamy się błąkać po jałowém polu metafizycznych spekulacyi? Pozostańmyż lepiéj na polu praktyczném, gdzie się możemy jednoczyć we wspólnéj pracy pożytecznéj!

Ogólne wzruszenie. Ferri prosi zgromadzonych o przebaczenie, jeśli dał się zbyt unieść temperamentowi wobec zarzutów p. Zakrewskiego i innych przeciwników swego najukochańszego mistrza i duchowego ojca,—Lombroso zaś, by go już przestano wreszcie uważać za tygrysa czatującego na przestarzałe tradycye... bo w rzeczywistości jest niewinny jak królik!...

Na bankiecie, którym zakończono sześć dni trwające obrady, wniósł Lombroso zdrowie pani dr. Tarnowskiéj z Petersburga „naszéj wiernéj i niestrudzonéj towarzyszki broni.”

Przyszły kongres w ojczyźnie Spinozy, Amsterdamie 1901 r.

(Wiedeń).

Karol Bicz.



TEORYA KONSUMCYI BOGACTW.

I.

Bodźcem do ekonomicznéj działalności człowieka są materyalne i moralne potrzeby, które odczuwa, starając się je zadowolnić i wyszukując ku temu środków, produkuje on bogactwa, gdyż pod tą nazwą należy rozumieć wszystko, co człowiekowi przydać się może; proces zaś zaspakajania potrzeb ludzkich za pomocą bogactw nosi nazwę konsumcyi bogactw.

W klasyfikacyi zjawisk ekonomicznych, konsumcya bogactw, ze względów pedagogicznych, występuje zwykle na końcu, w istocie jednak należy jéj się pierwsze miejsce, historycznie poprzedziła ona tak produkcyę, jak i obieg bogactw, sięga po za życie społeczne, składa się z pierwiastków wchodzących w zakres zarówno ekonomii politycznéj, jak etyki i nauk przyrodniczych i jest jedném z ogniw łączących zjawiska społeczne ze zjawiskami przyrody, czego dowodem kwestya zbytku, interesująca zarówno ekonomię polityczną, jak moralność i hygienę Konsumcya bogactw nietylko poprzedziła produkcyę, ale ją wywołała, kieruje nią i rządzi; wszystko, co człowiek wytwarza, do czego dąży i co stara się osiągnąć kosztem największych wysiłków, nie jest samo w sobie celem, lecz jedynie środkiem zaspokojenia jakiéjś potrzeby, służy do zużycia, do skonsumowania innego, a innego prze-

znaczenia mieć nie może, to téż cała działalność ekonomiczna człowieka, jego praca pod wszelkiemi postaciami, jakie przybiérać może, musi się stosować do wymagań konsumcyi i przez nią bywa normowaną i regulowaną.

U pierwotnego człowieka konsumcya ograniczała się na bogactwach naturalnych, to jest takich, których dostarczyć była w stanie sama natura, bez udziału i pomocy pracy ludzkiéj. Jakkolwiek niektórzy przeczą istnieniu bogactw naturalnych w ścisłém tego słowa znaczeniu, utrzymując, że nawet zerwanie owocu z drzewa i włożenie go do ust jest pracą, że owoc przez samo zerwanie z czysto naturalnego staje się bogactwem wyprodukowaném, gdyż posiada użyteczność, któréj, wisząc u drzewa, nie posiadał, rozumowanie to grzeszy sztuczną subtelnością; sądzimy, że produkcyą należy nazywać nadawanie naturalnym bogactwom wyższego, bardziéj widocznego stopnia użyteczności, niezaprzeczenie téż konsumcya musiała poprzedzić produkcyę i długo obchodziła się bez niéj, jak to dotąd dzieje się u dzikich i u zwierząt.

Dopiéro w miarę wzrostu liczby ludzi i ich potrzeb, przy wyższém rozwinięciu umysłowém, a trudniejszych warunkach życia, pojawiła się produkcya; dopóki bogactwa naturalne wystarczały człowiekowi, nie miała ona racyi bytu. Przyszedł jednak czas, w którym brak bogactw naturalnych dawał się uczuwać coraz silniéj, wtedy to niezaspokojone potrzeby i wynikłe stąd cierpienia naprowadziły człowieka na myśl, nadawania naturalnym bogactwom, za pomocą umiejętnie skierowanéj pracy, więcéj utylitarnych własności, aniżeli posiadały z natury, zaczął on wtedy przystosowywać bogactwa naturalne do swoich potrzeb, powiększać stopień ich użyteczności, czyli produkować.

Wiadomo powszechnie, że człowiek nie jest w stanie stworzyć ani jednego atomu materyi, że produkując, nie powiększa jéj pod względem ilości, lecz jedynie zmienia pod względem jakości, nadając jéj własność zaspakajania jakichś potrzeb, czyli zwiększając użyteczność bogactw naturalnych, albo nawet stwarzając tę użyteczność niekiedy w całości. Z drugiéj strony, konsumcya bogactw nie unicestwia materyi, lecz niszczy użyteczność, którą posiadała, czyli odbiéra jéj i niweczy własności zaspakajania nadal potrzeb ludzkich. Tak więc bogactwa naturalne przez produkcyę nabywają własności, które przez konsumcyę zatracają; konsumcya téż i produkcya panują ponad wszystkiemi innemi zjawiskami ekonomicznemi: pierwsza jest ostatecznym celem wszystkich dążeń i zabiegów człowieka, druga jest środkiem do osiągnięcia najlepiéj i najskuteczniéj tego celu.

II.

Wszelkiéj produkcyi we właściwém jéj znaczeniu, czyli nadawaniu naturalnym bogactwom własności utylitarnych, towarzyszyć musi praca, wymagająca wysiłku, a tém samém pewnego przymusu i przykrości, kiedy konsumcya bogactw, będąc zaspokojeniem jakiéjś potrzeby, czy to fizycznéj, czy umysłowéj, rzeczywistéj czy urojonéj, wywołuje w człowieku uczucie przyjemności, a przynajmniéj zmniejszając uczucie przykrości, chwilową przynosi ulgę. Różnica ta sprawia, że człowiek bywa zwykle skłonniejszy do konsumcyi, aniżeli do produkcyi, często trwoni nieopatrznie bogactwa, którem może rozporządzać, a oszczędność, czyli powstrzymywanie się od natychmiastowego użycia z myślą o przyszłości swojéj i swego potomstwa jest cnotą ekonomiczną, wymagającą pewnéj siły woli, rozsądku i zdolności przewidywania, co nie tak często spotykać się daje, jak pospolicie sądzą.

Nauka bardzo mało zajmowała się dotąd konsumcyą bogactw; niektórzy jéj przedstawiciele odmawiali nawet konsumcyi miejsca w ekonomii politycznéj, utrzymując, że jéj zjawiska są czysto moralnéj natury, to też do ostatnich czasów konsumcyą bogactw rządziły najfałszywsze teorye i jaknajszkodliwsze przesądy, które krytyka naukowa dopiéro w wyższych warstwach społecznych zdołała zwalczyć i obalić.

Nie można zaprzeczyć, że sposób, w jaki winna się odbywać konsumcya bogactw jest jedném z najważniejszych zagadnień społecznych; mając na uwadze z jednéj strony pracę umysłową i fizyczną, jakiéj wymaga produkcya; z drugiéj — ilość ludzi żyjących w nędzy i niedostatku i przeróżne cierpienia, na jakie większość ich jest skazana, trzeba przyznać, że racyonalna konsumcya bogactw, dążenie do tego, aby się ona odbywała zgodnie z naturalném prawem ekonomii sił, z jaknajmniejszą dla społeczeństwa stratą utylitarnych własności materyi, posiada w praktyce ekonomicznéj pierwszorzędne znaczenie. Jakkolwiek prawodawstwa współczesne poddają rozmaitym niesłusznym ograniczeniom rozporządzanie przez właściciela należącemi doń bogactwami, sam sposób konsumcyi i niszczenia tych bogactw żadnym legalnym ograniczeniom nie podlega; prawo użycia i nadużycia „*jus utendi et abutendi*” jest i dziś główną zasadą prawa własności, tak jak było nią w prawodawstwie rzymskiém, a wszelkie próby ograniczania konsumcyi prywatnéj czynione wielokrotnie pod postacią środków i praw przeciwko zbytkowi, nie odniosły oczekiwanego skutku i przez

władze publiczne zaniechane zostały. Uznano też za sprawiedliwe i pożyteczne pozostawić nadal konsumcyę po za sferą ograniczeń legalnych, pozwalając każdemu używać swéj własności w sposób odpowiadający najlepiéj jego gustom, inteligencyi i rozwinięciu moralnemu.

Wszystkie bogactwa, czy to naturalne, czy wyprodukowane, jedynie przez konsumcyę mogą stać się użytecznemi dla człowieka, jest ona zawsze ostateczném ich przeznaczeniem, jedne bywają konsumowane szybko, inne powoli, jedne bezpośrednio przez producentów, inne, będące w obiegu, przez ofiarujących wzamian produkta swéj własnéj pracy, jedne bywają użyte na natychmiastowe zaspokojenie potrzeb ludzkich, inne obrócone na kapitał, poddane konsumcyi przemysłowéj, służą człowiekowi za narzędzie do dalszéj pracy i nowéj produkcyi. Należy jednak pamiętać o tém, że konsumcyi towarzyszy zawsze zniszczenie, odbiéra ona bogactwom wszystkie te cenne własności, które składały ich użyteczność, nigdy też nie może być obojętnym dla społeczeństwa sposób, w jaki się konsumcya odbywa, ani towarzyszące jéj okoliczności, gdyż cel jéj — zaspakajanie rzeczywistych potrzeb, może być osiągnięty lub nie. Skutki wszelkiéj konsumcyi mogą być pożyteczne lub szkodliwe, a więc dobre lub złe, konsumcya zatém jest zjawiskiem wchodzącém w zakres etyki ekonomicznéj i może być moralną lub niemoralną.

III.

Wszystkie bogactwa, jakeśmy to powiedzieli, powinny być konsumowane, inaczéj chybiłyby swemu przeznaczeniu, uległyby zniszczeniu pod wpływem czasu i przyczyn zewnętrznych, nie przynosząc człowiekowi żadnego pożytku; sama więc kwestya konsumcyi nie może podlegać dyskusyi, co nie jest skonsumowane przez człowieka, ginie dla niego bezpowrotnie, w imię téj zasady skąpstwo winno być bezwarunkowo potępione, naraża ono bogactwa na bezowocne zniszczenie, jakkolwiek trzeba przyznać, że dzięki łatwiejszéj i mniéj ryzykownéj lokacyi kapitałów, oraz rozsądniejszéj ocenie zjawisk codziennego życia, chorobliwy ten objaw oszczędności coraz rzadziéj spostrzegać się daje.

Istnieją dwa, zasadniczo różne w swych skutkach, rodzaje konsumcyi bogactw, a na téj różnicy polega cała doniosłość, jaka jéj przypisywaną bywa; różnica ta występuje w całéj pełni zwłaszcza w bardziéj oddalonych skutkach, jakie za sobą pociąga konsumcya:

może ona być produkcyjną lub nieprodukcyjną, czyli użyteczną i sprzyjającą dalszemu wzrostowi bogactw, lub bezużyteczną, czyli stającą wzrostowi temu na przeszkodzie. Z tego wynika, że stan ekonomiczny każdego społeczeństwa, ilość kapitału, jego jakość, jego podział, zależą w znacznéj mierze od sposobu używania bogactw, któremi ono rozporządza, czyli od ich konsumcyi; produkcyjna — zasadza się na umiejętném zużytkowaniu wszystkich własności utylitarnych, jakie materya zawiérać może, czy to przez człowieka współczesnego, czy pod postacią kapitału przez późniejsze generacye, nieprodukcyjna trwoni te własności, zatraca je bezpowrotnie, nie korzystając z nich wcale, powiększa ilość niezaspokojonych potrzeb i jest tém samém przyczyną wielu cierpień, których można było uniknąć. Ponieważ zaś kierunek konsumcyi nadają jednostki składające społeczeństwo, zależna jest ona w zupełności od stopnia rozwinięcia ich moralnego i umysłowego.

W rzędzie produkcyjnych konsumcyi bogactw należy postawić na pierwszém miejscu racyonalne zadawalnianie rzeczywistych potrzeb człowieka, sprzyjające normalnemu jego rozwojowi, gdyż jest on nietylko lokacyą *par excellence* produkcyjną, mogącą przedstawiać kapitał, nie dającéj się ocenić wartości, lecz jest naturalném nietylko źródłem, ale i celem wszelkiéj działalności ekonomicznéj. Znajomość praw natury i dane, których nauka dostarcza dla określenia i ocenienia w każdym szczególnym wypadku racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby i odpowiadającéj téj potrzebie konsumcyi, są już dziś wystarczające, aby mogły kierować postępowaniem człowieka. Dotąd funkcya ta przypadała zwykle w udziale moralności metafizycznéj, opierającéj się na oderwanych pojęciach dobrego i złego, dziś hygiena i nauki społeczne uzyskały w kwestyi konsumcyi bogactw głos decydujący, gdyż potrzeby ludzkie i środki, któremi mają i mogą one być zaspakajane, podlegają prawom natury, badanie i formułowanie tych praw jest przedmiotem powyższych nauk, których teoryom praktyka bezwarnnkowo winna być posłuszną.

Bezpośrednią, natychmiastową konsumcyę bogactw można, również rozpatrywać z punktu widzenia jéj produkcyjności i uważać ją za nowy czynnik produkcyi. Zapominając na chwilę o tém, że zadawalnianie potrzeb ludzkich, jest celem działalności ekonomicznéj, a zapatrując się na człowieka jedynie jako na narzędzie produkcyi, łatwo spostrzedz, że racyonalna konsumcya bogactw przez niego samego sowicie się opłaca, skoro jest dobrze skierowania, że jest on najlepszą kasą oszczędności, gdyż kapitał, który umysł jego zawiérać może, nie zna granic. Nagromadzenie siły, energii, zdrowia, kultury intelektual-

néj i moralnéj, nietylko pozwala człowiekowi zaspakajać rozumnie i celowo własne potrzeby, rozwijać się normalnie i żyć całą pełnią swych sił i zdolności, lecz i pod względem społecznym i altruistycznym ważne posiada znaczenie. Ponieważ człowiek jest duszą i sprężyną wszelkiéj pracy, powodzenie jéj przeto i dodatnie rezultaty, zależą od moralnéj jego wartości, od pierwiastków składających intelektualną jego istotę, jak niemniéj od normalnego pod względem fizycznym rozwinięcia jego organizmu. Wydatki téż i ofiary ponoszone na wychowanie dzieci, czyli konsumcyę bogactw, mającą na celu przysposobienie przyszłych pokoleń do walki z naturą i umiejętnego życia, należy uważać za produkcyjną w wysokim stopniu, za kapitalizacyę, gdyż oddziaływa ona dodatnio na rozwój dalszéj produkcyi i odradza się pod postacią bogactw materyalnych i moralnych, których wartość przewyższa zwykle wielokrotnie wartość przedmiotów i usług, jakie należało skonsumować, aby bogactwa te wytworzyć. Rozpatrując kwestyę konsumcyi, nietylko materyalne bogactwa należy mieć na uwadze, trzeba pamiętać i o bogactwach moralnych, które umysł ludzki pod przeróżnemi postaciami zawierać może, a które objawiają za pomocą usług, jakie ludzie rozporządzający takiemi bogactwami są w stanie innym oddawać. Usługi te nie dają się dokładnie ocenić na piéniądze i nawet nie są przez wszystkich dokładnie rozumiane, niemniéj bogactwa intelektualne stanowią znaczną, a może nawet większą i lepszą część bogactw społecznych, a jakkolwiek są krótkotrwałe, gdyż znikają wraz z jednostką, która je posiadała, jednak dobrodziejstwa, które z nich wypływają dla ludzkości, mnożą się z niesłychaną szybkością, oddziaływają na siebie wzajemnie i trwają tak długo, jak długo trwa cywilizacya, która dała im się rozwinąc. Tak np. obliczono, że korzyści, które dotąd przyniosły saméj Francyi odkrycia Pasteur'a, przewyższają znacznie kontrybucyę wojenną, jaką zapłaciła ona Niemcom, czyli 5 miliardów franków.

Wyprodukowane bogactwa długo były używane, pod naciskiem instynktu samozachowawczego, na natychmiastowe zaspokojenie potrzeb jednostek, myśl o losie przyszłych pokoleń jest zdobyczą nowych względnie czasów; u wielu ludów panowała wiara, że bogactwa, które człowiek posiadał za życia będą mogły służyć mu po śmierci, i w tym celu palono na stosie wraz z umarłym całe jego mienie. Dopiéro gdy instynkt zachowania gatunku począł się przejawiać w stosunkach społecznych i przenikać z coraz większą siłą do zjawisk ekonomicznych, człowiek stał się przewidującym i począł przeznaczać część wyprodukowanych przez siebie bogactw na ułatwienie życia swemu potomstwu, w tym celu nauczył się oszczędzać, a zaoszczędzone

bogactwa kapitalizować, konsumując je produkcyjnie. Gdyby bogactwa bywały natychmiast całkowicie zużywane na zaspokojenie ludzkich potrzeb, stan materyalny społeczeństw, nietylko nie polepszałby się wcale, lecz suma już istniejącego kapitału zmniejszałaby się z dniem każdym, a stopień cywilizacyi wciążby się obniżał. Jeżeli istnieje postęp ekonomiczny i ludzie rozporządzają coraz większą ilością bogactw uprzyjemniających i uszlachetniających życie, winni oni to owym bogactwom, zwanym kapitałem, które każda generacya produkuje i oszczędza, czyli przekazuje za pomocą produkcyjnéj pracy i konsumcyi następnym pokoleniom, a których część, nosząca nazwę kapitału amortyzacyjnego, jest przeznaczona na zastąpienie kapitału zużytego i zniszczonego przez produkcyę. Nie może być pracy produkcyjnéj bez zużycia bogactw naturalnych i kapitału, a oszczędności bez towarzyszącéj jéj konsumcyi, każdy kto chce kosztem swéj wstrzemięźliwości i poświęcenia zapewnić na przyszłość sobie lub swemu potomstwu łatwiejsze warunki bytu, ten nie może gromadzić i chować swych bogactw, gdyż prędzéj czy późniéj uległyby one zniszczeniu, lecz musi je sam skonsumować produkcyjnie, albo dawać komuś do skonsumowania, żądając wzamian innych, nowych bogactw pod postacią wykonania jakiéjś pożytecznéj pracy lub oddania jakichś usług; proces ten nosi, jak wiadomo, nazwę lokacyi kapitałów.

Lokowanie kapitałów nie jest w saméj rzeczy niczém inném, jak tylko konsumcyą i zamianą bogactw: bogactwa zachowane i nagromadzone bywają ofiarowane wzamian za wyprodukowanie innych, nowych bogactw, utylitarne własności pierwszych, które giną przy konsumcyi przemysłowéj, odradzają się i odnajdują pod postacią utylitarnych własności drugich. Nie należy jednak sądzić, aby podobny proces zamiany jednych bogactw na drugie, prócz tego, że daje zarobek pracującym nie przynosił społeczeństwu żadnych innych korzyści; przy konsumcyi przemysłowéj utylitarne własności wyprodukowanych bogactw winny przewyższać utylitarne własności bogactw zkonsumowanych, na tém zasadza się powodzenie przedsiębiorstw przemysłowych, umiejętna lokacya kapitałów, dokonana w normalnych warunkach winna przynosić zyski, a na sumie tych zysków polega cały wzrost bogactw w społeczeństwie, a tém samém dobrobytu. Nie wielu rozumié jasno i dokładnie proces lokacyi kapitałów, konsumcyi przemysłowéj i produkcyjnéj, niemal codziennie ma się na to dowody; głównym tego powodem jest kredyt i rozmaitość postaci, które przybiéra i pod którémi się ukrywa; dla większości skomplikowany mechanizm nowożytnego kredytu zakrywa istotę wielu zjawisk ekonomicznych i przyczynia się w znacznéj mierze do powierzchownéj i fałszywéj ich oceny.

IV.

Widzimy więc, że istnieją dwa różne rodzaje konsumcyi produkcyjnéj: pierwsza, wypływająca z instynktu samozachowawczego, ma na celu natychmiastowe zaspokojenie racyonalnych potrzeb człowieka i sprzyja normalnemu jego rozwojowi; nazwijmy ją konsumcyą osobistą, druga, mająca swe źródła w instynkcie zachowania gatunku, dąży do powiększania ilości bogactw w społeczeństwie i służy nie do zaspakajania potrzeb współczesnych, lecz ma na celu dostarczanie przyszłym pokoleniom kapitału, czyli narzędzi do pracy, nosi ona nazwę konsumcyi przemysłowéj. Wszystkie zjawiska, odnoszące się do racyonalnéj konsumcyi bogactw, można podciągnąć pod jedną z dwóch powyższych kategoryi; istnieją jednak jeszcze liczne odmiany rozrzutności, bezmyślnego niszczenia bogactw, czyli konsumcyi nieprodukcyjnéj, służącéj do zaspakajania potrzeb sztucznych i urojonych, narażającéj jednostki i społeczeństwa na bardzo znaczne straty materyalne i moralne szkody.

Racyonalna konsumcya nie niszczy nigdy bezpowrotnie utylitarnych własności bogactw, odradzają się one, albo w samym człowieku, przy konsumcyi osobistéj, albo przy konsumcyi przemysłowéj, w wyprodukowanych przez niego bogactwach, gdy tymczasem rozrzutność, pomimo sympatyi, jaką się częstokroć cieszy u pospólstwa, żadnych rzeczywistych usług nie oddaje, a zniszczone przez nie bogactwa, całkowicie są dla ludzkości stracone. Nie chodzi tu o poświęcenie i ascetyzm; cnoty ekonomiczne, praktyczne zasady naszéj nauki, bynajmniéj ascetycznemi nie są, przeciwnie, zmierzają one ku coraz zupełniejszemu zaspakajaniu materyalnych i umysłowych potrzeb człowieka; jeżeli zaś wymagają pewnych ograniczeń konsumcyi, to tylko takiéj, która w mniéj lub więcéj oddalonych swych skutkach okazuje się zgubną, a na razie zaspakaja potrzeby sztuczne, urojone, nie wypływające z fizycznéj ani moralnéj organizacyi człowieka, lecz jedynie z nieładu panującego w jego wyobraźni. Sztucznym potrzebom odpowiadają fałszywe bogactwa, których produkcya, zarówno jak i produkcya bogactw rzeczywistych, prawdziwych, wymaga nakładu czyli naturalnych bogactw, pracy i kapitału; wszystko to idzie na marne, gdy tyle rzeczywistych potrzeb nie ma czém ludzkość zaspokoić; należy jednak mieć nadzieję, że skoro wyniki nauki i praktyczne rady teoryi, dostępne dziś dla ograniczonéj liczby ludzi, przenikać będą do coraz niższych warstw społecznych, zapotrzebowanie i konsumcya, któ-

re, jak wiadomo, rządzą wszelką produkcyą, uwolnią świat od fałszywych bogactw, téj najstraszniejszéj plagi ekonomicznéj, która naraża społeczeństwa na daremną utratę sił żywotnych. W miarę, jak pod wpływem racyonalnych pojęć hygieny i piękna, zmniejszać się będzie konsumcya tych pseudo-bogactw, zmniejszać się będzie w tym samym stosunku ich produkcya; zanim jednak zniknie ona zupełnie, wiele jeszcze bogactw pochłonie ludzkość nieprodnkcyjnie, niby dziecko, które zanim dojdzie do rozumu, musi psuć, co spotka na swéj drodze.

Sztuczne potrzeby i związana z niemi konsumcya fałszywych bogactw odgrywają w społeczeństwie tak ważną rolę ujemnemi swemi skutkami, że musimy się nad niemi dłużéj zatrzymać; uosabiają się one w zbytku, który należy w ekonomii politycznéj do kwestyi spornych; wielu utrzymuje, że racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby dokładnie określić nie można, że pojęcie potrzeby jest względne i czysto indywidualne, że co dla jednego jest koniecznością, dla drugiego będzie zbytkiem. Nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy mają jednakowe potrzeby, że zależą one od fizycznego i intelektualnego ustroju danéj jednostki, niemniéj zdają się istniéć jasno zakréślone granice, poza któremi potrzeby tracą swoje normalne, naturalne cechy i stają się jedynie wytworami chorobliwéj i rozpróżniaczonéj wyobraźni; oto potrzeby, które nazywamy sztucznemi, bogactwom zaś przeznaczonym ku zaspokajaniu tych potrzeb, Emil de Laveleye nadał miano fałszywych bogactw *fausses richesses*. Otóż, o ile ocena racyonalności lub nieracyonalności jakiéjś potrzeby teoretycznie przedstawia wielkie trudności i wymaga gruntownéj, naukowéj znajomości tak fizycznéj jak i psychicznéj organizacyi człowieka, o tyle odróżnienie fałszywego bogactwa od prawdziwego w praktyce łatwo się odbywa, wystarcza bowiem danie odpowiedzi na pytanie: „czy zniszczenie danego bogactwa byłoby stratą dla ludzkości lub nie?” Klasyczny przykład Emila de Laveleye najlepiéj to wyjaśnia. „Jestem zdania—powiada on—że rzecz jakaś może być warta olbrzymie sumy, kosztować bardzo wiele, a być pomimo to, nietylko bezużyteczną, ale nawet bardzo szkodliwą. Chińczycy kupują od Anglików za 400 milionów opium, to gorzéj niż niepotrzebne, bo trucizna, a cesarz chiński bardzoby mądrze zrobił, gdyby kazał wrzucać do morza cały ładunek tego narkotyku, który mu Anglia przysyła.” Ilość fałszywych bogactw jest bardzo wielka, zwłaszcza w krajach cywilizowanych, posiadają one także swoje opium—alkohol, który pod względem złych skutków w niczém mu nie ustępuje; jeżeli do fałszywych bogactw, które są konsumowane, dodamy fałszywe usługi, czyli pracę ludzką użytą niepotrzebnie lub szkodliwie, otrzymamy sumę nieprodukcyjnych konsumcyi, którą,

opierając się na bardzo umiarkowanych obliczeniach Nowikowa, określić można dla społeczeństw cywilizowanych na 100 miliardów rocznie.

Należy bowiem mieć na uwadze, że jak powiada John Stuart Mill, „żądając jakiegoś przedmiotu i płacąc zań, nie dostarczamy témsamém środków do wyprodukowania go.” Ktoś inny musiał dostarczyć na to swéj pracy i swego kapitału; otóż jeżeli żądany przedmiot należy do fałszywych bogactw, jeżeli jest bezużyteczny albo szkodliwy, to pomimo że może często przedstawiać bardzo wysoką wartość zamienną, społeczeństwu przynosi szkodę, gdyż cały nakład pracy, kapitału i naturalnych bogactw, który trzeba było zużyć na jego produkcyę, został doszczętnie zmarnowany i nie odrodzi się już nigdy ani pod postacią bogactw materyalnych ani moralnych.

V.

Zwykle bogactwa fałszywe podwójną przynoszą szkodę: nietylko ich produkcya naraża na straty ale i konsumcya oddziaływa ujemnie na człowieka, jakkolwiek nie zawsze w tak widoczny sposób jak opium albo alkohol; umysł i charakter posiadają również swoje narkotyki, które znieczulając pewne ich władze a pobudzając inne, wyprowadzają psychiczny ustrój człowieka z normalnéj równowagi. Wszystkie warstwy społeczne posiadają właściwe sobie sztuczne potrzeby, na zaspokojenie których wyrzucają czas i piéniądze, niższe—alkohol i tytoń, wyższe — sport, modę oraz szyk, ową karykaturę i parodyę prawdziwego wykwintu, wprowadzany przez osoby lekkomyślne a naśladowany przez wszystkie pospolite i estetycznie nierozwinięte jednostki.

Wiadomo, że zabawki odpowiadają u dzieci prawdziwéj i normalnéj potrzebie, a umiejętnie wybierane i stosowane, bywają nawet ważnym czynnikiem pedagogicznym; nie powinny jednak być zbyt wyszukane i drogie, doświadczenie bowiem uczy, że zwyczajne i tanie zabawki najwięcéj dzieci zajmują, drogie zaś najczęściéj nie odpowiadają celowi; zresztą po co wydawać piéniądze niepotrzebnie, kiedy mniejszym kosztem dziecko może się zabawić równie dobrze a nawet lepiéj. Ponieważ dziecko jest małym człowiekiem a człowiek dużém dzieckiem, powyższe rozumowanie, zastosować można bez zmiany do sportu, czyli wszelkiego rodzaju zabaw dla ludzi dorosłych; odpoczynek i zabawa jest bezwątpienia potrzebą, powinna jednak zachować w społeczeństwie właściwe, skromne miejsce które jéj się należy,

a przedewszystkiém nie kosztować dużo, nie kosztować więcéj aniżeli rzeczywiście warta, bo jakkolwiek są ludzie, którzy mają na wyrzucenie, to społeczeństw takich dotąd nie ma, a ludzkość zaledwie część koniecznych swych potrzeb zaspokoić jest w stanie. Tymczasem sport zdaje się absorbować wyłącznie czas i działalność niektórych sfer, jest on nieodłącznym warunkiem i główną cechą szyku, kosmopolitycznym charakterem, jaki posiada, otwiéra podwoje wyższego towarzystwa, zaciéra różnice wykształcenia i wychowania, a stanowisko sportsmana jest dla światowego pospólstwa zaszczytem, godnością, wzbudzającą podziw, zazdrość, i nieledwie szacunek. I nie może być inaczéj gdy się zwróci uwagę na wielką doniosłość, jaką opinia publiczna przypisuje niektórym zdarzeniom sportowym: czyż parlament angielski nie zawiesza swych posiedzeń w dniu wyścigów o nagrodę Derby?

Uważamy za zbyteczne rozwodzić się nad moralnemi szkodami, jakie sport przynosi społeczeństwu, kiedy wyjdzie z naturalnych swych granic; sportsman to człowiek zabawy, człowiek, który ten lub ów rodzaj zabawy wziął sobie za specyalność i jemu się wyłącznie poświęca a przynajmniéj głównie oddaje; pominąwszy zaburzenia psychiczne, jakie tego rodzaju życie musi sprowadzać w jednostce, sztuczna, podniecająca atmosfera życia sportowego, zły przykład, nieodłączny pierwiastek hazardu, nierachowanie się z materyalnemi warunkami, nie tylko na bezpośrednie otoczenie ale i na dalsze warstwy społeczne oddziaływają nader demoralizująco. Nie można nic zarzucić sportowi, o ile jest środkiem pedagogicznym; aby go usprawiedliwić, wystarczyłyby usługi, jakie oddaje on młodzieży angielskiéj, dla dorosłych ruch i praca muskułów jest również nieodzownym warunkiem normalnego rozwoju organizmu i równowagi pomiędzy fizycznemi i umysłowemi jego funkcyami, daleko jednak od tego do sportu, jako instytucyi społecznéj, jest on zabawą, zabawką i niczém więcéj, musi zużytkowywać pewną ilość bogactw, lecz powinien poprzestawać na ilości niezbędnie potrzebnéj, takiéj, jakiéj wymaga rzeczywista, zdrowa i normalna potrzeba rozrywki, nie zaś zaspokojenie próżności, spaczonéj miłości własnéj, złych instynktów, sztucznych wrażeń i urojonych przyjemności.

Inną otchłanią w któréj ginie i marnieje nieprodukcyjnie znaczna ilość bogactw, jest moda, stosuje się ona nie tylko do fałszywych bogactw i urojonych, sztucznych przyjemności, lecz i do bogactw prawdziwych, a zasadza się na ciągłéj zmianie przedmiotów, czy to pod względem przeznaczenia, barw, czy kształtów; moda jest uganianiem się za nowością, tak ze strony tych, którzy uchodząc za wzór wykwintu, modę tworzą i wprowadzają, jak i ze strony ogółu, który wyrokom

jéj bywa bezwzględnie i bezkrytycznie posłuszny. Absolutna władza mody i wpływ, jaki ona wywiera na postępowanie, zwłaszcza wśród warstw zamożniejszych, jest zjawiskiem które trudno wytłómaczyć, składa się bowiem z rozmaitych pierwiastków: miłości własnéj, potrzeby wrażeń estetycznych, chęci przypodobania się i wielu innych; analiza tych pierwiastków i krytyka mody, jako zjawiska społecznego, zaprowadziłaby nas jednak za daleko.

Ekonomia polityczna potępia modę dla tego, że pobudza do nieprodukcyjnéj konsumcyi bogactw, a straty, na jakie naraża społeczeństwo, polegają na tém, że przedmioty użyteczne, w dobrym stanie, mogące jeszcze długo odpowiadać racyonalnym potrzebom, bywają pod naciskiem mody zarzucane, niszczone i zastępowane nowemi, a wartość, jaką przedstawiały, utylitarne własności, któreby im były pozwoliły oddać ludziom jeszcze wiele usług, giną bezpowrotnie dla bogactwa krajowego. To téż moda przynosi podwójną szkodę i, jak powiada Say, „przez częste jéj zmiany społeczeństwo traci nietylko to, co konsumuje, ale i to, czego nie miało czasu skonsumować."

VI.

Zajmowaliśmy się dotąd wyłącznie konsumcyą prywatną, czyli kierowaną przez jednostki we własném imieniu, istnieje jednak jeszcze konsumcya publiczna, a nazwę tę nosi zużytkowanie przez władze publiczne bogactw, jakie pod postacią podatków dostarczane bywają przez obywateli. Konsumcya publiczna objawia się w wydatkach, jakie władze publiczne ponoszą w interesie ogółu, nie posiada ona wszakże żadnych właściwych cech charakterystycznych, któreby odróżniały ją zasadniczo od konsumcyi prywatnéj, podlega tym samym prawom naturalnym i powinna być rządzona w praktyce temi samemi zasadami, gdyż teorye ekonomiczne są stałe i nie zmieniają się, czy będziemy je stosować do zjawisk życia prywatnego, czy publicznego.

Zachodzi jednak różnica pomiędzy dwoma temi rodzajami konsumcyi, pierwszą kierują obywatele, będący równocześnie właścicielami konsumowanych bogactw, kiedy drugą rozporządzają przedstawiciele władz publicznych, czyli urzędnicy, mający powierzoną administracyę funduszów publicznych. Z różnicy téj wynika, jak mówi Cocquiel, „że jeżeli konsumcya nieprodukcyjna dozwoloną jest oso-

bom prywatnym w imię i na mocy ich prawa własności, to władze publiczne, nie będąc właścicielami, lecz jedynie administratorami i pełnomocnikami, bezwarunkowo prawa tego nie mają i baczną winny zwracać uwagę, aby ofiary ponoszone przez społeczeństwo, odradzały się pod postacią prawdziwych bogactw i usług na korzyść tegoż społeczeństwa. Przeznaczenie bogactw, dostarczanych przez podatki, jest jasno i dokładnie określone, mają one być przedewszystkiém używane na zapewnienie obywatelom bezpiecznego i spokojnego korzystania z praw, które posiadają, innemi słowy na to, „ażeby prawo miało na usługi siłę”; Montesquieu mówi to samo określając podatki: „jest to część bogactw, którą obywatele oddają za to, aby mogli pozostałemi bogactwami bezpiecznie rozporządzać.” Dwoma zasadniczemi i naturalnemi atrybucyami władz publicznych, są ochrona społeczeństwa przed wewnętrznemi i zewnętrznemi nieprzyjaciółmi prawa, oto cel, ku któremu winna być skierowana konsumcya publiczna, cel bewzględnie pożyteczny i słuszny, prócz tego dozwolono władzom tym czerpać z powierzonych im funduszów na niektóre cele użyteczności ogólnéj, tego rodzaju atrybucye władz publicznych nie są związane ani z bytem, ani z naturalnemi funkcyami państwa, posiadają one téż jedynie wartość względną, a władze publiczne, występujące w roli przedsiębiorców, winny znajdować się na równych prawach z odnośnemi przedsiębiorstwami prywatnemi. Dochodzimy w ten sposób do wniosku, że konsumcya publiczna, nie mająca na celu dwóch zasadniczych funkcyi władz publicznych, o tyle jest słuszną i pożyteczną, o ile obywatele korzystają z oddawanych im przez te władze usług w ścisłym stosunku do ofiar, jakie drogą podatków zmuszeni byli na nie ponieść.

Panuje wielce rozpowszechniony i tém szkodliwszy przesąd, że wszelka konsumcya jest pożyteczną, że jakikolwiek użytek władze publiczne zrobią w obrębie państwa z powierzonych im bogactw, społeczeństwo zawsze na tém skorzysta, gdyż „piéniądze pozostają w kraju.”

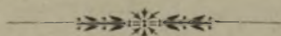
Argument ten nie posiada żadnéj wartości, przy każdéj konsumcyi wewnętrznéj piéniądze pozostają w kraju (co jest zresztą rzeczą małéj wagi), ale bogactwa, które piéniądze te przedstawiały i na kupno których zostały użyte, są skonsumowane czyli zniszczone, zarówno jak przy każdéj konsumcyi prywatnéj. Jeżeli konsumcya publiczna będzie nieprodukcyjną, nie odrodzi się pod postacią usług oddanych obywatelom, ani pod postacią nowych materyalnych bogactw ogólnego użytku, narazi ona społeczeństwo na stratę tak, jak nieprodukcyjna

konsumcya prywatna, naraża na stratę jednostki. Do takich konsumcyi należy zaliczyć koszta militaryzmu, czyli utrzymywanie na stopie wojennéj nadmiernéj ilości wojska, który w saméj Enropie pochłania corocznie bogactw wartości czterech i pół miliardów franków; doliczywszy zaś straty, na jakie bezczynność około czterech milionów ludzi naraża społeczeństwa, otrzymamy sumę ośmiu do dziewięciu miliardów franków, którą konsumcya publiczna pochłania corocznie nieprodukcyjnie.

W. Domański.



KWESTYA EGIPSKA.



Znaną jest pomiędzy metafizykami anegdota o Heglu, który miał się wyrazić, że z pomiędzy wszystkich jego adeptów jeden tylko Rosenkranz rozumiał jego system, ale i on niedokładnie go rozumiał. Nie tylko metafizyka ale i polityka ma swego rodzaju łamigłówki. Była nią długo kwestya Szlezwig-Holsztyńska dopóki jéj Bismarck nie rozwiązał po swojemu—drogą gwałtu i przemocy. Obecnie i od lat już wielu istnieje na międzynarodowéj widowni inne zagadnienie tak powikłane, tylu najeżone trudnościami, iż się nieraz przypuszcza całkowitą jego nierozwiązalność. Starodawny Egipt usiał swe pustynie sfinksami: dzisiejszy stał się sfinksem sam w sobie. Anglicy zawładnęli nim *de facto*, ale prawnego gruntu do zatrzymania téj zdobyczy nie mają. Wielkie mocarstwa europejskie nie mają zamiaru na takie bezprawie zezwolić. Ale i pomiędzy niemi nie ma jedności zapatrywań. Jedne z nich protestują przeciwko zaborowi w imię równowagi europejskiéj, drugie zgodziłyby się może, gdyby, w ten lub ów sposób, otrzymały jaką kompensatę. Interesa krzyżują się tedy jedne z drugiemi a każda strona za swym własnym obstaje. Jedni marzą o powrocie do dawnego *condominium* francusko-angielskiego; drudzy pragnęliby postawić Egipt pod kontrolę tak zwanego koncertu europejskiego, choćby miał się skończyć kocią muzyką. Istnieją sceptycy, doradzający powrót Egiptu do lenniczéj zależności od Turcyi, zale-

żności która w praktyce zeszła była do prostéj formalności i istnieją optymiści zuchwale żądający usamowolnienia tego kraju pod hasłem: Egipt dla Egipcyan. Są nakoniec tacy, co nie widzą innego sposobu wyjścia z trudności jak uznanie Egiptu za neutralny i domagają się zwołania w tym celu konferencyi międzynarodowéj. Nie brakuje téż i takich, którzy w przewidywaniu wojny, coby się z okazyi uregulowania téj kwesty wszczęła, zgadzają się na przedłużenie nieograniczone obecnego stanu rzeczy.

Ani na chwilę nie rozpogodził się horyzont i do dawniejszych komplikacyi przybywały nowe. Europa czuje, że im dłużéj trwa okupacya angielska, tém trudniéj będzie uregulować kwestyę egipską ogólnym wymogom gwoli. Coraz téż więcéj jest symptomów wskazujących, że dokuczliwy ten wrzód pęknąć musi. Noże operacyjne trzymane są w pogotowiu. Niebawem podniesie się zasłona nad sztuką, któréj węzła ani przebiegu nie znamy, ale która, jesteśmy pewni, posiadać będzie wszechpotężny interes.

Nie zawadzi, w przededniu takiéj doniosłéj chwili cywilizacyjnéj, rozejrzéć się w około, rozpoznać położenie rzeczy, przypomniéć wypadki najważniejsze dnia onegdajszego, zapomniane właśnie dla tego, że nie zdążono zapisać ich jeszcze na marmurowych tablicach historyi, zważyć i ocenić siłę czynników, które każda ze stron działających do gry z sobą przyniesie. Takie, ale takie tylko jest zadanie obecnego szkicu. Nie rości on pretensyi do odsłonięcia z góry toku jutrzejszych wypadków, lecz ogranicza się do bezstronnego, obiektywnego przedstawienia tych, które się głównie do poplątania węzła przyłożyły.

Leżąc w miejscowości, gdzie się stykają trzy części naszéj półkuli, Egipt już przez samo położenie geograficzne posiada pierwszorzędną wagę. Nawet gdyby cywilizacya jego nie była rodzicielką greckiéj i wszystkich późniejszych, nawet gdyby jego dzieje nie obfitowały w epiczne rapsody, gdyby najznakomitsi wodzowie starego i nowego świata nie byli staczali wiekopomnych bitew nad brzegami tego Nilu, który sam w sobie jest unikatem, nie mogło być obojętném Europie jaki rząd, jaka organizacya w nim się rozsiędzie i ustali. Nominalnie Egipt jest posiadłością lenniczą sułtana tureckiego. I wtedy gdy jego potęga była istotną i gdy była postrachem Europy nigdy nie dawała się uczuć dotkliwie temu zamorskiemu krajowi. Mocarstwa chrześciańskie uzyskały wtedy jeszcze rozmaite ustępstwa dla swoich poddanych osiedlających się w Egipcie: były one zabezpieczone przez wzajemne umowy czyli kapitulacye. Najdawniejsze z nich sięgały XV i XVI wieku. Od dawna tedy datują przywileje mocarstw europejskich

posiadane w kraju lenniczym Turcyi. Gdy z biegiem czasu mocarstwo tureckie słabło, traciło na wpływie i znaczeniu, Egipt czuł się samowolniejszym, bardziéj niezależnym a Europa, pod wygodną zasłoną kapitulacyi rozgospodarowywała się tam coraz szerzéj. Wiadomo do jak podrzędnéj roli zeszła władza zwierzchnicza potomków wielkiego Solimana, gdy generał Bonaparte walczył pod piramidami z oligarchią mameluków. Owa kampania egipska Napoleona, jeden z najfantastyczniejszych epizodów dziejów nowożytnych, choć krótkotrwała, rzuciła pierwsze podwaliny do hegemonii francuskiéj w dolinie Nilu. Turcya ograniczała się do pobierania rocznego haraczu w wysokości 750,000 funtów tureckich, co się równa 675,000 funtów szterl. angielskich i nadawszy firmanem swą sankcyę każdemu nowemu wicekrólowi, zostawiała mu wszelką swobodę administracyi wewnętrznéj, tak samo jak finansowéj, zaciągania pożyczek, bicia monety, utrzymywania armii i nawet zawierania traktatów handlowych z obcemi mocarstwami.

Łatwo tedy zrozumieć, że Europa zrosła się była w ciągu naszego stulecia z myślą wciągnięcia Egiptu w swoją własną sferę. Zacofany stan kraju, znajdującego się w odwiecznym bezrządzie, jego ubóstwo, niewola ludności, niski dyapazon cywilizacyjny usprawiedliwiać się zdawały najzuchwalsze ambicye a bezradność i chroniczna niemoc Turcyi przyczyniały się do ich wzmocnienia. Rządy europejskie działały naturalnie z przezornością i oględnością, narody za to z niepowstrzymaną energią, biorącą swój początek w nadziei zysków, rzuciły się na Egipt jak na łup gotowy. Aleksandrya, Kair i cała Delta stały się targowiskiem, na którém Lewantczycy, Turcy, Arabowie, Grecy, Włosi, Austryacy, Anglicy i Francuzi handlowali, spekulowali, frymarczyli, pożyczali piéniądze na lichwę, rzucali się na najrozmaitsze przedsięwzięcia, które ich zbogacały, ale wycieńczały i rujnowały do reszty biedną i nieposiadającą siły odpornéj ludność miejscową. Nienasycona ta szarańcza międzynarodowa pożérała Egipt a ochotną rękę pomocniczą znajdowała we władzach miejscowych przedajnych i zgangrenowanych do szpiku kości. Gdy się przegląda finansową i ekonomiczną historyę tego nieszczęśliwego krajn w biegn naszego stulecia, jednemu tylko dziwić się można, że i tę plagę mógł przetrzymać.

Wśród tego chaosu jakiego Egipt stawał się pastwą w pierwszéj połowie naszego wieku, jedna tylko wielka postać występuje na pierwszy plan. Jest nią Mehemet-Ali. Nie ma wątpienia, że to była jedyna genialna osobistość, jaką wydał zwyrodniały muzułmanizm naszych czasów. Historya zachowa w pamięci jego wyniesienie się z podrzędnego na najwyższe stanowisko siłą woli i systematyczną działalnością,

jego reformatorskie przedsięwzięcia, prace publiczne, stworzenie potężnéj armii, jego zwycięstwa heroiczne i olbrzymie klęski, jego ambicya wywalczenia dla Egiptu całkowitéj niezależności a dla siebie dziedzicznego tronu. Traktat 1841 roku położył kres tym roszczeniom, ale zabezpieczył jego spadkobiercom władzę wice-króla. Wojna z Mehemetem-Ali przekonała ostatecznie świat europejski, że o zwierzchnictwo tureckie troszczyć się nie ma potrzeby.

Za reformatorskich jego rządów Francya znacznie wysunęła się naprzód i wyprzedziła inne narody co do swego wpływu w Egipcie. Nie mogło być inaczéj, skoro Francya była jedynêm mocarstwem, popierającêm Mehemeta-Ali w jego walce o niezależność od Turcyi: zdawało się to być dalszym ciągiem wyprawy napoleońskiéj. W oczach Egipcyan Francya reprezentowała wszystkie idee swobody, cywilizacyi, prawa. Do niej się téż udawał możnowładzca muzułmański po pionierów postępu. Inżynierowie, finansiści, prawnicy, profesorowie francuscy przenieśli na ziemię Faraonów ziarno nowéj kultury. Wszyscy Egipcyanie klasy zamożniejszéj wychowywali się w szkole francuskiéj. Piętno jéj ryło się nawet na lotnym gruncie pustyni, któréj wygląd i charakter się zmieniał. Egiptologowie francuscy, ze słynnym Mariette'm na czele, wydobyli na jaw Memphis, Serapeum, Karnak i niezliczone pomniki dawno przebrzmiałéj przeszłości. Stworzenie muzeum w Bulaq samo jedno wystarczyć może do uwiecznienia roli, jaką Francya odegrała w Egipcie. Ostatniém ogniwem tego szeregu nieocenionych zasług miało być następnie przekopanie międzymorza Suez.

Gdy Francya nie przestaje się krzątać około dzieła cywilizacyi w Egipcie, w sferze państwowéj, na którą ubocznie tylko i pośrednio działać mogła, idzie daléj rozkład i demoralizacya. Można nawet powiedzieć, że owo barbarzyństwo unieruchomione od XV wieków ale trzymające jeszcze społeczność w swych zardzewiałych wrzeciądzach, ujawniło dopiéro całą swą niezdolność do dalszego istnienia, gdy się zetknęło z metodą i z organizacyą europejską. Pod lekkim pokładem tego zewnętrznego lakieru, nieprzerwanie w głębi nurtowała zgnilizna. Nieudolni dwaj następcy Mehemeta-Alego, Abbas-Basza i Said-Basza, nie byli w stanie zatrzymać Egiptu na spadzistéj drodze dezorganizacyi. Ale dzieło ruiny ostatecznego dosięgnęło kresu za rządów wice-królewskich Ismaëla-Baszy.

Ismaël-Basza, człowiek zdolny i o umyśle otwartym, był jednocześnie istotą pozbawioną najelementarniejszéj moralności. Oddając się wyuzdanéj rozpuście, zamiłowany w oryentalnym przepychu, dzia-

łał jak satrapa, którego kaprysy stawały się prawem. Potrzeba mu było pieniędzy dla zaspokojenia swych zbytkowych potrzeb, i wypróżniwszy skarb publiczny, zaczął zaciągać pożyczki. Wczorajsze to dzieje, ale czyta się je jak czarodziejskie bajki. Nigdy podobnego marnotrawcy nie było na tronie. Gdy w 1863 wstąpił nań, dług państwowy Egiptu wynosił wszystkiego 3,000,000 funtów szt., a po upływie lat trzynastu, w 1876 wzniósł się do nieprawdopodobnéj sumy 89,000,000 funtów szt. I zaszło to w kraju o 6 milionach mieszkańców i o 5 mil. akrów uprawnéj ziemi, w kraju wyłącznie rolniczym, bez żadnego przemysłu rękodzielniczego! Przedsiębierczy a pozbawiony skrupułów Ismaël-Basza to rzucał się, po skonfiskowaniu na swoją rzecz ogromnych przestrzeni gruntu, do uprawy plantacyi trzciny cukrowéj i do fabrykacyi cukru, to zakładał plantacye bawełny. Nie tyle szło mu o praktyczne przeprowadzenie tych przedsięwzięć, jak o zamydlenie oczu wierzycielom i otrzymanie od kapitalistów europejskich nowych pożyczek. Opłacał lichwiarskie procenta, fantastyczne: w roku 1873 za 30 mil. funtów zapłacił 32 miliony procentu. Sypał milionami w Konstantynopolu, w Egipcie, po wszystkich stolicach utrzymywał hordy darmozjadów i pieczeniarzy. W ten sposób w czasie 13-letnich swych rządów, powiększył dług państwowy 35 razy. W samym kanale suezkim, którego koncesyę nadał francuskiéj kompanii Ferdynanda Lessepsa, uwięził skarb egipski przeszło 16 mil. funt. szterlingów.

Jak przewidzieć było można zgóry, nadeszła chwila gdy Ismaël Basza nie mógł już znaléźć sposobu zaciągnięcia nowéj pożyczki, bez wprowadzenia uprzednio pewnego porządku, pewnéj regulacyi do swych finansów. Mocarstwa europejskie, które spoglądały z filozoficznym spokojem na to bezprzykładne marnotrawstwo, uznały moment za właściwy do wzięcia finansowéj likwidacyi Egiptu w swe ręce. Opieka nad interesami materyalnemi ich poddanych, zagrożonych utratą pożyczonych wice-królowi kapitałów, była ich obowiązkiem, ale nie trudno przypuścić że łączył się z nim także i polityczny interes wyzyskania na swą korzyść ruiny Egiptu. Dwa mocarstwa, najwięcéj w pożyczkach zainteresowane, otrzymały od Europy mandat do przeprowadzenia likwidacyi egipskiego długu: były niemi Francya i Anglia. Jako ich reprezentanci, udali się pp. Joubert i Goschen do Egiptu w 1876 r. Ale chedyw, któremu dotąd wszystkie pokątne operacye się udawały, mniemał, że uda mu się wykręcić i omamić komisarzy francusko-angielskich. Zaczął od przedstawiania fałszywych bilansów, od ukrywania istotnego położenia rzeczy i trzeba było dwóch lat, ażeby, przyparty do muru, zgodził się na udzielenie im prawa rzeczywistéj kon-

troli. Operacya likwidacyjna, w któréj przewodnią rolę odegrali ze strony Francyi p. de Blignières, a ze strony Anglii p. de Rivers-Wilson, skończyła w r. 1879-ym i dług państwowy egipski ustalony w sumie 98,685,930 funtów szt., podzielony został na kilka kategoryi. Po sprowadzeniu raty procentowéj do 5 i 4%, połowa dochodów skarbu przeznaczona została na ich opłatę i na umarzanie długów, a druga na normalne wydatki krajowe. Przy oszczędności i dobréj wierze, Egipt mógł być uratowany od bankructwa, a kapitaliści europejscy od zaprzepaszczenia swych wymagalności. Ale Izmaël-Basza, widząc się spętanym, srożył się na kuratelę, w którą popadł, uciekł się do buntu. Zagrożony przez oba rządy, że nie pozostaje mu nic innego jak abdykować i opuścić Egipt, nie brał ich rozkazów na seryo, podejrzywał ich zgodę, intrygował na obie strony i ostatecznie apelował do swego zwierzchnika, sułtana, o protekcyę przeciwko presyi francusko-angielskiéj. Ale Porta Ottomańska, któréj okoliczność zdawała się pomyślną dla wzmocnienia niknących jéj praw, pragnęła uczynić nowego vice-króla bardziéj od siebie zależnym i rozkazała Ismaëlowi-Baszy abdykować i bezwłocznie Egipt opuścić. Stambuł nawet został mu wzbroniony i zmuszony został udać się na wygnanie, które dopiéro w roku 1895 śmiercią się skończyło.

Ale z wygnania nie przestawał intrygować, siać rozterek, pobudzać armię egipską do buntów. Przychodziło mu to tém łatwiéj, że nowy vice-król, Tewfik-Basza, był osobistością słabą i chwiejną. Czuł się w ścisłéj zależności od komisarzy francusko-angielskich, a drżał przed otwarcie spiskującymi oficerami swéj armii, wśród których Arabi-bej wybitną rolę odgrywać zaczyna. Nigdy sytuacya Egiptu nie była bardziéj mętna, bardziéj groźna. Budzące się do bytu stronnictwo narodowe, rząd krajowy, wahający się i niewiedzący skąd czerpać natchnienia, Porta czyhająca na opanowanie kraju, popadającego w anarchię, a Francya i Anglia czujące potrzebę wspólnéj, energicznéj akcyi, ale nie posiadające jasno zakreślonego jéj planu: oto sytuacya 1880 i 1881 roku.

Znajdujący się wówczas u steru władzy we Francyi, Gambetta dostrzegł z właściwą sobie bystrością, że chwila interwencyi czynnéj mocarstw europejskich się zbliża i rozpoczął w tym celu z lordem Granville negocyacye dyplomatyczne. Czytając tę korespondencyę dwóch gabinetów i komentarze, jakie o niéj napisał dyplomata francuski, hrabia Benedetti, oddać trzeba hołd Gambecie za jego śmiałą inicyatywę i lojalność, a akcya rządu angielskiego ukazuje się we właściwém świetle. Było pożądaném dla gabinetu Saint-James, który dotąd nie miał żadnych innych, prócz finansowych przywilejów w Egip-

cie, być powołanym, być upoważnionym niejako do rozszerzenia swéj sfery działalności. O ile był skory do przyjęcia propozycyi Gambetty, o tyle wzdragał się przed zawarciem jakiéjkolwiek ścisłéj umowy, bo przeczuwał, że z chwilą, gdy efemeryczny gabinet jego runie, ten co po nim nastąpi w inną stronę pokieruje nawę polityki francuskiéj i zostawi Wielkiéj Brytanii otworem bramy Egiptu.

I przewidywania gabinetu angielskiego sprawdziły się całkowicie. Stronnictwo radykalne francuskie, pozbawione wszelkiego jasnego wyobrażenia o międzynarodowych obowiązkach, o polityce tradycyjnéj swego kraju, czuło ślepą i gwałtowną nienawiść do wielkich wypraw kolonialnych. Raz pozbywszy się Gambetty, narzuciło jego następcy, słabemu p. de Freycinet politykę bierną. W chwili, gdy stronnictwo wojskowe egipskie pod sterem Arabi-beja buntowało się przeciwko *condominium* francusko-angielskiemu, gdy cały Egipt zdawał się jedną prochownią, grożącą wybuchem, flota francuska i angielska wysłane były na wody Aleksandryi dla protekcyi europejskich kolonii. Ale jednocześnie izba francuska, idąc za radą p. Clemenceau i jego koteryi, oświadcza, że Francya powinna od całéj téj sprawy umyć ręce i wycofać się co prędzéj. Ta decyzya, któréj p. de Freycinet posłusznie się poddał, ale która go skłoniła do złożenia steru rządu w inne ręce, była największym błędem, jaki Francya popełnić tylko mogła: było to samobójstwo polityczne. Napróżno od lat 14 sarkają Francuzi na rozwój sprawy egipskiéj, wręcz ich interesom i tradycyi przeciwny: nie mają prawa do zwalania winy na kogobądź innego, gdyż popełnili ją sami. Sami wpuścili wilka do owczarni; azaliż mają się dziwić, że popełnił tam spustoszenia?

Anglicy natomiast nie stracili ani jednéj chwili, ażeby skorzystać z zostawionéj sobie swobody działania. Gdy motłoch w Aleksandryi dopuszcza się gwałtów i bezprawi na Europejczykach, admirał angielski Seymour oświadcza, że przystąpi do bombardowania Aleksandryi. Pierwsze kartacze angielskie siać zaczynały ruinę i pożogę w handlowéj stolicy Egiptu, a eskadra francuska admirała Conrada, zwinąwszy żagle, odpłynęła spokojnie. Wypadki następowały jedne po drugich, stanowcze i szybkie. Zniweczenie Alksandryi przez działa admirała Seymour'a, wylądowanie armii angielskiéj pod dowództwem generała a do dziś lorda i feldmarszałka, Wolseley, bitwa pod Tel-el-Kebir — istotna komedya, w któréj nie stal ale złoto angielskie główną odegrało rolę, tryumfalne wejście do Kairu, gdzie nikt o oporze nie myślał: są to wypadki, których przypominać nie ma potrzeby. Anglicy przywrócili ład i porządek, Anglicy złamali bunt militarny Arabi-beja, zesłali go na rozkoszne wygnanie do Ceylonu i rozpuścili armię świéżo prze-

zeń uorganizowaną. Nic naturalniejszego, że słaby Tewfik-basza schylił się bez protestacyi przed władzą zwierzchniczą tych opiekunów, co mu tron zabezpieczyli i że stał się niemym wykonawcą ich zleceń. Uorganizowano zbrojną policyę miejscową pod komendą oficerów angielskich, a stały garnizon ich armii ze sztabem generalnym czuwał nad porządkiem i nad bezpieczeństwem Egiptu, czuwa do dziś dnia i do tego samego obowiązku i nadal gotowym się oznajmia.

Rok 1882-gi był tedy momentem, w którym dwa wielkie mocarstwa zachodnie znalazły się na rozstajnych drogach i każde z nich odtąd przy swéj polityce obstaje. Francya zamknęła się w sferze dyplomatycznych protestacyi i powstrzymała się od wszelkich kroków czynnych. Anglia działa energicznie, usadawia się w dolinie Nilu, zagospodarowuje, a na protestacye rządu francuskiego, oraz tych gabinetów, co się od czasu do czasu w téj sprawie odzywają, odpowiada, że jéj zdaniem chwila wycofania swéj załogi i powrócenia do *statu quo ante* jeszcze nie nadeszła. Nigdy gabinet Saint-James nie oświadczył urzędownie, że posiada prawo przyłączenia Egiptu do wieńca swych kolonii, ani nawet że protektorat swój nad nim postara się ulegalizować. Bynajmniéj. Wszystkie gabinety, bądź Gladstone'a i lorda Rosebery, bądź lorda Salisbury, stają na tym wygodnym gruncie okupacyi *de facto*. Księgi żółte i niebieskie, w których oba rządy swą korespondencyę dyplomatyczną ogłaszają, mieszczą na swych kartach cały szereg oświadczeń, pod których monotonną i bezbarwną formą kryje się zawsze niezmiennie jedna i ta sama polityka. Nie ma potrzeby tych depesz przytaczać.

Ale jeżeli sam fakt zajęcia Egiptu przez Anglię nie uległ żadnéj radykalnéj zmianie od lat czternastu, to byłoby niesprawiedliwém oskarżać Wielką Brytanię, jak to czynią jéj przeciwnicy wogóle, a Francuzi w szczególe, że udała się ona do Egiptu w myśl zgóry powziętego planu i że ani na chwilę swego zapatrywania nie zmieniła. Było w naturze rzeczy, w charakterze i w polityce Anglii, pragnienie ciągnięcia z Egiptu jaknajwiększych korzyści. Brak decyzyi ze strony Francyi, niedołęstwo i ślepota jéj improwizowanych polityków i mężów stanu, mogły tylko zaostrzyć ten apetyt i wskazać na możliwość jego zaspokojenia. Ale stałego, zgóry ukartowanego projektu zaborczego Anglia nie miała. Jest zaletą jéj ciała dyplomatycznego, iż posiada elastyczną ruchliwość, z którą w prawo i w lewo z równą łatwością w miarę okoliczności ewolwuje. Niepodobna nie dzielić opinii, sformułowanéj przez sir Alfreda Milner w doskonałém i wyczerpują-

cém jego dziele *England in Egypt* [1]), który dowodnie wykazuje, że w chwili interwencyi i okupacyi nikt w Anglii nie podejrzewał trudności, jakie ona tam napotka i przeciwności, jakie będzie miała do pokonia. Rzucono się nieopatrznie w nieprzejrzaną knieję, i odtąd rąbią się w niéj poręby.

Nie należy także, nawet w złéj woli, robić Anglię mędrszą, aniżeli jest nią w istocie. Były chwile, gdy nie wiedziała sama co zrobić ma z tym fantem. W r. 1883 lord Dufferin, ambasador angielski w Konstantynopolu, wysłany został do Kairu z misyą rozejrzenia się w stosunkach egipskich, nakréślenia planu przyszłéj organizacyi i wytknięcia granic *modus vivendi.* Powrócimy do téj misyi, a tu wzmiakujemy o niéj tylko, jako o dowodzie, że rząd angielski znalazłszy się, wskutek abdykacyi Francyi, panem sytuacyi, chodził omackiem w pierwszych czasach i zlecił najzdolniejszemu ze swych mężów stanu rozwiązać ów węzeł, który się wcale niewygodnym okazywał. Ale oprócz tego, znacznie późniéj, bo w r. 1887, a zatém po pięcioletniéj okupacyi Egiptu, rząd angielski oświadczył gotowość wycofania się. Mówimy o tym wielce ciekawym epizodzie dyplomatycznym, noszącym nazwę konwencyi sir Henryka Drummond-Wolffa. Nie potrzeba przypominać, że po katastrofie generała Gordona w Chartumie, gdy runął był cały ten dalekonośny plan zawładnięcia Sudanem — plan tak niespodzianie w chwili obecnéj z popiołów powstający! — rząd angielski, zaskoczony tylu i tak rozmaitemi trudnościami w Egipcie, postanowił się zeń wycofać. W r. 1886-ym sir Henryk Drummond-Wolff zawarł w imieniu swego rządu umowę z Wysoką Portą, jako mocarstwem zwierzchniczém, mocą któréj Anglia naznaczała rok 1889-ty, jako datę swéj całkowitéj ewakŭacyi Egiptu. Ów trzechletni peryod uznany był za potrzebny do całkowitego uspokojonenia i uorganizowania Egiptu. Takie zobowiązanie się, usankcyonowane aktem dyplomatycznym, było ważnym krokiem ze strony rządu angielskiego, i chociaż nie da się zaprzeczyć, iż były w tym dokumencie artykuły zredagowane tak, że otwiérały Anglii w pewnych przypadłościach furtkę do nowéj interwencyi, to nie mniéj przeto zdawać się mogło, iż rząd francuski, w dobrze zrozumianym interesie własnym znajdzie w téj konwencyi użyteczny i pożądany dla siebie *locus standi.* Ale zamiast pośpieszyć się, zamiast wywrzéć nacisk na Portę, aby tę konwencyę ratyfikowała, rząd francuski postąpił sobie wbrew przeciwnie. Ów trzechletni termin ewakuacyi wydawał mu się zbyt odległym! Na jakie okoliczno-

---

[1]) Pierwsza edycya wyszła w r. 1892, w końcu 1894 wyszła już piąta. Nowa jest w druku.

ści liczył, ażeby przed jego upływem zmusić Anglików do wycofania się, pojąć nie można. Było to zaślepienie, był brak przezorności politycznéj nie do darowania. Gdy Francya w r. 1887 wymogła na Porcie, ażeby konwencyi z sir H. Drummond-Wolffem nie ratyfikowała, mniemała, że otrzymała zwycięstwo dyplomatyczne. Istotnie sama na siebie miecz ukuła. Nie trzy, ale dziesięć lat upłynęło już od téj chwili, a Anglicy, których propozycyę odrzucono, mają rozwiązane ręce, i wiadomém jest, jak się w Egipcie odtąd rozgospodarowali. Francuzi, którzy mają dar spostrzegania cudzych błędów, a zapominania o swoich, nie przestają utyskiwać na zdradziecką i podstępną politykę Anglii w Egipcie. Słuszność nakazuje przypomnieć, że jest w tych oskarżeniach i jednostronność i przesada.

Jeżeli wzniósłszy się ponad spory francusko-angielskie, kryjące jedne i drugie pod pokrywką misyi cywilizacyjnéj zażarte interesy egoistyczne, weźmiemy pod rozbiór jedynie gospodarkę Anglików w Egipcie, rezultaty i owoce, jaką ich okupacya przyniosła dla tego kraju, gdy się porówna ekonomiczny i społeczny stan jego przed laty czternastu z dzisiejszym, to trzeba przyznać, że Anglicy wychodzą z tego porównania nietylko dodatnio, ale świetnie. Dokazali w tym krótkim przeciągu czasu rzeczy nadzwyczajnych, które nawet w téj krainie cudów na podziw i na poklask zasługują. Z barbarzyństwa, z chaosu, z niewoli, z ruiny, podnieśli Egipt do niespodziewanego stopnia udoskonalenia. Ażeby zmierzyć drogę przebytą, nie ma potrzeby wertować kilkudziesięciu tomów raportów urzędowych i wykazów statystycznych, ogłaszanych w *blue books* angielskich. Są w przedmowie do piątéj edycyi wyż wzmiankowego dzieła sir Alfreda Milner: „Anglia i Egipt" fakta, które on, były sekretarz stanu przy wydziale skarbowości, czerpał u źródła, i które ze względu na swój charakter urzędowy za wystarczające do rozświecenia kwestyi uznać można. Ograniczymy się do ich streszczenia.

Gdy się porówna organizacyę administracyjną jakiegokolwiek państwa europejskiego z tą, jaka istniała w Egipcie jeszcze za *condominium* francusko-angielskiego, trzeba przyznać wraz z naszym autorem, że ta ostatnia kwalifikowała się jako typ komiczny do operetek Offenbacha daleko właściwiéj, aniżeli do systemu rządowego w kraju ucywilizowanym. Faworytyzm, nieudolność, przekupstwo, nieład nie do pojęcia, kolizye rozmaitych władz, brak karności, odwlekanie systematyczne wszelkich spraw ważniejszych, wymagających studyów i pracy, cechowały z dawien dawna tę spruchniałą, zgniłą administracyę oryentalną. Potrzeba było nadzwyczajnych wysiłków, ażeby złamać złą wolę hierarchii urzędniczéj i jéj tradycyonalną odrętwiałość.

Właśnie dlatego, że Anglicy brali się do reformy administracyi wewnętrznéj bez żadnego mandatu, własnowolnie, natrafiali na każdym kroku na opozycyę otwartą, albo przynajmniéj na bierny opór. Słynne były spory, jakie agenci angielscy pp. Vincent, Lloyd i inni wieść byli zmuszeni z władzami miejscowemi. Nubar-basza, głowa rządu, podburzał swych podwładnych i udawało mu się nieraz wysadzić ze swych pozycyi owych przybyszów, co zamierzali wprowadzić ład i uczciwość do miejscowéj administracyi. Trzeba było jawnego buntu Nubara-baszy przeciwko reformie sądownictwa, ażeby wydrzéć mu władzę. Dopiéro w r. 1891 za rządów Riaz-baszy udało się rezydentowi angielskiemu, sir Evelynowi Baring, dzisiejszemu lordowi Cromer, postawić organizacyę Egiptu na regularnych fundamentach i odtąd każdy rok nowy ustala ją i polepsza.

Najlepszym probierzem dobréj administracyi i wewnętrznéj polityki są finanse. Sukcesy osiągnięte pod tym względem pod egidą Anglii, są nieocenione. Była już mowa wyżéj o likwidacyi długu egipskiego w r. 1879 i ujednostajnieniu go w olbrzymiéj sumie 98 milionów funtów. Ale dopiéro od konwencyi londyńskiéj, zawartéj w marcu 1885 r., datuje reorganizacya finansów egipskich. Mocą téj międzynarodowéj umowy, upoważniony został Egipt do zaciągnięcia nowéj pożyczki 9,000,000 f., zagwarantowanéj przez wszystkie sześć wielkich mocarstw: użyta ona została na indemnizacyę za zburzenie Aleksandryi, na spłacenie długu ruchomego i obrócono jeden milion na wielkie prace publiczne, które produkcyjność kraju tak wielce podnieść miały w latach następnych. Ważną także ulgę dla finansów krajowych przyniosło, że rata procentowa sprowadzona została do 3½%.

Nie chcąc nużyć uwagi czytelnika drobiazgami skarbowości egipskiéj, poprzestaniemy na przypomnieniu, że dla zabezpieczenia regularnéj opłaty procentów od długu państwowego, ustanowiona została instytucya międzynarodowa, nosząca nazwę *Caisse de la dette*. Skarb krajowy zobowiązany jest przedewszystkiém wnosić do niéj sumę wymagalną dla zaspokojenia wierzycieli. W ostatnim etacie na r. 1896 suma ta wynosiła już 3,802,683 funt. egip. Ponieważ zaś całość dochodów tego etatu wynosiła nie mniéj jak 10,260,000 f. eg., zatém skarb nie znajdował się w najmniéjszych trudnościach i mógł znaléźć nietylko fundusze na wszystkie swe potrzeby bieżące, ale jeszcze odłożyć znaczne sumy do swéj kasy rezerwowéj, która stanowi obecnie jedną z silnych i niezmiernie użytecznych instytucyi.

Ale, jeżeli obecnie przychodzi to snadnie, to trzeba było mozolnych i upartych wysiłków, aby finanse egipskie podnieść na takie wyżyny. Nie dość było w przeciągu tych kilku lat przez skrupulatną ad-

ministracyę i wiele prac produkcyjnych, powiększyć ogólny dochód skarbu z 8 do 10 milionów funt. egip., trzeba było jeszcze wpoić w cały świat urzędowy miejscowy przeświadczenie, że fundusze publiczne są własnością narodu, że ich ani zagrabiać, ani frymarczyć niemi nie ma sposobu, i że z przyjętych zobowiązań, z terminowych wypłat wywiązywać się należy nietylko względem wierzycieli zagranicznych, ale względem każdego, najpokorniejszego fellaha.

Rezultaty gospodarstwa finansowego muszą być uznane przez najzawziętszych nawet nieprzyjaciół Anglii. Umorzono długu państwowego zgóry milion funtów i oszczędza się już przez to 30,000 funt. szt. na coroczne procenta. Na saméj konwersyi długu Egipt, który w r. 1880 obracać musiał 66% całego swego dochodu na procenta, zyskał tyle, że obecnie obraca na ten cel tylko 45% i z każdym rokiem ciężar ten się zmniejszać będzie. Gdy sobie wspomnimy, że 4% zunifikowany dług egipski, który stał za Izmaela-Baszy na giełdach europejskich 27%, a w przeddzień okupacyi angielskiéj zaledwie 50%, przeszedł już obecnie nominalną swą wartość i stoi na 105, to się zrozumié całą doniosłość téj rewolucyi finansowéj. Obecnie papiéry wartościowe egipskie są skrzętnie poszukiwane przez kapitalizujących. Ci sami Francuzi, którzy urzędownie nie przestają protestować przeciwko okupacyi angielskiéj, obawiają się w duchu wycofania się ich i spadku swych akcyi. Ta ukryta solidarność pieniężnego rynku europejskiego z Anglią jest, niewątpliwie, jedną z najsilniejszych jéj podpór.

Anglicy skarżą się jednak, że mają związane ręce przez kontrolę Europy i że stan finansowy Egiptu byłby znacznie lepszy, a rozwój kraju daleko szybszy, gdyby rząd miejscowy, po odłożeniu sumy wymagalnéj na opłacenie procentów i na amortyzacyę, miał swobodę działania. Istotnie przez konwencyę londyńską 1885 r., rząd egipski ma wyznaczone sobie pewną stałą sumę roczną na wydatki normalne i oprócz tych, do których jest upoważniony, nie może podjąć żadnych innych, jakkolwiek gwałtowne byłyby potrzeby, jakkolwiek korzystnym nakład jednorazowy. Wszyscy pisarze i publicyści angielscy rozwodzić się nie przestają nad temi niedogodnościami i zaprzeczyć im niepodobna. Ale ponieważ stan finansowy Egiptu mimo tych hamulców i tak jest świetny, można rozwiązanie tych kłopotów zostawić przyszłości.

Wszystkie przytoczone powyżéj dane, tyczące się polepszenia stanu finansowego Egiptu i wzrostu dochodów jego skarbu, nabiorą dopiéro całego swego znaczenia, gdy się doda ten ważny czynnik, iż osiągnięto te rezultaty przy ciągłém zmniejszaniu podatków i ciężarów

pańszczyźnianych, których brzemię gniotło uprzednio naród cały, a przedewszystkiém fellahów. Zmniejszenie podatków, zniesienie pańszczyzny: oto wielkie zasługi Anglików w Egipcie. Przed konwencyą londyńską podatek gruntowy, stanowiący dwie trzecie części dochodu skarbu egipskiego, wynosił był z górą 5 mil. funt. eg. Konwencya zmniejszyła go o 450,000 i obecnie pomimo znacznego powiększenia obszaru uprawianych gruntów, skarb z tego źródła w ostatnim budżecie za r. 1896 otrzymuje 4,870,000 f. eg. Jest to ulga wielka dla rolników, a stwierdza ją łatwość, z jaką podatek gruntowy obecnie wpływa do kas skarbowych.

Większego jeszcze znaczenia była kwestya pańszczyźniana. Nie potrzeba zapewne przypominać ohydnego, despotycznego charakteru systemu pańszczyźnianego w Egipcie. Niewzruszalnie wiąże się on z ziemią Faraonów i ów łagodny, potulny fellah, gnany batogiem bez żadnéj protestacyi do pracy nad kanalizacyą, irygacyą i wszelkiego rodzaju robót użytku publicznego, zmuszony do opuszczania swojéj zagrody i swego zagonu na pierwszy rozkaz niesumiennych, przedajnych, barbarzyńskich dozorców, jest typem tragicznym, a cichy jęk tych milionów istot ludzkich cierpiących katusze i bezlitośnie wyzyskiwanych z pokolenia w pokolenie, nie może zostawić obojętnym nikogo o źdźble sumienia. Humanitaryzm angielski jest może mniéj efektowny, mniéj deklamacyjny aniżeli francuski, nie dekretuje on „praw człowieka”, ale za to, gdzie tylko może w czyn je wprowadza, znosi niewolę, darmochy i z niewolników czyni swobodnych obywateli. Zbyteczném byłoby dodawać, że wszystko, co europejska administracya cywilizowana uczynić była w stanie dla zmniejszenia nadużyć, dla ulżenia brzemienia pracy pańszczyźnianéj, zostało zrobione przez Anglików z chwilą, gdy wzięli na siebie dzieło przekształcenia organizmu miejscowego. Ale nie paliatywów trzeba było: całkowite zniesienie pańszczyzny stanęło przed nimi jako gwałtowny, nieodzowny postulat. Ażeby pracę przymusową, darmochy, zastąpić swobodną, potrzeba było pieniędzy. Skarb nie posiadał ich zrazu, a gdy je znalazł następnie, nie mógł użyć ich na tego rodzaju wydatki. Jedyny sposób, jaki miał rząd angielski, do dokonania téj reformy, było zużytkowanie na skup pracy pańszczyźnianéj — owéj sumy 450,000 funt. eg., które konwencya międzynarodowa londyńska 1888 roku przeznaczyła na obniżenie podatku gruntowego. Ponieważ dwie te części zagadnienia są prawie jednoznaczne i oddziaływające na te same warstwy robotnicze, rząd angielski postanowił przepołowić tę sumę i obrócić tylko 200,000 na zmniejszenie bezpośredniego podatku gruntowego, a 250,000 na skup pańszczyzny. Zdawaćby się mogło, że jedyny za-

rzut, jaki operacyi takiéj dałby się uczynić, jest jéj połowiczność i nieśmiałość. Stało się jednak inaczéj w rzeczywistości. Projekt wykupienia darmochów napotkał ze strony humanitarnéj i demokratycznéj Francyi najzawziętszą, upartą opozycyę. Nic pocieszniejszego, jak noty i memoryały dyplomacyi francuskiéj, protestujące przeciwko temu targaniu się Anglii na wiekami uświęconą organizacyą pracy w Egipcie! Trzy lata ta kampania, o któréj bez rumieńca wstydu mówić niepodobna, trwała i dopiéro w r. 1889-ym udzieliła Francya swéj sankcyi na takie zużytkowanie wyż rzeczonéj sumy. Od razu połowa ludzi, których praca potrzebowaną była rok rocznie do czyszczania kanałów irygacyjnych, została rozpuszczona. Nadzwyczajna popularność téj operacyi wywołała żądanie, ażeby znaleziono natychmiast 150,000 funtów do całkowitego zastąpienia darmochów przez pracę płatną. Nubar-basza i jego następca Riaz-basza otrzymują od zgromadzenia narodowego upoważnienie do ściągnięcia dodatkowego podatku od właścicieli ziemi na ten cel. Ale nie potrzeba było uciekać się do tego podatku. Wskutek konwersyi niektórych długów, skarb egipski w r. 1890 mógł rozporządzać nietylko tą sumą, ale dwa razy większą. Gdy ponownie udał się z przedstawieniem do wielkich mocarstw, o zużytkowanie owych sum na skup pańszczyzny, napotkał powtórnie odmowę ze strony Francyi, która skruszona została nareszcie po długiéj i niestrudzonéj kampanii dyplomatycznéj. Gdyby cały ten zatarg nie był historyą dnia wczorajszego, nie byłoby podobném dać mu wiary.

Za daleko-by nas zaprowadziło, gdybyśmy szli krok w krok za rozmaitemi postępami, dokonanemi przez Anglików w innych gałęziach administracyi, jak policyi i bezpieczeństwa publicznego, urządzeń sanitarnych, reformy więzień i t. d. Na oddzielną wzmiankę zasługuje atoli sądownictwo. A nie łatwą było rzeczą wprowadzić reformy do niego i zabezpieczyć niezależność trybunałów w kraju, gdzie istnieje, jedna obok drugiéj, aż cztery odrębne organizacye sądownicze. Egipt posiada naprzód trybunały religijne, sądzące muzułmanów, daléj trybunały mieszane, sądzące sprawy pomiędzy muzułmanami a cudzoziemcami, następnie trybunały konsularne, dochodzące przestępstw kryminalnych, popełnionych przez obywateli do ich jurysdykcyi należących i nakoniec trybunały miejscowe do spraw cywilnych, oraz kryminalnych Egipcyan. Samo się przez się rozumie, że Anglicy nie mogli się mieszać do żadnego z trzech pierwszych, a ograniczyć się musieli do ostatniego. Postawili sobie za cel tak podnieść, oczyścić i udoskonalić, rybunały krajowe, ażeby stało się interesem europejskiéj i całéj napływowéj ludności do nich się uciekać. Na żad-

ném polu walka pomiędzy wpływem angielskim a francuskim nie była bardziéj zacięta, jak w sądownictwie i skończyła się dopiéro w roku 1890-ym, gdy się udało Anglikom mianować p. Scott'a, sędziego, zajmującego wysokie stanowisko w Bombay, głową sądownictwa krajowego. Wziął się on energicznie do dzieła reorganizacyi, wydalił wielu sędziów, którzy byli jedynie dekoracyjnemi darmozjadami, podniósł znacznie płacę tych, którzy zasiadają w trybunałach pierwszéj i wyższéj instancyi, ażeby ich bezstronność zabezpieczyć, zniósł tortury przy śledztwach, przyśpieszył procedurę, zmniejszył jéj koszta i formalności, i położył podwaliny organizacyi sądowniczéj, o jakiéj niedawno jeszcze Egipt nawet marzyć nie mógł.

Obraz działalności angielskiéj nie byłby dokładnym bez uwzględnienia tego, co zrobili w dziedzinie robót publicznych. Nie ma kraju, gdzieby one były niezbędniejsze i można powiedziéć, że Egipt zniknąłby, zamienił się w pustynię bezludną, gdyby one choć na chwilę ustały. Nawadnianie gruntu, utrzymywanie kanałów dawniejszych, budowa nowych, regulacya poziomu wody przez szluzy, upusty, tamy i t. p., jest tutaj kwestyą bytu. Okupacya angielska znalazła cały system wodny w stanie opłakanym. Zrozumiéć to łatwo, gdy się przypomni, że wielki reformator egipski, Mehemet-Ali, rozpoczął wielkie dzieło irygacyi Delty dla uprawy bawełny i trzciny cukrowéj, a zatém zamienił gospodarstwo rolne kilkomiesięczne na całoroczne. Ten plan nie mógł być wykonany bez przyzwania na pomoc zdatnych inżynierów. Powołano ich wprawdzie z Francyi i ich prace pod względem technicznym były nieposzlakowane. Ale ponieważ za następców Mehemeta-Ali nie posiadali ci inżynierowie francuscy prawa prowadzenia tych prac, nadzoru nad ich wykonywaniem, zatém popełniono w tysiącznych miejscach kapitalne błędy. Pomieszano kanały nawadniające ziemie z irygacyjnemi, nie postanowiono drenowania na téj saméj stopie, co irygacyi, pobudowano szluzy i upusty w złych miejscach, zaléwano niepotrzebnie całe powiaty, kiedy sąsiednie nie miały wody i wilgoci. Oprócz tego, zamiast ogólne dobro miéć na oku, otaczano troską grunta pewnych właścicieli, a zaniedbywano inne.

Zadanie Anglików było o tyle łatwiejsze, że mogli nietylko plan nakréślić, ale i wykonać. Sir Colin S. Moncrieff, który przez dziesięć lat przewodniczył wydziałowi robót publicznych i który przyzwał do pomocy znakomitych inżynierów, miał tedy do zwalczenia tylko techniczne trudności i na szczęście umiał im podołać. Trzeba było dopełniać i zmieniać plan i system dawniejszy, a jednocześnie wprowadzać w czyn—nowy. Zdawać się to mogło nieraz pracą Penelopy. Rezultaty są już jednak dodatnie. Stare kanały, zamulone i bez ujść zo-

stały oczyszczone i przedłużone; zaprowadzono dreny, które zostały zupełnie oddzielone od kanałów irygacyjnych; poziom wielu kanałów sprostowano, wprowadzono w użycie nowy system szluz i zaprowadzono metodę systematyczną do zatrzymywania pokładów użyzniającego mułu. Co do tego ostatniego punktu, dokonano rzeczy nadzwyczajnych. I tak, w kanale Ismailia, łączącym Nil z kanałem Suezkim, sprowadzono ilość mułu z 300,000 kub. metrów do 120,000 w r. 1884. Kanał Nagar wymagał dawniéj do uprzątnięcia 500,000 metr. kub. mułu pracy 20,000 robotników przez dni 40; nowe przyrządziły sprowadziły jego ilość do 30,000 m. k. i zaoszczędziły pracy i pieniędzy. Każdy rok następny dodawał nowe zdobycze do tego wielkiego dzieła.

Lecz są to drobiazgi tylko w porównaniu do innego przedsięwzięcia. Już Napoleon podczas kampanii egipskiéj wskazał na potrzebę zbudowania grobli w poprzek Nilu na punkcie, gdzie się rozdwaja i wytwarza deltę: był to jedyny sposób podniesienia stałego poziomu rzeki. Za Mehemeta-Ali, inżynier francuski, Mongel-bey, rozpoczął istotnie budowę owego słynnego *Barrage*, złożonego z dwóch mostów połączonych murem na 1,000 metrów długim z arkadami, ułatwiającemi przepływ wód i tamującemi go przez potężne żelazne wrota. Budowano tę groblę przez lat dwadzieścia i kosztowała blisko 2 miliony f. szt., pomimo bezpłatnéj wówczas pracy pańszczyźnianéj. Nie dokończono jednak nigdy tego znakomicie pomyślanego dzieła, a gdy miało miejsce kilka wypadków z tymczasowemi upustami, zaniedbano go zupełnie i uznano go w r. 1883-im za pozbawione wszelkiéj wartości praktycznéj. Jednocześnie zaniedbano budowy trzech kanałów, które były częściami składowemi téj tamy. Sir Colin Moncrieff zamiast urzeczywistniać kosztowny plan, do jakiego się wówczas właśnie rząd egipski zabiérał, podniesienia poziomu całego Nilu przez system pomp, postanowił doprowadzać do pożądanego końca prace nad *Barrage* inżyniera francuskiego Mongél, i pomimo opozycyi i wrzawy, po dwuletnich próbach, które wykonalność ich udowodniły, wziął się do dzieła. Gdy w r. 1885 konwencya londyńska dostarczyła 1,000,000 f. na roboty publiczne, znalazł fundusze, których przedtém brakowało. Po sześcioletniéj pracy, która przez inżynierów wszech krajów uznana została za wzorową, wielkie przedsięwzięcie zostało szczęśliwie dokonane. Można uważać obecnie system nawodnienia Egiptu za organicznie przeprowadzony i wymagać on tylko będzie utrzymywana i stopniowego dopełniania.

To co się stało w dolnym Egipcie dzięki *Barrage*, w innéj formie i innemi sposobami dokonane zostało w górnym Egipcie przy pomo-

cy prac znanych pod nazwą *Sharaki*, czyli rezerwoarów wodnych. Jako owoc tych robót 50,000 akrów ziemi jest już obecnie regularnie nawodnianych. Jest to wiele, ale jest niczém w porównaniu do tego, czémby się mógł stać Egipt rolniczy, gdyby się dał urzeczywistnić plan p. Willcocks, zbudowania wielkiego rezerwoaru centralnego w górnym Egipcie. Od kilku lat p. Garstin, następca Sir Colin Moncrieafa i całe ciało inżynierów angielskich agitowało w tym przedmiocie i komisya międzynarodowa wyznaczona przez rząd przychyliła się do tego planu. Ponieważ jednak do wykonania zarówno tych robót jak innych wielce użytecznych, potrzeba wielkich kapitałów, a Egipt podnieść ich nie potrafi bez sankcyi mocarstw, zatém, wyrazić można obawę, iż nie prędko to jeszcze nastąpi.

Gdy się tedy ściśle rozbierze działalność Anglików w Egipcie, stajemy wobec rezultatów tak dodatnich, że z czysto humanitarnych, cywilizacyjnych względów, można im tylko przyklasnąć. Ile razy rząd angielski albo prasa wykazuje rozmiary wprowadzonych ulepszeń, natychmiast ich przeciwnicy, Francuzi, stawiają pytanie dlaczego, wobec tak podniesionego poziomu, Anglicy nie wycofają swéj armii i nie zostawią Egiptowi swobody dalszego rozwoju. Argument ten nie wytrzymuje krytyki. Walczą przeciwko niemu dwa względy. Naprzód jest oczywistém, że kilkunastoletnie rządy angielskie nie wystarczyły do zaszczepienia na gruncie egipskim istotnéj cywilizacyi. Cały szereg wieków barbarzyństwa stworzył tam organizm na którym zasady europejskie, społeczne, prawne, finansowe, i t. d. położyły zaledwie lekką warstwę pokostu. Jeżeli reorganizacya Egiptu ma być istotnie użyteczna, to należy prowadzić ją daléj, systematycznie, nie zaś przerwać w chwili, gdy dopiéro materyały budowlane nagromadzone zostały. Następnie nie wystarcza wycofać armię okupacyjną angielską i reprezentantów jéj cywilnych, trzeba uprzednio nakréślić plan nowego ustroju i otrzymać nań sankcyę mocarstw europejskich. W braku téj zgody leży właśnie szkopuł największy.

Pierwsze pytanie, które się nasuwa każdemu, co się z opinią i wolą narodu o którego losy chodzi, przedewszystkiém liczyć pragnie, jest: czego sobie sami Egipcyanie życzą i jak się oni na okupacyę angielską zapatrują. Jeżeli nie może ulegać wątpieniu, iż masa fellahów, która płaci mniéj podatków, którą oswobodzono od pańszczyzny, która przestała być prześladowaną i wyzyskiwaną, błogosławić musi tę jutrzenkę sprawiedliwości i prawa, która ich wiekową niedolę rozświécać zaczyna, to jest równie pewném, że klasy uprzywilejowane, że sfery urzędowe są w gruncie serca przeciwnikami Anglików i że powitałyby koniec ich rządów okrzykami radości. Nie można zapominać ani o oporze

biernym albo otwartym jaki Nubar basza i wielu mężów stanu i potentatów miejscowych stawiali dawniéj Anglikom, ani o rękawicy jaką im cisnął Abbas-Hilmi, obecny chedyw, w pierwszych miesiącach po wstąpieniu na tron ojcowski. Zgnietli Anglicy ten bunt, tak jak dali sobie radę z dawniejszą opozycyą! Ale takie starcia nie przechodzą bez śladu, i wyższe sfery egipskie nie mogą ich kochać. Twarda, dumna, pełna arogancyi ich postawa, przeciwważa nieraz wartość istotnych ich usług, oddanych społeczności. Na dnie opozycyi i uczuć nieprzyjaznych, żywionych przez Egipcyan przeciwko nim, leży nie tylko podrażniona miłość własna, nie tylko poczucie skrępowanéj niezależności, ale także żal że przeszły już czasy samowolnéj gospodarki, łupiestw i baksziszów niewyczerpanych.

Jeżeli tedy Egipt urzędowy, i jeżeli się tak wyrazić wolno, towarzysko narodowy, żywi złą wolę do Anglików, to nie należy zapominać, iż jest ciągle jątrzony i podbudzany przez stronnictwo francuskie. Francya, która w ciągu całego ostatniego stulecia tak wpływową rolę odgrywała w Egipcie i która uwieńczyła swą działalność cywilizacyjną przez przekopanie kanału suezkiego, ma tam, jak łatwo zrozumiéć, liczną klientelę. Nie tylko stronnicy jéj geniuszu łacińskiego i bezstronni wielbiciele jéj historycznéj roli, ale jednocześnie cała chmara kosmopolitycznych awanturników, zuchwałych przedsiębiorców, wszystkie żywioły o podejrzanéj moralności i programatach radykalnych nie przestawają przemawiać za wyzwoleniem się z kurateli angielskiéj. Słuchają ich, jak zrozumiéć łatwo, Egipcyanie z rozkoszą. Ale nie ma wątpienia, że gdyby jutro Francuzi zajęli w Egipcie, to samo dominujące stanowisko, jakie obecnie posiadają Anglicy, znaleźli by się, prędzéj czy późniéj, w takich samych trudnościach z urzędowym światem miejscowym.

Jeżeli nie naród egipski jako taki, to przynajmniéj zwierzchnie jego warstwy niezadowolone są z okupacyi i interwencyi angielskiéj, jeżeli te same uczucia żywić by im przyszło względem Francuzów albo mieszanéj jakiéjkolwiek okupacyi europejskiéj, to z kolei wypada zatrzymać się przed drugiém pytaniem, a mianowicie: czy Egipt potrafi dać sobie radę sam, bez dyrekcyi i udziału mocarstw europejskich, innemi słowy, czy jest zdolny do autonomii.

Samo się przez się rozumié, że doniosła ta zasada autonomii, samorządu, nie może być zastosowana do Egiptu w sensie politycznym, ale jedynie administracyjnym. Do ustroju konstytucyjnego, do systemu parlamentarnego społeczeństwo to, dopiéro z barbarzyństwa wyrwane, nie dorosło i długie jeszcze lata wody Nilu będą wznosić się i opadać, zanim do niego dorośnie, długie jeszcze lata pod egidą silne-

go ale ojcowskiego i sprawiedliwego rządu, społeczeństwo to jedynie rozwijać się może. Ciało reprezentacyjne byłoby obecnie maskaradą i stałoby się pośmiewiskiem, jak wszystkie takie próby na muzułmańskim Wschodzie skończyłoby się bankructwem. Ale do samorządu administracyjnego jest Egipt, zdaniem wielu teoretyków i optymistów zdolny. Ci, co znają dokładnie społeczność egipską, są atoli innego zdania. Nie wiadomo, gdzie szukać tam żywiołów energicznych, światłych, uczciwych. Masa narodowa składa się, jak wiadomo, z fellahów, ludności rolniczéj, zupełnie biernéj i nie mogącéj rościć najmniejszéj pretensyi do funkcyi publicznych. Klasy średniéj, téj którą społeczeństwa europejskie stoją, nie ma tam dotąd, w braku wszelkiego przemysłu i rozwiniętych specyalnych gałęzi wytworczości, i w braku oświaty. Warstwa ulemów wskutek swego fanatyzmu religijnego i swéj wiedzy, w scholastycznym dogmatyzmie zakrzepłéj, nie jest przeznaczona do wytworzenia takiéj klasy. Dotąd są tylko słabe wskazówki jakby się ta średnia warstwa utworzyć mogła. Koptowie, Syryjczycy, Ormianie, Żydzi, Lewantczycy, i cała ta handlująca, gwarliwa, wielojęzyczna ludność europejska, zamieszkująca Aleksandyę i Kair, może z czasem, osiedliwszy się na dobre, i zespoliwszy swe interesa z interesami kraju, utworzyć społeczność jednolitą. Naturalnie potrzeba będzie nie mało czasu na taki proces asymilacyjny.

Obecnie dwa tylko czynniki z natury swéj nadawać by się mogły do autonomicznéj administracyi Egiptu: arystokracya, powiększéj części pochodzenia tureckiego, nieliczna ale bogata oligarchia i biurokracya, cała ta szara, bezbarwna, masa Effendi'ch którymi zapełnione są wszystkie biura i zarządy krajowe. O arystokracyi egipskiéj to tylko powiedziéć można, że żyła z przywilejów, z uciskania fellahów, i że jest wrogo usposobiona do wszystkich reform, które jéj majątkowe stanowisko podkopały. Jeżeli reakcyjne ich tendencye nie ulegają wątpliwości, to natomiast o rozumie stanu, o znajomości spraw publicznych tych baszów i tych bejów nic wiedziéć nie można. Ich młodzi synowie, wychowani po europejsku, oddają się z zapałem europejskiéj rozpuście, ale nie powstał z pośród nich ani jeden mąż stanu, administrator, urzędnik o szerokich i jasno sformułowanych aspiracyach. Co do biurokracyi urzędniczéj, to za młoda jest jéj tradycya ażeby się od jéj przedstawicieli jakiéjkolwiek inicyatywy spodziewać było można. Są to pokorni, czołobitni, ospali, źle płatni a zatém przedajni urzędnicy: całość ich stanowi mechanizm, do którego ożywienia potrzeba by niemałego wysiłku.

Nieodzownym wynikiem téj analizy jest obecna przynajmniéj nieudolność Egiptu do rządzenia się w duchu metod europejskich. Zo-

stawieni sami sobie, popadliby nieodwołalnie w dawniejszą nieudolność, nieład, chaos, prywatę i marnotrawstwo majątku krajowego. Potrzeba wychować tę społeczność, pstrokaty, przypadkowy nieledwie zlepek różnorodnych czynników, potrzeba dać jéj spójnię, potrzeba przez rozwój ekonomiczny wytworzyć w niéj warstwy średnie, potrzeba przez szkoły i instytucye publiczne ukształtować jéj inteligencyę. Europa, uważająca Egipt za kraj geograficznie odrębny ale zresztą nierozerwalnie od niéj zawisły, wzięła na siebie rolę Mentora i zawiniła by ciężko przeciwko ludzkości, gdyby rozpoczęte dzieło przerwała, zanim jéj wychowaniec nie stał się pełnoletnim.

Czytelnik, który miał cierpliwość iść aż dotąd za naszemi wywodami, zrozumié teraz łatwo dlaczego teorya o neutralizacyi Egiptu jest w naszych oczach wprost przeciwną obecnemu interesowi tego kraju. Gdyby ogłoszony i uznany był dzisiaj za państwo niezależne od Turcyi, samodzielne i neutralne tak, jak są neutralnemi Belgia albo Szwajcarya, dwóch by to wymagało warunków. Pierwszym, uprzednim było by zniesienie kapitulacyi, przez które dotąd mocarstwa europejskie ochraniają bezpieczeństwo i prawa swych obywateli przed gwałtami i uciskiem społeczeństwa muzułmańskiego. Uznając Egipt za państwo niezależne, zdolne do samorządu, nie było by można jednocześnie windykować specyalnéj jurysdykcyi dla swych poddanych. Byłoby stratą czasu wykazywanie, że żadne mocarstwo europejskie nie zgodziłoby się obecnie wyrzec się z uprzywilejowanego swego stanowiska wobec znaku zapytania, jakim by ów zneutralizowany Egipt pozostać musiał. Drugim warunkiem uznanéj neutralizacyi byłoby powstrzymanie się od wszelkiéj interwencyi do spraw Egiptu. Nawet gdyby młody jéj mechanizm cywilizacyjny runął pod naciskiem tryumfującéj reakcyi, nawet gdyby jaka rewolucya militarna w rodzaju téj, którą Arabi-Basza był przedsięwziął, na nowo Egipt wstrząsnęła w swych posadach, nawet wtedy Europa była by zmuszona z objektywnym spokojem przyglądać się takim katastrofom. Tak postawiona kwestya sama w sobie niesie rozwiązanie. W przyszłości oddalonéj może Egipt być zneutralizowany. Obecnie jest jeszcze na to zawcześnie.

Stanęliśmy u kresu założonego programatu przedstawienia czytelnikom główniejszych trudności, jakie rozwiązanie kwestyi egipskiéj przedstawia. Nie było naszém zadaniem formułować jakiegokolwiek rozwiązania. Gdyby Europa rządzona była przez humanitarnych filantropów, zgodzili by się oni zapewne, ze względu na ulepszenia jakie zaszły w Egipcie podczas okupacyi angielskiéj, pozostawić je nadal pod tą samą kuratelą. Ale skoro każde z mocarstw o swój własny interes troszczyć się musi, zatém nie ma widoku, ażeby się zgodziły na

wzmocnienie stanowiska Anglii ich kosztem. Opozycya przeciwko okupacyi angielskiéj nie ustanie, przynajmniéj ze strony Francyi, która przebaczyć nie może Anglikom win i błędów przez siebie samą popełnionych.

W ostatnich czasach Anglicy zresztą popsuli w wysokim stopniu swoją pozycyę przez wyprawę do Sudanu. Ci, co nie zapomnieli wypadków historycznych niedalekiéj przeszłości, przypominają sobie wyprawę podjętą przez armię egipską pod dowództwem generała Hicks do Sudanu. Egipt wówczas, w 1883 r., chciał o własnych siłach pozyskać swe naturalne granice. Gdy zuchwałe to przedsięwzięcie skończyło się porażką, lord Cromer, ówczesny sir Evelyn Baring, rozkazał Egipcyanom w imieniu Anglii wycofać się z Sudanu. Podejmując w roku zeszłym, po upływie lat trzynastu znowu te samą wyprawę do Dongoli i Chartumu, rząd angielski zamierzał, jak urzędownie ogłosił, wywiązać się z moralnego zobowiązania przyjętego względem Egiptu. Europa nie dała jednak wiary takiemu programatowi i otwarcie podejrzéwa Anglię, że chce podbić Sudan albo dla siebie saméj, albo dla Egiptu w razie gdyby jéj całkowicie przysądzony został. Sposób, w jaki Anglia zagarnęła kapitały na tę wyprawę z *Caisse de la dette*, wywołał protestacyę mocarst europejskich, a przynajmniéj Francyi i Rosyi. Czytelnicy wiedzą, że w następstwie procesu wytoczonego Anglii, ta ostatnia zwróciła zagrabioną sumę skarbowi egipskiemu. Nie polepszyło to jednak bynajmniéj sprawy. Gdy w roku bieżącym armia egipsko-angielska daléj w pustynię sudańską się zapuści i gdy zwycięskie jéj proporce zatknięte zostaną na murach Chartumu, kwestya stanie znowu w całéj swéj doniosłości przed Europą, i roztrzygnąć przyjdzie co z tym powiększonym Egiptem uczynić wypadnie. Jeżeli gdziekolwiek to tutaj rola proroka, przepowiadającego przyszłość, nikomu uśmiechać się nie może.

N. T.



EWOLUCYA KARY.

(Dokończenie *).

III. Reakcya społeczna.

Właściwa reakcya społeczna (naturalnie mamy tu na myśli reakcyę pierwotną przed powstaniem dzisiejszych związków państwowych) może przybierać trojaką postać: 1) zemsty publicznéj, społecznéj, instyktownéj (*Vindicta publica*, Τιμωρία), 2) władzy sądowéj, ojca rodziny — z czego wywiązała się późniéj jurysdykcya rodowa i szczepowa, zawsze skoncentrowana w ręku jednéj osoby (*paterfamilias*, naczelnik), 3) sądownictwa sakralnego, rozciągającego się na wszystkie czyny zawierające obrazę bóstwa. Wszystkie te trzy czynniki mogą istnieć obok siebie, lecz również mogą występować oddzielnie, pojedyńczo. W społeczeństwach zwierzęcych i najpierwotniejszych ludzkich, znajdujemy albo publiczną zemstę, albo téż wyłączne prawo sądzenia w rękach jedynowładcy, najsilniejszego indywiduum. Na wyższych szczeblach kultury widzimy, jak czynniki te toczą ze sobą walkę konkurencyjną, nie da się jednak zaprzeczyć, że sądownictwo sakralne, opiérające się na religii i istnieniu bogów, zjawia się najpóź-

---

*) Patrz zeszyt styczniowy r. b., str. 143.

niéj, — daléj, że władza sądowa ojca rodziny stoi w związku z późniejszém wyznaczaniem *(delegatio)* specyalnych urzędników (sędziów), co stanowi właściwą podstawę dzisiejszego stanu rzeczy w państwach cywilizowanych.

A) Zemsta społeczna.

Instynktowna reakcya społeczeństwa przeciw członkowi naruszającemu w jakikolwiek sposób jego normy i narażającemu na szwank jego dobra, ma za podstawę to samo pragnienie zemsty, które Indyanin z plemienia Omaha wyładowuje w braku winowajcy na świni, to samo, które mieszkańca wysp Fidżi powstrzymuje od zabaw, to samo wreszcie, które potrafi przez całe dziesiątki lat podtrzymywać wzajemną nienawiść dwóch walczących skutkiem zemsty krwawéj ze sobą rodów. Różnica polega tylko na tém, że tutaj indywiduum (członek społeczeństwa) staje w kolizyi ze społeczeństwem.

Niejednokrotnie używają źródła niemieckie wyrażenia *Rache* zamiast *Strafe (Schwabenspiel*, 310; *Strassburger Stadtv* , XI) i słusznie dlatego orzeka Loeffler o stosunkach germańskich, mówiąc: publiczna kara w wielu kierunkach nie okazywała się niczém inném, jak aktem zemsty, wykonanym przez państwo.

Żądza zemsty u tłumu nie jest bynajmniéj zjawiskiem epoki pierwotnéj, u dzikich tylko spotykaném, amerykańska sprawiedliwość doraźna (prawo lynchu) [1], wypadki, kiedy rozzłoszczony tłum szturmem zdobywa więzienie, by zamordować znienawidzonego zbrodniarza [2].

---

[1]) Bardzo interesujące dane statystyczne znajdujemy u Artura Desjardins: „Le droit des gens et la loi de lynch aux Etats-Unis.“ „Revue de deux mondes“, 1891, 13/V, s. 34. Okazuje się z nich (ib. 330), że jeszcze w dzisiejszych czasach prawo lynchu stanowi dopełnienie sądu. Dzienniki amerykańskie wyliczają w roku 1884—103 egzekucye sądowe na 219 wypadków lynchu, w 1885—108 na 181, w 1886—83 na 133, w 1887—79 na 123, w 1888—87 na 144, w 1889 — 98 na 175. Nowe społeczeństwa uważają taki wymiar sprawiedliwości za zupełnie słuszny: John Bryce wyraził z tego powodu zdanie: „Prawo lynchu, jakkolwiek rażącém wydać się może europejczykom, jest obecnie wolne od wszelkiego gwałtu samowolnego“ (far removed from arbitrary violence) (ib. 331).

[2]) Każde wykroczenie, popełnione na placu targowym u Kabylów, karaném bywa natychmiast—wzburzony bowiem tłum kamienuje sprawcę; zadaniem jednak urzędnika targowego *(amek' k'eran)* jest nie dopuścić do takiéj natychmiastowéj reakcyi, ma on odstawić przestępcę przez swoich ludzi do aresztu, aby go późniéj ukarać, zdarza się jednak często, że tłuszcza zabije go po drodze. Hanoteau et Letourneux, „Kabylie“, III, 304.

Są to dowody, które pozwalają w tym względzie uważać tłum za zbiorowe indywiduum, identyczne pod względem psychologicznym z osobą fizyczną. Zemsta społeczna, jak zemsta wogóle, nie zna psychicznie żadnych granic, zniszczenie znienawidzonego indywiduum jest jéj celem, jéj ideałem—jaką zewnętrzną formę obrać, to dla niéj obojętne. Wobec zamknięcia się pierwotnych grup społecznych w sobie, całość osobnika i trwałość jego egzystencyi zależy od przynależności do jakiegolwiek związku. Po za obrębem szczepu czyha na niego śmierć: walka z siłami natury, z dzikiemi zwierzętami i z obcymi, a więc wrogo usposobionymi ludźmi, przewyższa siłę odporną jednostki. Wykluczenie ze społeczności równa się śmierci. Gmina dopina wówczas swego celu: z chwilą wygnania nienawistnego człowieka — tenże przestaje być jéj członkiem, dla niéj subiektywnie przestaje istniéć, obiektywnie zaś jest bardzo bliskim faktycznego rozstania z życiem. Jednym z rodzajów wygnania był germańskt zwyczaj sadzania na okręt bez steru złodziei i morderców, których egzekucyi chciano uniknąć, następnie zaś puszczania okrętu na morze (Grimm R. A., 701). Występuje tu ze szczególną siłą prawdopodobieństwo śmierci wygnanego. Ten sam zwyczaj znajdujemy na wyspie Tobi: przestępcę ze związanemi rękami spuszczają na morze w dziurawém czółnie (Waitz, V, 2, 117). Tak więc zemsta ludu występuje w obudwu postaciach *promiscue*; prawdopodobnie jednak uśmiercenie jest jéj formą najpierwotniejszą lub przynajmniéj stosowaną przy ważniejszych naruszeniach pokoju publicznego, jako reakcya najsilniejsza. Żadną zaś miarą nie możemy zgodzić się ze zdaniem, że wygnanie jest najprymitywniejszą, bo najlżejszą formą zemsty [1]). Choćbyśmy nawet nie podali w wątpliwość téj lekkości, to nie da się jednak zaprzeczyć, że nie stanowi ona istotnéj cechy zemsty; z drugiéj strony—zemsta prywatna wskazuje nam, że uśmiercenie nie należy bynajmniéj do trudnych zadań. I tak, jeżeli zwrócimy uwagę na reakcyę karną w społeczeństwach zwierzęcych, to znajdziemy tam oba sposoby wyłączenia obok siebie: zdrajców się zabija, leniwe zaś i zgryźliwe indywidua skazuje się na

---

[1]) Kara śmierci wymaga takiego stanu socyalnego, w którym władza publiczna jest dostatecznie silną na to, żeby we wszelkich warunkach zapewnić wprowadzenie w czyn wyroków sądowych, tymczasem u najmniéj nawet rozwiniętych narodów łatwo jest wyłączyć winnego ze wspólnego życia narodowego i oddać go na łup zemsty pierwszego lepszego. Thonnissen (Loi salique) stosuje teoryę powyższą także do Germanów, lecz właśnie tam najmniéj wytrzymuje ona krytykę—por. Bruner RG., I, 169. Mianowicie, pozbawiony opieki publicznéj złoczyńca, ulega wszelkim możliwym prześladowaniom ze strony członków gminy, którzy wspólnemi iłami starają się jego gospodarstwo zniszczyć, spalić i zburzyć.

wygnanie; prawdopodobném więc jest, że czyny bezpośrednio dla społeczeństwa szkodliwe pociągają za sobą śmierć, zaś nietowarzyskość, która wychodzi na jaw w całym szeregu niewiele znaczących czynów lub zaniechań, karana bywa wygnaniem. Jaskrawo występuje ten stosunek u Indyan Chippeway, którzy na wygnanie skazali krewnobójcę, gdy się jednak dowiedzieli, że winien on jest téż śmierci białego agenta, wówczas jeden z współplemieńców zabił go tomahawkiem. U Pschawów krewnobójstwo uchodzi bezkarnie — sprawca naraża się tylko na powszechną pogardę; u Svanetów, jakkolwiek również tolerują takiego człowieka, jednak ponosi on już pewną karę, — nosi mianowicie zewnętrzną oznakę wzgardy publicznéj — kamienny łańcuch; wreszcie u Tuschinów skazują go na trzyletnie wygnanie (takie stopniowanie przedstawiają zapatrywania pokrewnych narodów na kwestyę szkodliwości krewnobójstwa). Wszystkie te narody wyróżniają prócz tego przestępstwa, w których reakcyę społeczną stanowi śmierć winowajcy. Tak np. zbiór praw zwyczajowych Dagestanu uważa za obowiązek wszystkich członków rodu postępować w ten sposób wobec zbrodniczego członka. Nie ma na ziemi społeczeństwa pierwotnego, któreby nie reagowało za pomocą śmierci na przestępstwa członków. Możnaby całe tomy zapełnić przykładami tych pierwszych zarodków kary, my jednak zadowolnimy się tylko najbardziéj charakterystycznemi. W Benin (Afryka) ludność przychodzi na sąd uzbrojona, w celu zabicia winowajcy natychmiast po stwierdzeniu winy. W podobny sposób wykonywa się wyrok w Loango, Angola, Pallaballa. Achelis uważa to za zwyczaj u wszystkich ludów pewnego stopnia kultury rozpowszechniony, że ludność przychodzi na zgromadzenia przeważnie uzbrojona, by załatwiać tam spory, rozstrzygać o pokoju i wojnie, a także zawyrokować o winie zbrodniarza i wyrok na miejscu wykonać.

U Ossetów ojcobójca ściąga na siebie nieubłaganą zemstę ludu, który otacza go i podpala jego dom, wraz z nim i z całym jego dobytkiem. Jeżeli, co rzadko się zdarza, gość zostanie zraniony lub obrażony, wówczas cała wieś zbiéra się dla sądzenia sprawy i zazwyczaj strącają winowajcę ze związami rękami i nogami ze skały w rzekę. Zwyczaj strącania ze skały (Tarpejskiéj) istniał również w Rzymie (w razie fałszywego świadectwa) (Gell. XX, I, Liv. VI, 20. Dionys. II, 56); był to ostatni ślad *vindictae publicae* [1]). Oryginalną i okrutną

[1]) Ihering, Geist, I, 212. Wyraz *Vindicta publica* znajdujemy w wiekach średnich, np. u Bartolusa („Actio criminalis ad vindictam publ."), to samo znajdujemy w Atenach.

formę posiada zemsta publiczna u Tasmańczyków: cudzołóżca przywiązany do drzewa służy za cel dla strzał współobywateli [1]). U Turkmenów zdrajca bez procesu bywa przez lud zabijany, rodzina jego skazana na wygnanie, dobytek zaś zniweczony. U Karaibów cudzołóżca ginie na publiczném miejscu pod ciosami ludu. U Miriditów (w górnéj Albanii) ojciec lub bracia pozbawiają życia uwiedzioną dziewczynę; jeśliby tego nie uczynili, zostałaby ukamienowaną lub spaloną przez ludność [2]). U starożytnych Sasów kobiéty własnoręcznie wykonywały wyrok, na jaki skazaną była shańbiona dziewczyna; także u Wyandotów dziewczynę, dopuszczającą się nierządu, sądziła rada ze starych kobiét złożona, która naturalnie również wykonywała wyrok. Nadzwyczaj charakterystycznym jest fakt, że Τιμωρία w Grecyi jeszcze za czasów historycznych oznaczała jednocześnie pomoc, zemstę i karę. Najczęściéj używaną formą karzącéj zemsty ludu było za czasów Homera kamienowanie. Ta sama forma była w użyciu u Franków i Hebrajczyków [3]). A również znaną była Aztekom, w Abissynii, Khokandzie, w prawie muzułmańskiém, u ludów Benguela i Zulu. U Hessów kamienowanie połączone było z przeszywaniem strzałami. Według praw norweskich nie przywiązywano przestępcy, lecz formował się z ludu szpaler, przez który musi on biedz, wszyscy rzucają nań kamieniami, torfem lub innemi przedmiotami. U Kabylów wszyscy mieszkańcy wioski obowiązani są do rzucania kamieni na przestępcę, jeżeli czyn jego narusza interesa całéj wsi. U demokratycznych Dakotów, gdy jaki naczelnik przywłaszczy sobie prawo reprezentowania szczepu, spotyka go za to mocne poturbowanie, jeżeli nie śmierć. W rzadkich wypadkach otrucia lub usiłowania w tym kierunku na wyspach Mentawei cała ludność chwyta sprawcę, wiąże go i rzuca w morze. Odróżnienie drugiéj formy zemsty publicznéj, t. j. wygnania od uśmiercenia, nie jest bynajmniéj łatwém zadaniem, ponieważ z jednéj strony proces wypędzania połączony bywa ze spaleniem domu i często-

---

[1]) If an offence be committed againt the tribe, the deliquent has to stand white a certain number of spears are, at the same time, thrown at him (Ling. Roth., 72) — należy odróżnić od analogicznej formy załagodzenia sporów prywatnych.

[2]) Zupełnie analogiczne przepisy zawiéra prawo karne Longobardów (Roth. 189, 221; Liutpr. 24); por. Osenbrüggen. Lang. 30.

[3]) W razie występku przeciw religii, bałwochwalstwa, czarów, bluźnierstwa, profanacyi sabbatu, oporu względem rodziców lub przeklinania ich, ciężkiego występku cielesnego, kazirodztwa, pederastyi, nierządu zwierzęcego, zgwałcenia narzeczonéj (Mayer, 59—60).

kroć śmiercią winowajcy [1]), z drugiéj strony jest możliwém, że przestępca dla uniknięcia śmierci sam opuszcza gminę. Tak np. u Kabylów wyrok, skazujący na wygnanie, wydają na przestępcę, który ucieczką uratował się od skazania na śmierć. Z tego téż powodu, według prawa islandzkiego, otrzymuje się nagrodę za zabicie człowieka, wyjętego z pod pokoju publicznego. Wygnany był szkodliwém zwierzęciem, do uśmiercenia którego należało ludzi zachęcić. Kto zabił banitę, otrzymywał nagrodę. Podobnież prawo czarnogórskie z r. 1796 obiecuje nagrodę za zabicie złodzieja, schwytanego na gorącym uczynku. Ustawy anglosaskie i islandzkie przyrzekają premię piénięźną za zabicie wyjętego z pod pokoju publicznego (Wilda), a według prawa norweskiego otrzymywał ten, kto schwytał złodzieja, wszystko, co tenże miał na sobie, a co było tegoż własnością (Amira) [2]).

Każdy przestępca był zarazem wyjętym z pod opieki prawa, ponieważ w każdéj chwili mógł paść ofiarą zemsty ludu lub bezkarnéj samowoli [3]), nie można było wiedziéć, czy zachowa on lub utraci życie. W czasach późniejszych, gdy na widownię wystąpiło sądownictwo urzędników państwowych, przestępca dopóty nie był wyjęty z pod opieki prawa, dopóki sędzia nie skonstatował jego winy; ale schwyta-

---

[1]) Najdawniejszą formą wyjęcia z pod pokoju publicznego jest powszechnie uśmiercenie winowajcy i zburzenie jego gospodarstwa. To postępowanie pierwotne można sobie przedstawić, jako wyrugowanie zbrodniarza przez tłum z jego domu, przyczém zdarza się często, że sam on ponosi śmierć.

[2]) Wyrazy oznaczające wyjętego z pod pokoju publicznego: sansk.-wedyjskie — *parâ vrj*, angls. — *vrecca*, star.-sas. — *wrekkio*, ahd. — *reccho*, altn. — *rekrr* (O. Schrader, „Sprachvergleichung und Urgesch.“), czerk.—*abrek*, słow. *izgoj* (Kowalewski, „Devoir“, Revue de soc., II, 86), służą zarazem dla oznaczenia przestępcy; rozróżnia się nawet rozmaite rodzaje „wilka“, t. j. wygnanego (*vargr*, *varg*, *vearg*, *warc*, *wolf*, *wulf*), a mianowicie: *mordvargr* (mordercę), *brennuvargr* (podpalacza), *gorvagr*, *uvisavargr* (Amira, „Zweck und Mittel“, 47—48). W języku prawniczym longobardzkim nosi wyjęty z pod pokoju publicznego nazwę *fehgangi*, wyraz stojący w związku ze staroniemieckim *fêh*, anglosaskim *fâh*, fryzyjskim *fach*, *inimicus* (Brunner). Ustawy anglosaskie nazywają go *fah*, nieprzyjacielem króla i wszystkich jego przyjaciół. W jednym z kapitularzy karolińskich występuje jako: *nobis et populo nostro inimicus.* Hiszpańskie „Fueros“, zapowiadając banicyę, używają zwrotu: „*exeat nimicus*“. Wyrok banicyi, wydany na margrabiego Ekberta z Miśnii, zawiéra ustęp: *Publicus regni hostis et domini sui imperatoris* (Brunner).

[3]) Tak np. mniejsze związki oświadczają większym, że nie przyjmują one żadnéj odpowiedzialności za swojego byłego członka i nie myślą mścić się za niego (Dorsey, „Omaha“, 369). Tak według Farinaciusa *assassini*, *publici latrones et stratarum disroboratores* stają się przez sam czyn swój banitami, a więc każdy może ich zabić (Kohler, „Z. f. int. Priv.“, Str. R. V, 245.

ny na gorącym uczynku stawał się odrazu wyjętym z pod pokoju publicznego, wina jego wówczas nie ulegała wątpliwości [1]) i dlatego wolno go było zabić. Myśl tę zawiéra znany ustęp z „Fausta" Goethego, gdzie Siebel woła w winiarni Auerbacha: „Bijcie, ten łajdak jest wyjętym z pod pokoju publicznego", podstawą tego twierdzenia była okoliczność, że Mefistofeles dopuścił się oczywistego czarnoksięstwa, a zatém na gorącym uczynku go schwytali.

Ażeby wygnanemu uczynić niemożliwą dalszą egzystencyę w obrębie gminy, burzy się jego dom, zasypuje studnię i zabija drzwi; zwyczaj ten jest tak naturalną, na przyczynowym związku opartą konsenkwencyą zasadniczéj idei wygnania, że na całéj kuli ziemskiéj z nim się spotykamy [2]). Tak np. „Prawda Ruska" nakazuje wygnać podpalacza i zburzyć jego dom, podobnież ustawa cara Duszana; członkowie marki i mieszkańcy wsi u Germanów rozwalali dom przestępcy na znak, że chcą go wykluczyć z gminy. U Ditmarsów palono do szczętu dom przekupnego sędziego (Grimm R. A., 729). W średnich wiekach burzono często mieszkanie zbrodniarzy, niezależnie od wyznaczonéj im kary. Zwyczaj plądrowania i niszczenia domu spotykamy u Franków, Fryzów, Saksonów, a także i u ludów skandynawskich; w starofrancuskiém prawie nosi to nazwę *droit de ravage*.

Francuscy i hiszpańscy królowie w średnich wiekach pozwalali, lub nawet nakazywali takie burzenie [3]). W tych razach, gdy rozkaz czy pozwolene zburzenia domu wychodzi od władzy, samo burzenie traci charakter *lynchu*, a nabiéra cechy raczéj kary ubocznéj; statut miasta Pistoi przepisuje wprost: *domus et turres funditus destruantur et arbores et vites estirpentur* — a państwo ponosi koszta spustoszenia. Prawo zwyczajowe w Bigorre zezwalało na *l'arsis* i *l'abatis* domów zbrodniarzy. Bardzo ciekawym jest pewien edykt fryzyjski z r. 1111, zezwalający na taką doraźną sprawiedliwość [4]). W państwie byzantyjskiém zrujnowanie domu weszło w zastosowanie, o ile się zdaje, jako kara za zdradę (akt z r. 1319. Miklosich, „Blutrache", 137). Za reminiscencyę takiego sposobu wygnania musimy

---

[1]) Glossa do Szp. I, 51 (Brunner, DRG. II, 483).

[2]) „Devoir", Rev. de soc., II, 89.

[3]) Król Aragonii Sancho rozkazał, żeby nikt nie zamieszkiwał domu splamionego zbrodnią; daléj, żeby dom ten był zwalony, a na jego miejscu rozpoczęto uprawę roli. Mieszkańcy wsi Plan, chcąc zburzyć dom zbrodniarza, zwrócili się do Karola, króla Francyi, z prośbą o pozwolenie, na co tenże zezwolił w *lettres patentes* z 28 kwietnia 1408 r. (Lagrèze, 273).

[4]) Ob has causas (morderstwo i zgwałcenie) permittimus fracturas et combustiones domorum (Schwarzenberg, I, 72, 6—Grimm, 730).

uważać zwyczaj, o jakim wspomina doniesienie urzędowe z r. 1666 w Moguncyi: jeżeli żona pobiła swego męża, wówczas sąsiedzi wchodzą na dach domu męża, wyrębują szczyt i zrywają dach aż do czwartéj łaty od góry (Grimm, 723). Według starochińskiego Li-ki ze zburzonego domu ojcobójcy czyniono chléw. Ten sam zwyczaj znajdujemy u Normanów we Francyi i u Fryzów, we Flandryi, u Bulgarów i Słowian połabskich, u Azteków, na Samoa, w starożytnych Węgrzech i Atenach. U Melanezyjczyków jest w użyciu ograbienie przestępcy (*muru*). Grecy już za czasów Homera znali wygnanie [1]). U plemienia Maraczaj (Kaukaz) w razie shańbienia niewiasty zbiéra się cały lud, „starzy” zaś wydają wyrok, skazujący sprawcę na wygnanie; w przeciwnym razie, nie jest on pewny życia. Na wyspach Mentawei morderca zmuszony jest opuścić swój kampong. U Malajów z Menangkaban znajdujemy także wygnanie z „*suku*”; wypędzony zwie się wtedy „wygnanym publicznie, żeby wszyscy o tém wiedzieli”. U małego starożytnego plemienia zach. jawańskiego Baduis ma nie być innych kar, prócz wykluczenia ze świętéj gminy. Podobny skutek pociąga za sobą nieprzestrzeganie zwyczajów gminy, u Chewsurów na Kaukazie. Wygnanie znajdujemy jeszcze u Defir-Beduinów, Tuszynów, w Bihar, Saran, u plemion Muszeras, Bodos (w Darjiling), Santalów. W Rzymie prawo wykluczenia miały pierwotnie rody, późniéj przeszło ono na państwo, głównym w tym kierunku tegoż organem był cenzor, mający prawo wyłączyć z senatu, z *tribus*, ze stanu rycerskiego

Udział ludu w wykonaniu wyroku śmierci uznać musimy za reminiscencyę zemsty publicznéj. Jeszcze w r. 1524 chłopi Dietmarscy własnoręcznie zabili skazanego na śmierć Henryka von Zutphen, ponieważ nie było kata. Lecz tylko w razie potrzeby, t. j. jeżeli kata nie ma lub jeśli ten nie mógł sam jeden dać sobie rady, występuje obowiązek gminy udzielenia pomocy i to dopiéro za formalném wezwaniem ze strony sędziego. Gdy w Pratel trzeba było powiesić złodzieja koni, a Bazyleja nie chciała pożyczyć kata, wszyscy mieszkańcy musieli zająć się powieszeniem go na drzewie orzechowém. Wieś Wiesenbrun we Frankonii, należąca do urzędu w Castel, miała prawo nie wydawać złodzieja krajowemu sądowi, lecz wieszać go, przyczém wszyscy mieszkańcy musieli dotknąć stryczka (Grimm, 886).

Podobnie miała się rzecz według starego prawa islandzkiego, a według Frostupengslög, chłopi mieli towarzyszyć egzekucyi złodzie-

---

[1]) Odyss. XVI, 381—382.

ja, który zaś nie był obecny, płacił karę przepisaną na wypadek nieobecności na zgromadzeniu gajoném (*thing*).

Według przepisu prawa czarnogórskiego z r. 1796 kara śmierci wykonywa się przez ukamienowanie i rozstrzelanie. Dzisiejsza wojskowa egzekucya wyroku śmierci jest ostatnim śladem zemsty publicznéj.

Od czasu do czasu, zwłaszcza w epoce rozruchów ludowych, zjawia się i dziś znów stara zemsta społeczna nawet na wysokim stopniu kultury. Dość przypomnieć, że komuna paryska, bezwiednie odnowiła *droit de ravage*, kiedy zadekretowała 10 maja 1871, zrównanie z ziemią domu ówczesnego prezydenta republiki Thiersa, którego z pewnością, w razie gdyby był się ukazał, traktowanoby jak człowieka wyłączonego z pod pokoju publicznego. Nie inaczéj miały tłumy w roku 1848 w Berlinie postąpić z pałacem księcia pruskiego, uznanego za wyjętego z pod prawa — od zniszczenia zupełnego uratował ów dom ktoś bardzo zręcznie przez napisanie krédą wielkiemi literami na ścianie frontowéj „własność narodowa"—w ten sposób w miejsce zniszczenia nastąpiła konfiskata. Zemsta ludu, pomimo swego społecznego charakteru, pozostaje zawsze tylko zemstą, τιμωρια *vindicta*, ze wszystkiemi jéj właściwościami [1]).

Pod względem prawnym i socyologicznym zemsta publiczna różni się od prywatnéj, lecz pod względem psychicznym, jako wyraz danego stanu umysłu, są one całkiem identyczne; zemsta publiczna ma się do indywidualnéj, jak w muzyce akord do toniki: jest on silniejszy, bogatszy w odcienie, lecz czy będzie się nazywał *c-dur*, czy *c-moll*, zawsze jego punktem wyjścia będzie ton *c*. Wskutek tego zemsta publiczna musi przejść po tych samych stopniach rozwoju, przebyć tę samą drogę psychologiczną, jaką przebyła w historyi prawa zemsta indywidualna.

Widzieliśmy więc, jak powstaje zemsta prywatna, instytucya, na mocy któréj w niektórych wypadkach indywiduum ma prawo pozbawić życia drugą osobę, daléj, że jest stadyum, w którém indywiduum (poszkodowany) ma powszechnie uznany obowiązek zabicia sprawcy. Zaznaczyliśmy obie te fazy rozwoju, jako epoki surrogatów

---

[1]) Jak walka rodów (*Fehde*) oznacza nieprzyjaźń rodu, uprawnionego do zemsty, podobnie wyjęcie z pod pokoju publicznego jest wyrazem nieprzyjaźni całego ludu. Brak pokoju i ochrony prawnéj stanowi negatywną, zaś nieprzyjaźń społeczna—pozytywną stronę wyjęcia z pod pokoju publicznego. (Brunner II, 166). Charakterystycznem jest, że wyjęty z pod pokoju, a zatém wydany na łup powszechnéj nienawiści, nazywa się *faidosus* (*fath* w źródłach fryzyjskich) por. Richthofen. Fries. R. Q. 186, 188, 190.

kary, ponieważ akty zemsty występują w takich warunkach nie jako samowola tylko, lecz jako akt zastępstwa społeczeństwa, słabo jeszcze interesującego się sprawą karania przestępstw, naruszających prawa jednostek, nie zaś gminy, jako takiéj. Są téż wypadki, w których również dla zemsty społecznéj stoją otworem obie drogi t. j. prawo albo obowiązek wszystkich członków danéj grupy społecznéj, zabić wyjętego z pod pokoju przestępcę. W tym razie grono osób, powołanych do zastępstwa interesów publicznych, jest daleko liczniejsze, nie tylko bowiem poszkodowany lub szczupłe kółko krewnych, lecz wszyscy członkowie społeczeństwa są uprawnieni lub zobowiązani do zemsty. Tak np. u Indyan Wyandot znajdujemy dwa stopnie wyjęcia z pod pokoju. Słabszy polega na tém, że w razie, jeżeli przestępca dopuści się jeszcze raz czynu podobnego do tego, za który został wyjętym z pod opieki prawa, wówczas wolno każdemu go zabić, a śmierć jego nie wywoła krwawéj zemsty ze strony jego rodu. Silniejszy stopień jest téj treści, że każdy należący do szczepu zobowiązany jest zabić przestępcę, jeżeli go gdzie napotka.

Nie należy mieszać tego podziału ze staronorweskiém wyjęciem z pod pokoju: surowém za *ubotaverk* i zwyczajném (*utlagr*). Miarą jest tu możność wynagrodzenia szkody za pomocą kary pieniężnéj (por. Amira Altnorw. V v.). Post nie odróżnia tych dwóch różnych punktów wyjścia. (Grundriss I, 251 N. 1).

U Germanów bardzo wybitnie występuje to przejście od prawa do obowiązku zemsty: kiedy najdawniejsze zwyczaje wcale nie nakładały kary na opuszczenie sposobności ścigania i zabicia wilka, w późniejszém spotykamy już odnośny obowiązek. Wyrok skazujący Ekberta margrabiego Miśnii na banicyę, przepisuje wyraźnie jego ściganie (*persequendus*).

Podobny obowiązek leżał na wszystkich członkach gminy (u Germanów), którzy musieli rzucać kamienie i ziemię na złodzieja ulicznego, biegnącego (jako *Pechvogel*) szpalerem, utworzonym z ludu. Kto nie rzucił, podlegał karze 9 uncyi. Według anglosaskiego rozporządzenia (Aethelstan IV 6 § 5) ośmdziesięciu ludzi zająć się ma takiém ukamienowaniem złodzieja. Kto trzy razy chybi, dostaje trzy rózgi. U żydów istniał obowiązek ukamienowania fałszywego proroka, namawiającego na bałwochwalstwo (Pent. V, XIII 9—10). Prawo zemsty publicznéj widzimy w cytowanych wyżéj, uznanych przez państwo, prawach zwyczajowych lub w przywileju mieszkańców Pampeluny, na mocy którego mogą oni zabić bez procesu urzędnika sądowego w razie nadużycia przezeń władzy, (Lagrèze, 288). Jeszcze w r. 1796 posta-

nawia prawo czarnogórskie, że mordercę wolno każdemu i wszędzie zabić.

Nieograniczona zemsta musi, jak wiadomo, uledz z biegiem czasu modyfikacyi, któréj wyrazem będzie instytucya odwetu (*talio*). Także zemsta ludu, stosownie do swych cech zasadniczych, musi przejść tę fazę, ponieważ odwet (*talio*) nie jest specyficzném stadyum w rozwoju zemsty prywatnéj, lecz m e t o d ą o d p ł a t y Lud nie napada już na zbrodniarza, nie zasypuje go gradem kamieni, ani nie odpycha go, występuje tu poraz pierwszy idea owéj metafizycznéj sprawiedliwości: *suum cuique tribuere*. Podobnie jak w zemście prywatnéj krzywdziciel i poszkodowany, w zemście krwawéj dwa rody, tak tutaj znów, przy *vindicta publica*, stoją naprzeciw przestępca i społeczeństwo; to ostatnie mści się za zadane mu zło, skazując złoczyńcę na analogiczną przykrość. Tak np. za podstawę mojżeszowego prawa karnego należy uważać zasadę: szkoda za szkodę, oko za oko, ząb za ząb; jak kto drugiego skrzywdził, tak i jego skrzywdzić należy. W Grecyi panowała podobna zasada. (Hermann. Lehrb. 70 Anm. 9, por. též Günther I, 76, v. Bar. I, 9). Ażeby dać pełny wyraz takiemu wyrównaniu Solon przepisał, aby za wybicie oka człowiekowi jednookiemu wyłupiono sprawcy oba oczy. Obok tego mechanicznego systemu odpłaty rozwija się drugi t. zw. symboliczny odwet, który obejmuje kary wyraziste [1]). Ten symboliczny odwet służy celom kryminalno-politycznym, *ostendere scelera, dum puniuntur*, ochraniania społeczeństwa od ewentualnego powtórzenia przestępstwa.

Zdrowe myśli pierwotnéj, eliminującéj zemsty publicznéj niedługo podlegały analogii zemsty prywatnéj i jéj późniejszéj fazy, właściwego odwetu; szukały one zawsze wolnego miejsca dla siebie; zamiast prawnego lub fizycznego tępienia obrano inną drogę: przyszło się mianowicie do tego prostego przekonania, że przestępca nie popełni powtórnie tego samego przestępstwa, jeżeli się go pozbawi potrzebnych narzędzi. Dokładne badania jednak wykazują, że wiele przestępstw bywa karanych w jeden i ten sam sposób (np. przez ucięcie

---

[1]) Zatrzymujemy wyrażenie „symbolicznego odwetu“, jakkolwiek wydaje się ono nam niewłaściwie użytém por. Leist. A. A. jus gent. 325: „występuje tu odrębna myśl prawna, którą należy ściśle odróżniać od zasady odwetu. Powinno się odpokutować tą samą częścią ciała, którą się zgrzeszyło (a więc nie w ten sposób, w jaki ucierpiał przeciwnik)“. W pierwszym odwecie przewodnią myśl stanowi mechaniczna odpłata, wyrównanie, w tym zaś „symbolicznym“—uczynienie kogoś nieszkodliwym. Może lepiéj byłoby zamiast tego ulubionego wyrażenia Posta przyjąć używane przez Francuzów (Tissot I, 546, Letourneau) „kary wyraziste czyli analogiczne do zbrodni“ (*peines expressives ou analogues au crime.*).

ręki); specyalizacya tego odzwierciadlania jest trudna, obrazowe przedstawienie niedokładne i wieloznaczne. Społeczeństwo wychodziło tu bezwąpienia z inego założenia, a mianowicie uczynienia przestępcy nieszkodliwym. Tak np. według Manu (VIII, 270) za obrazę członka wyższéj kasty obcina się sprawcy (*sudra*) język; jeżeli osoba, należąca do jednéj z niższych kast, targnie się jakąkolwiek częścią ciała na członka kast wyższych, ma jéj być ta część ucięta (ib. 279); jeżeli go więc ze swawoli oplwa, powinien król skazać ją na obcięcie obu warg i t. d. (ib. 282). Ta sama myśl tkwi w naszéj konfiskacie, narzędzi zbrodni i zakazie wykonywania rzemiosła. Przestępca nie powinien więcéj miéć okazyi do znalezienia się w położeniu, umożliwiającém powtórne dokonanie zbrodni. Także w Abisynii w wypadkach ciężkiego krzywoprzysięstwa wyrywają przestępcy język. U Germanów krzywoprzysięsca tracił rękę, którą podnosił przy akcie przysięgi, podobnież było w Węgrzech. Jeżeli ktoś niesprawiedliwie oczernił drugiego, naraził się tém samém na utratę języka według rozporządzenia króla Edgara (Wilda 959 — 969). W Egipcie kastrowano gwałcicieli; człowiekowi, który zdradził tajemnicę państwową, obcinano język; fałszowanie monet, wag, miar i pieczęci państwowych karano ucięciem obu rąk. W wizygockiéj księdze ustaw za przeciwny naturze nierząd przewidzianą jest kastracya. Przy kradzieży należy odróżniać dwa systemy uczynienia nieszkodliwym: jeden chce, aby złodziéj nie widział, drugi—aby pozbawiono go narzędzia czynu t. j. ręki [1]). Drugi system, jako logiczniejszy, jest téż więcéj rozpowszechniony: w Atchinie, Tonkinie, Kokandzie, Kaszgarze, na Maldivach, w sułtanacie Borneo, na Sumatrze, w Birmie, według ustaw kałmuckiego chana Galdana, w Bornu, u Indyan Daryjskich, w prawie węgierskiém, w średniowieczném prawie niemieckiém, na Kamczatce; pierwszy—oślepienie spotykamy na wyspie Ferro, u Indyan z Cuzco, w Serbii (Zakonnik cara Duszana), u szczepów Chibchas, Karagwe (Kongo) i Madżiarów. (Post. „Anfänge 223. Bausteine I, 292. Ursprung, 107. Afrik II, 88. Grundriss II, 242. W średniowiecznych prawach włoskich znajdujemy oba punkta widzenia *promiscue*). Na wyspie Fate, na do-

---

[1]) Jeżeli na Kamczatce pochwycono złodzieja, który dopuścił się licznych kradzieży, przywiązywano go do żerdzi, następnie za pomocą zapalonych witek brzozowych przypiekano mu ręce w ten sposób, że palce pozostawały na całe życie zgięte ku wewnętrznéj stronie dłoni, daléj psuto mu narzędzia, służące do kradzieży i powszechnie uznawano za złodzieja, ażeby każdy mógł go się wystrzegać. (Steller. Kamtschatka 356).

mu człowieka, który źle mówił o naczelniku, wieszają jego szczęki. Osobom, które się dopuściły obrazy, szpiegom i fałszerzom obcina się ręce lub palce. Fałszerzowi monet u Anglosasów (Aethelstan II, 14, I) ucinano rękę, która popełniła przestępstwo, i przytwierdzano do warsztatu. Jeżeli czeski mieszczanin lub włościanin uderzył kogo, tracił rękę, podobnież każdy, kto wobec króla i dworu zranił drugiego mieczem lub nożem; analogiczny przepis zawierała węgierska *Carta* z r. 1270, udzielona mieszkańcom Cosve. Téj saméj idei uczynienia nieszkodliwym hołduje też piętnowanie [1]), przestępca jest raz na zawsze naznaczony, — przez piętnowanie mówi się jego współobywatelom: miejcie się na baczności, on to jest" „piętnowanie ma na celu uczynienie zbrodniarza znanym dla każdego, a więc też i dla władz". Rozmaite wypalone piętna zastępują zatém w życiu praktyczném dzisiejsze akty o poprzedniem karaniu przestępcy (kontestacye karne, czyli tak zwana w Królestwie Polskiém przed r. 1876 „regestratura sądowa"). Ten sam cel osiąga się przez ostrzyżenie głowy, pręgierz, jazdę na ośle i t. d.; gmina nie tak łatwo zapomni osobę, któréj przypadło w udziale takie pohańbienie. Dalszą fazą analogiczną, którą zemsta publiczna na podobieństwo zemsty prywatnéj przejść musi, jest pewna forma załagodzenia t. j. prośba o przebaczenie. Jak „pokora" u Słowian i odpowiednie instytucye Kabylów, w Birmie i t. d. powinny odwieść poszkodowanego od zemsty, tak też np. fidżyjskie *soro* ma ten sam cel w stosunku do obrażonéj społeczności. Z pięciu rodzajów *soro* pierwszy stosuje się do kradzieży, uwiedzenia i cudzołóztwa, drugi do zaniedbania obowiązków urzędowych, trzeci wchodzi w zastosowanie w razie powstania lub rewolucyi, czwarty ma znaczenie międzynarodowe, — polega mianowicie na zrzeczeniu się przez zwyciężonych władztwa w danym kraju, piąty dotyczy zemsty prywatnéj. Ten rozwój *soro*, gdzie jedna i ta sama instytucya obejmuje 2 rozmaite wypadki, gdzie w ten sam sposób proszą o przebaczenie osobę prywatną i gminę, dostarcza nam uderzającego dowodu jednolitości punktów wyjścia i ewolucyi zarazem. U plemienia Omaha znajdujemy pokutę publiczną, trwającą dwa do czterech lat. Winowajca ma się wstrzymać od pe-

---

[1]) Bezwątpienia odzwierciedlenie przestępstwa gra tu wielką rolę; tak np. u Franków (*cap. de moneta c.* 5.), którzy na czole fałszerza pieniędzy wypalali napis: „*falsator monetae*"; to samo widzimy w Chinach, Birmie, w okręgu Dźwińskim za czasów Wasyla Dymitrowicza i t. d., ale jest to tylko środek, do celu wiodący, jak to wyraźnie zaznacza Ta Tsing Len-li 281; por. Manu. VIII 352: władca powinien za pomocą przejmujących zgrozą kar uczynić zbrodniarza dla wszystkich znanym.

wnych potraw, ograniczyć się do przepisanego odzienia, nie strzydz włosów i t. d. (Dorsey, 369).

Ten sam charakter ma kościelna pokuta publiczna. Kościół chrześciański posiada, jak i każde inne społeczeństwo, naturalne prawo wykluczenia opornych członków, pod co da się podciągnąć całe kościelne prawo karne w swych istotnych częściach składowych. Zarazem najgłówniejszym środkiem przymusowym w kościele była exkomunika, dla uniknięcia któréj trzeba było się upokorzyć, to znaczy we wschodnim kościele przejść 4 stadya: *flentes*, *audientes*, *substrati*, *consistentes*, co odbywało się w gmachu kościelnym, w zachodnim zaś stać przed domem biskupa (*poenitentia solennis*) [1]) lub w przepisanym stroju przedsięwziąć podróż pokutną około świata *peregrinatio per mundum*, *poenitentia publica* [2]). Wiadomo nam, że między prawem karnem całéj grupy społecznéj a jednéj jéj części nie ma istotnéj różnicy; te same idee, które powołały do życia *soro*, stanowią podstawę pokuty kościelnéj i upokorzenia, praktykowanego w kastach indyjskich: skruszony winowajca staje z oznakami żalu przed zgromadzoną kastą, słucha w milczeniu wyrzutów, jakie mu robią, częstokroć otrzymuje uderzenia i płaci karę pieniężną. W końcu obiecuje poprawę, roni parę łez i robi „sachtanga” t. j. pokłon, przy którym pada twarzą na ziemię. Ten dotychczas analogiczny rozwój jednéj i drugiéj zemsty musiał doprowadzić do jednakowego epilogu t. j. kompozycyi. Różnica polega na tém, że zamiast jednostce—płaci się karę społeczeństwu (królowi), co zresztą w zupełności zgadza się z zasadniczą ideą. Państwo (król) jest stroną obrażoną, do niego ma być zwrócona prośba o przebaczenie, jemu, a nikomu innemu, szkoda ma być wynagrodzoną [3]). U Chewsurów (Kaukaz) gmina godzi się z wykluczonym (*Noltwetili* wł. uciętym), gdy ten ofiaruje do *chati* (świątynia gminna) kocioł i srebrną czaszę, zabija wołu i warzy *ludi* (piwo). W podobny sposób szwedzki *biltogher*, lub staronorweski *utlagr* mogli się wkupić w pokój za 40 marek. Staropolski *proscriptus* lub *expulsus* (w XIII w.) mógł uzyskać pokój za 2 marki złota [4]). Według statutu Wiślickiego

---

[1]) Sacco induti, nudis pedibus, vultibus in terram demissis se reos esse ipso etiam habitu et vultu protestantes ante foras episcopi. Montbach Statuta synodalia Dioeces. Wratisl. 21—38. Ulanowski: Mikołaj z Błonia 147.

[2]) Peregrinatio per mundum cum baculo cubitali et cum scapulari et cum huiusmodi. Et fit publice ideo: ut publicum peccatum habeat publicam disciplinam. (Mikołaj z Błonia, de sacr. pen. Ulanowski 141).

[3]) Jest to znana we frankońskiém królestwie grzywna „bannus“, którą musiano płacić za przekroczenie królewskiego zakazu. (por. Brunner II, 34, 52, 623).

[4]) *Abbate intercedente sub pactione duarum marcarum auri in totum gracie reformatus*. (Hube, Prawo polskie w w. XIII, 166).

za podpalenie (*incendium*), rozbój (*violentia sive spolium publice strate*), gwałt przed sądem (*cultellum vel gladium praesumpserit*), opór przeciwko wyrokowi sądowemu (*de judicio per suam rebellionem decesserit*) przestępca płaci królowi [1]) najwyższą grzywnę w wysokości 70. Charakterystyczném jest, że według Prawa Salickiego nawet w wypadkach, gdzie karząca siła państwa była obrażona *sine voluntate judicis, sine permissu judicis*), występuje tylko kompozycya. To samo ma miejsce w razie, jeżeli ktoś zabije sacebarona i przywłaszczy sobie jego władzę, lub komu innemu ją odda. Nieinaczéj ma się rzecz z podłożeniem ognia pod kościół lub budynek, w którym przechowują się święte relikwie, daléj z profanacyą grobów lub świętokradztwem. A jednak poza temi kompozycyami pozostaje pewna część przestępstw powszechnie szkodliwych, które wywołują nieubłaganą reakcyę społeczną, których żadną miarą nie można było okupić pieniędzmi. Są jednak, niestety, poważni badacze, którzy w téj kwestyi, jak i w wielu podobnych, czują się w prawie twierdzić co innego [2]).

---

[1]) Stat. Wiśl. X za *strepitus in judicio* według Stat. Wielk. IV—15 (Hube. Ustawod. Kaźm. W. Text. IX, XXXIX). Wszystkie te czyny mogą być uważane, jako akty powstania, oporu przeciw ustanowionéj władzy; dlatego też pociągają one za sobą najwyższą karę, którą się płaci królowi, jako stronie obrażonéj. Kara siedmdziesiąt po łacinie *septuaginta* zwaną była *poena regalis* dlatego, że płaciło się królowi albo jak mówiono królestwu, wnosiła się do skarbu królewskiego (Hube, Sądy, 236) por. *nostre camere applicanda* (Stat. Wielk. IV, Wiśl. IX).

[2]) Tak np. Post. „Grundriss" II, 256: wszędzie na ziemi istnieje w historyi rozwoju prawa karnego epoka, w któréj wszystkie bezprawia w gruncie rzeczy wyrównywa się przez płacenie kompozycyi. Najcięższe nawet zbrodnie, jak morderstwo, mogą być okupione. Kara śmierci i kary cielesne nie istnieją. Zjawisko to jest w zupełności powszechném." Ta teza Posta wydaje się nam trochę zanadto apodyktyczną, zwłaszcza wobec przytoczonych przezeń argumentów. Tak np. u Gruzinów w kodeksie Jerzego (1318 — 1346) wspomina się wprawdzie wyłącznie o kompozycyach, ale cytowane przestępstwa są: morderstwo, obelga, porwanie kobiety i kradzież, a zatém nie ma żadnego, zagrażającego bytowi społecznemu. *Corpus juris Georgici* (I, 1361—1391) powtarza te same przepisy, podwajając zarazem wysokość kompozycyi, zawiéra jednak również inne przestępstwa, skierowane przeciw państwu i religii i karane wyłupieniem oczu. Przestępstw tych również za czasów księcia Jerzego nie można było zapewne okupić pieniędzmi, w przeciwnym bowiem razie byłyby wymienione w taryfach, określających wysokość kompozycyi. Podobnie ma się rzecz z prawem polskiém. Najstarszy pomnik prawa polskiego z XIII wieku zawiéra tylko kompozycye, ale przestępstwa tam wymienione są: kradzież, zabójstwo, zgwałcenie, uwiédzenie, cielesne uszkodzenie. Za to Statuta Wiślickie z r. 1346 — 1368 wspominają o przestępstwach przeciw społeczeństwu, które król karze dowolnie śmiercią lub wygnaniem (obok poprzednio wspomnianych, karanych grzywnami). Przytaczana

W wielu *leges barbarorum* reakcya społeczna przejmuje terminologię od systemu kompozycyi (*de vita sua componat*), jednak istota jéj przez to nie zatraca się, znajduje ona późniéj silną pomoc w sądownictwie królewskiém, które karze śmiercią cały szereg przestępstw. O tym czynniku wymiaru sprawiedliwości karnéj pomówimy w inném miejscu, tymczasem zaś poprzestaniemy na twierdzeniu, że zemsta społeczna, idąc w rozwoju swym równolegle z prywatną, łączy się naraz z kompozycyą, nie tracąc jednak swéj samodzielności: z dwóch rzek powstaje trzecia w ten sposób, że każda z początkowych się rozdwaja, dwie nowe odnogi łączą się i tworzą trzeci prąd. Zemsta prywatna, jako wyraz pewnego stanu psychicznego, zostaje wprawdzie ograniczona, lecz nie znika, zemsta publiczna (reakcya społeczna) w rzadkich, najważniejszych tylko wypadkach ma możność rozwinięcia się, kompozycya zaś wchodzi w zastosowanie przy naruszeniach praw prywatnych i przy większości przestępstw. Z biegiem czasu rzeka kompozycyi znów się rozdwaja; jedna część w charakterze kar pieniężnych [1]) łączy się z reakcyą społeczną (system kar), druga zachowuje swoją samodzielność pod nazwą prawno-prywatnego odszkodowania pieniężnego. Jest to właściwy charakter kompozycyi (por. np. termin prekluzyjny kodeksu malajskiego Nawôlô-pradôlô (art. 8 u Wilkena 95). Odtąd więc pozostają trzy wielkie prądy: reakcya społeczna, kompozycya zredukowana do odszkodowania cywilnego i obracająca się w granicach norm prawnych zemsta prywatna.

---

już ustawa Jarosława dotyczy tylko morderstwa, uszkodzenia cielesnego i kradzieży, a zatém znanych wypadków systemu taryfowego. Całkiem niesłusznie powołuje się daléj Post na Słowian południowych (Dareste 226), ponieważ według statutu Vinodolskiego okupuje się pieniędzmi: morderstwo, uszkodzenie ciała, kradzież, obrazę, ale powtórne podpalenie karze się zawsze śmiercią, a zdrajcę książe dowolnie sądzi,—jeżeli zaś porównamy ten przepis z polskiém *in gratia nostra consistat* lub lombardzkiém *in potestatem regis judicare*, z wyrażeniami: *in misericordia*, *in potestate regis*, *ducis*, *en merci du roi*, *du seigneur* używanemi w źródłach francuskich, flamandzkich, normańskich i anglonormańskich, to znaczenie jego będzie dla nas jasne. Również cytata z Brunnera D. RG. II, 612 — 623 (co się tyczy Germanów) jest niefortunnie wybraną, ponieważ znajdujemy tam tylko znane wypadki kar pieniężnych; należało zwrócić uwagę na str. 598—600 (o karze śmierci). Uważam za zbyteczne rozbieranie innych cytat, ponieważ są one wszystkie w ten sam sposób, jak powyższe, zebrane. Także cała teorya Littrégo (*l'idée de dedommagement a amené l'idée de peine* opiéra się na fałszywém założeniu, że w rozwoju pierwszego lepszego narodu znajdziemy epokę, w któréj wszystkie przestępstwa można było okupić pieniędzmi).

[1]) Typowy rozwój w bramińskich Indyach: „niezależnie od tego odróżnia się jeszcze dokładnie pozostałości starożytnéj taryfy kompozycyi, zamienionéj w taryfę kar“ (Dareste, Etudes 78), co do średniowiecznych statutów włoskich miast por. Kohler, Studien II, 84.

B) *Kary patryarchalne* [1]).

Istoty towarzyskie (*les êtres grégaires*) albo podlegają silnéj władzy, albo téż ją redukują do *minimum*. Bociany i kruki, Eskimowie, Indyanie Paraguayu i t. d. nie mają żadnéj władzy centralnéj,—małpy, konie, Negrzy, Fidżianie potrzebują jéj i rzeczywiście mają swoich przewodników stada, ewentualnie naczelników. W tych społeczeństwach, gdzie przewodników nie ma lub gdzie czasowo nie posiadają oni wielkiego wpływu, reakcya społeczna występuje wprost, jako instynktowna zemsta ludu; gdzie jednak silniejsze indywidua identyfikują się z gminą, jéj dobro uważają za swoje, chronią ją od niebezpieczeństw kosztem i z poświęceniem własnego niebezpieczeństwa, tam indywiduum takie uważa każde przestępstwo (powszechnie szkodliwe działanie), za naruszenie lub zagrożenie własnych interesów, jako własną obrazę i dlatego sam stara się reagować.

Najnaturalniejszy proces rozwoju czyni ojca rodziny autokratycznym władcą. Przewodnik stada u zwierząt ssących, jeżeli wogóle jakie indywiduum zajmuje w rzeczywistości to niezwykłe stanowisko, jest jedynym męskim, dojrzałym członkiem społeczeństwa, pozostali członkowie — są to jego kobiéty i dzieci. U dzikich patryarcha jest ojcem szczepu, wszyscy inni są w zasadzie dziećmi, wnukami i kobiétami. Późniéj występują adoptowani członkowie lub zwyciężeni, ale pierwsi są rzadkiém zjawiskiem, drudzy nie mają pełnych praw obywatelskich. Z patryarchalnéj rodziny powstają szczepy, z patryarchów — naczelnicy. Rozwój taki nie jest jedynie możliwym, zdarza się bowiem, że w gminie, żyjącéj w pomieszaniu płciowém (*Promiscuität)*, pewna energiczna (silna, odważna lub bogata) jednostka uzyskuje duzy wpływ na drugich [2]), jakkolwiek są to tylko pojedyńcze wypadki, a rozwój silnéj władzy sądowéj naczelnika, która w początkach jest prawem życia i śmierci, jest naturalnym wynikiem władzy

---

[1]) Według M. Morasso, władza sądowa patryarchy jest nawet j e d y n é m źródłem społecznego systemu kar („La evoluzione", 15).

[2]) Nie ma może dzikiego ludu na ziemi, którego egzystencya fizyczna byłaby więcéj zbliżoną do zwierzęcéj, niż Buszmenów: nikt nie ma tam większego od innych poważania, np. przez odziedziczenie godności — rozstrzyga tylko siła fizyczna, a silniejszy, obrotniejszy wyzyskuje ją często do tego stopnia, że słabszy musi mu ustąpić swoją broń, a nawet swoją żonę i dzieci, jeżeli chce zachować życie (Lichtenstein, II, 517—518).

patryarchalnéj. U Cyklopów, gdzie, według przekonania Greków, panowała zupełna anarchia prawna, ojciec rodziny miał prawo sądzić i karać. W starożytnéj Gallii głowa domu miała prawo życia i śmierci (Waitz, *Anthrop.*, II, 420) w stosunku do żony i dzieci, to samo prawo miał Dumpse u plemienia Maravis (*Caesar de b. gall.*, VI, 19). Punktem wyjścia władzy sądowéj indyjskiego *raji*, rzymskiego *rex*, greckiego βασιλεος (instytucye wspólnego pochodzenia staro-aryjskiego) jest stanowisko ojca domu. To prawo sądzenia Rzymianie nazywają *animadversio*, Grecy także τιμωρία (zemsta, reakcya). Każde wykroczenie uważa się za obrazę ojca domu [1]). W Rzymie *paterfamilias* mógł swoją żonę wygnać lub sprzedać, jak również skazać ją i dzieci na śmierć. Tę czysto impulsywną reakcyę pojmowano późniéj jako wykonywanie woli bogów, chodziło o *fas*, pan domu był wobec bogów odpowiedzialnym za sprawiedliwe wykonywanie sądownictwa, które miało się opiérać na *pietas*, zarówno u rzymskiego *paterfamilias*, jak u staro-aryjskiego *pati*. Starogermański ojciec rodziny w czasach, kiedy się z nim spotykamy, również był skrępowany pewnemi zasadami sprawiedliwości w wykonywaniu władzy sądowéj [2]). Kobiétę, która się dopuściła cudzołóstwa, wypędzano (Tacitus Germ., 19) z domu nago z obciętemi włosami, względnie ścinano (v. Richthofen, *Ges. des westerlauerschen Frieslands RQ.*, 409) za rospustę, ewentualnie chłostano lub sprzedawano (Liutpr., 121). Jeżeli schwytano kobiétę na cudzołóstwie, lub jeśli godziła ona na życie męża, wolno ją było zabić (Rothari, 202, 200; Lex. Bajuv., VIII, 1; Visig., III, 44; por. Wilda, 821—829; Brunner R. G., I, 75; Osenbrüggen Lang., 30). Podobne prawa zabicia cudzołożnéj żony znajdujemy u Słowian (por. Leg. St. Adalb. u Jireček 55, *et sub manu conjugis jussa est subire sententiam*). To samo *jus vitae ac necis* miał germański ojciec domu względem swoich dzieci (Rothari, 321). Australijski ojciec familii panuje w swém rodzinném kółku zupełnie dowolnie i despotycznie (Waitz, VI, 790), podobnie w Armenii (Dareste, 120). Władzę dyscyplinarną pana domu musimy przyjąć za istniejącą, odkąd wogóle istnieją rodziny ludzkie (Leist GJKG., 296). To sądownictwo patryarchalne po części dało

---

[1]) Sędzią ich (syna i żony) był ojciec rodziny — mógł on skazać na śmierć tak samo, jak to czyniła władza publiczna (Fustel de Coulanges, 102).

[2]) *Non licet uxorem interficere ad suum libitum, sed rationabiliter* (Formuła *Liber Papiensis* w „Rothari", 200. M. G. legum, IV, 344). Z drugiéj strony był on zmuszony karać winnych, bo w przeciwnym razie wdawało się państwo — por. „Roth.", 189, 221; Liutpr., 24: podobnie u Mirydytów (Gopcevich, 318).

początek despotycznéj jurysdykcyi naczelnika szczepu lub posłużyło jéj za wzór. Tak np. naczelnik wsi w Chinach jest bardzo często patryarchą klanu i rodu i sprawuje władzę sądową nad jego członkami (Pauthier, *La Chine moderne*, 256); dziś jeszcze jest ta instytucya uznaną przez państwo. Władza naczelna w starożytnéj Walii i u Indyan nosi niezatarte ślady rozwoju, opartego na urządzeniach rodowych (Post. Bausteine, I, 114). Nie inaczéj wygląda władza naczelna u Hottentotów (Fritsch, 97). Ci patryarchalni naczelnicy wyrokują samodzielnie i nakazują wykonanie wyroku swoim katom. Tak np. naczelnik plemienia Ma-Atabele trzyma specyalnych ludzi, zwanych królewskimi sztyletami, którzy trudnią się zabijaniem w nocnéj porze ludzi, uznanych przez króla za szkodliwych (Hollub. Z. f. Ethn., XXV, 196). Naczelne stanowisko rozwinęło się w nieograniczoną władzę nad życiem i własnością poddanych u Kirgizów, Rediangów na Sumatrze, w Niamniam, w Nutka, w Bucharze, Chiwie, Shoa, Dahomeyu, Marokko, u Natchezów we Florydzie, w Abisynii, Persyi, Usambara, Dschagga, Cayor. Z nieograniczonéj téj władzy rozwija się z jednéj strony późniejsze królewskie prawo wymierzania chłosty (jak jeszcze w starożytnéj Walii i według kodeksu cara Wachtanga), z drugiéj strony jurysdykcya królewska, którą król z początku sam sprawował (Manu, frankońscy, staropolscy królowie, w staréj Walii, Peru, Meksyku i t. d.), późniéj zaś zastępowali go urzędnicy (np. Amapakati u plemiemienia Amaxosa), którzy zdawna wyręczali go w drobnych sprawach, a obecnie otrzymali w całéj rozciągłości pełnomocnictwo do sądzenia w imieniu króla. Naczelnicy, względnie królowie odgrywają większą rolę w epoce kompozycyi, — rolę, która posiada pierwszorzędne znaczenie ze względu na powstanie państwowego prawa karnego; mianowicie, przestępstwa nie dopuszczające kompozycyi (jedyne właściwe przestępstwa) są pociągane przed trybunał króla, który sądzi je według własnego uznania (staropolscy i starofrankońcy królowie, książęta południowo-słowiańscy). W ten sposób idea przestępstwa, jako społecznie szkodliwego czynu, została uratowaną od zabagnienia w czysto materyalném zadośćuczynieniu, w ten sposób zachowaną została w całości zasada reakcyi społecznéj.

Czy słusznem jest jednak, abyśmy kary wymierzane przez autokratę uważali za akty reakcyi społecznéj? Na pytanie to należy odpowiedzieć twierdząco: w pierwszéj fazie rozwoju władca taki jest tylko wykonawcą powszechnéj woli, — jeżeli o tém zapomina, zostaje opuszczony, wygnany lub zamordowany: w drugiéj fazie na nic mu się zda nietykalność, jeżeli jest on prawdziwą lub domniemaną przyczyną nieszczęść swojego narodu; w trzeciéj fazie rozstrzyga wyłącznie po-

wszechne dobro. Nad greckim królem stali θέμιστες, w bóstwo zamieniona wola społeczna, szwedzki musiał zaprzysiądz (Wilda, 29), staroaryjski wogóle pytał się u ludu o zdanie, ilekroć chodziło o nowy przepis (Bernhöft, 113) [1]. *Regis voluntas suprema lex* jest tylko wtedy, jeżeli społeczeństwo nie ma nic przeciwko temu. Okrucieństwo niektórych autokratów, jak np. afrykańskich kacyków, musi wzbudzić myśl: dlaczego społeczeństwo je znosiło? Nie zapominajmy jednak, że męczeni i katowani Negrzy płaszczą się w poniżającém służalstwie przed swoim despotą, że nieraz po śmierci autokraty masy uderzały w płacz, zaczęły nosić żałobę i w rozpaczy i żalu nieutulonym oczekiwały strasznéj przyszłości. Naród posiada nietylko taki ustrój, na jaki zasługuje, lecz również taką formę rządu, jaką chce mieć większość.

C) *Czynnik sakralny.*

W epoce, kiedy każde przestępstwo stanowi obrazę bóstwa, dostrzegamy również w reakcyi pewną domieszkę pierwiastku sakralnego; reakcya jednak nie zatraca swojéj istoty — forma jéj tylko jest inna. Jeżeli dla przebłagania bogów poświęca się im na ofiarę przestępcę, to wykonawcami tego aktu są te same osoby, które występują w każdéj reakcyi: złoczyńca jest albo wyjęty z pod pokoju publicznego i każdy może go bogom ofiarować, gdzie tylko go napotka, albo téż rzuca się na niego wzburzony tłum, okazując bogom w ten sposób nieprzychylne swoje zapatrywanie na dane przestępstwo, wreszcie przyśpieszeniem śmierci przestępcy mogą się zająć ludzie wybrani, mianowicie kapłani, odpowiadający katom lub prawnie upoważnionym mścicielom krwi (ponieważ stoją najbliżéj bogów). Jak niezbędném jest zabicie na ofiarę zbrodniarza, wskazuje zwyczaj mongolskiego plemienia Abor w Indyach; dla ułagodzenia spowodowanego przestępstwem gniewu bogów, jeżeli pod ręką nie ma przestępcy, zabija się am w pośpiechu pierwszą lepszą świnię, ponieważ *periculum in mora*, krew płynie, społeczeństwo symbolicznie wypełniło swój obowiązek, gniéw bogów wyładował się na świnię (Letourneau, Justice, 45; por. Dalton Bougal, 24).

Tak u Germanów przestępcę, wyjętego z pod pokoju publicznego (*vargr*), ofiarowywał albo pierwszy lepszy, który go napotkał, albo

---

[1]) Formalnie nie było to potrzebném, za to bardzo często w rzeczywistości wskazaném, ponieważ lud, jeśli tylko był jednomyślny, mógł z pomyślnym skutkiem stawić opór i pokrzyżować jego plany.

też kapłani [1]). Każdy wyrok śmierci wykonywano w takiéj formie ofiary, przynajmniéj co się tyczy Skandynawii [2]). Śmierć ofiarną zna także prawo fryzyjskie (Lex Fris. add. II). Co do prawa frankońskiego, v. Bar (L. D. Str. R. I, 53, Nota 242) uważa hipotezę identyczności ludzkiéj ofiary i kary śmierci za bezwarunkowo niesłuszną. Przeczy temu jednak postanowienie, zawarte w notatce prawnéj z początku IX w. (L. Cham., c. 38), które każe się domyślać, że Frankowie również niegdyś poświęcali na ofiarę bogom złodziaja-recydywistę (Brunner, I, 176), jakkolwiek egzekucya nie stanowiła bynajmniéj kapłańskiego monopolu: członkowie gminy, którzy złapali na gorącym uczynku lub wygnanego złoczyńcę (*vargr*) mieli prawo zabić go na ofiarę bez udziału kapłana (Brunner, DRG, II, 468). Często nawet pytano bogów, czy poświęcony im zbrodniarza jest dla nich przyjemną ofiarą (Brunner, ib. I, 176; II, 468). Przyjęta przez bogów ofiara ludzka uważana była za świętą, stąd też wszystko, co pochodziło od straconego, było błogosławionem. Palec jego, zakopany pod progiem sprowadzał na dom stałe błogosławieństwo. Kość z uda powieszonego, przytwierdzona do drzwi, zabezpiecza od kradzieży, a w najcięższéj chorobie pomaga picie krwi straconego (Brunner, II, 476). Nie inaczéj było w Rzymie. Wszystkie kary śmierci epoki królewskiéj były aktami ofiary (przestępcę ścina się toporem; topór jednak u Rzymian był narzędziem rzeźnika — okoliczność ta, jak również cała forma tracenia odpowiadała w zupełności zabijaniu zwierząt ofiarnych [3]). Za dowód może posłużyć słowo *supplicium*, które oznaczało jednocześnie ofiarę dla ubłagania bogów (Festus; Paul. Diac. *voc. supplicia*) i karę śmierci (Liv. 2, 5, X, Cic. pro Rosc. Amer., 25); człowieka, który obraził bogów poświęcano im uroczyście na ofiarę, jeżeli nie został przedtem zabity. Z chwilą, kiedy u bogów nastąpił podział pracy, złoczyńcę zawsze poświęcano właściwie obrażonemu bóstwu. Z tą samą konsekwencyą, tych, którzy przekraczają święte normy Tabu, zabija się na cześć bogów, jako własność bóstwa. Dzieje się tak na wyspach Markesas (na świętych *morais*), na Tahiti, w Meksyku, u Irokezów, u Pelauczyków, nawet u Żydów znajdujemy pewne ślady tego zwyczaju (każda krew jest dla człowieka *tabu*; jest ona świętą, nie wolno jéj dotykać, ponieważ należy ona wyłącznie do Boga, zatem człowiek,

---

[1]) Richthofen L. Sax. 186, Note I.

[2]) Łamanie karku np. odbywało się na kamieniu ofiarnym, topienie — w ofiarnem błocie lub wodospadzie; stryczek był również narzędziem ofiarnem (Amira, Zweck, 58—59, według K. Maurera, Bekehrung, II, 195).

[3]) Mommsen, „Todesstrafe“; por. Mommsen Geschichte, I, 175, 176; Staatsrecht, II, 49; v. Bar. S. 6; Brunnenmeister, 168; Leist, 387.

który się jéj dotknie, sam musi być poświęcony bóstwu na ofiarę (Lippert, II, 142).

Geneza pustoszenia i plądrowania domu przestępcy da się również w fazie sakralnéj, sprowadzić do źródeł religijnych. Dom, w którym zbrodniarz, a więc wróg bogów mieszkał, należy zniszczyć jako miejsce nieszczęścia, dzieło jego rąk zniweczyć, bo wszystko, co od bezbożnika pochodzi, wywołuje gniéw bóstwa.

Jeżeli w jakim narodzie panuje zwyczaj peryodycznego składania ofiar, to przestępcy stanowią naturalnie główny materyał (obok jeńców wojennych i t. d.). Tak np. w Dahomeyu, gdzie z roku na rok na cześć umarłych królów (bogów) składa się ofiary ludzkie, używają na ten cel skazanych przestępców, których do dnia ofiary trzyma się w zamknięciu [1]). Podobnież w Atenach i wogóle u Jonijczyków przy święcie Thargalii, poświęcano bogom „dwóch najgorszych ludzi, przestępców i nicponi, którzy nie warci byli życia"; zabijano ich na przeznaczoném na to miejscu, ciała palono, a popiół rzucano w morze [2]).

Cele reakcyi sakralnéj spełniają obok kapłanów osobne, na całéj kuli ziemskiéj rozpowszechnione związki tajemne. Powstają one zawsze wśród ceremoniału religijnego, każdy nowowstępujący członek musi także przejść długotrwałą procedurę nowicyatu (zazwyczaj w lesie), członkowie noszą poświęcane fantastyczne stroje (zwykle skóry zwierzęce, co może pozostawać w związku z totemizmem i animizmem). Związki (afrykańskie: Purra, Sindungo, Egboe, Njembe) mają do spełnienia poważne zadanie utrzymywania porządku w obrębie danéj grupy społecznéj, motywa religijne i polityczne łączą się u nich w jedną całość. Zajmują się nadzorowaniem całego życia społecznego aż do najdrobniejszych szczegółów, spełniają obowiązki policyi, sędziego śledczego, sędziego wyrokującego i kata równocześnie, przyczém szczególną uwagę zwracają na konduitę kobiécą, dzieci i niewolników. Niektóre z tych związków mają pewien typ odrębny, pewną specyalność, która wyznacza im pewien szczególny zakres działania i tak słynny związek Purra zajmuje się głównie godzeniem zwaśnionych ro-

---

[1]) Müller, Dorier, I, 329; Pauly, „Realencyklopädie der class. Alterthumswissenschaft, VI, 2, 1748; Schoemann, Griech. Altberthümer, II, 257; Leist GIRG., 262.

[2]) Po za skazanymi na śmierć za jakąkolwiek zbrodnię, których się traci w takich wypadkach, żaden inny Dahomejczyk nie był nigdy poświęcony. W ostatnich latach i najniższa liczba ofiar ludzkich obejmowała dwudziestu skazańców, których egzekucye rezerwowano na te dni uroczystości (E. Foa, „Le Dahomey").

dów, a nawet szczepów, przez to że kładzie tamę ich wzajemnemu wytępianiu się—środkiem do tego groźba reakcyi Purry przeciw obu narodom (szczepom). Tak wywiéra ona dobroczynny wpływ na całe okręgi, przeszkadzając wybujałemu wykonywaniu zemsty krwawéj.

Egboe na wybrzeżu zachodnio-afrykańskiém znów ma charakter bardziéj handlowy, powstanie swe zawdzięcza wielkim jarmarkom na olej, a celem, który sobie wytknął jest spełnianie czynności policyi targowéj, a równocześnie czuwanie nad wypełnianiem należytém zobowiązań prawno-prywatnych, i utrzymaniem normalnych stosunków kredytowych, niezbędnych wobec stykania się z Europejczykami, że obok tego wciąga związek Egboe w obręb swéj kompetencyi działalność policyi zwyczajnéj, jest tylko naturalnym wypływem dominującego stanowiska i wybitnéj roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. Związek Njembe znów (w południowéj Gwinei) ma na celu ochronę kobiét od zbytu surowego traktowania przez mężczyzn (mężów).

Głęboki wpływ na rozwój reakcyi i prawa karnego wywarły powstające na wyższym stopniu cywilizacyi sądy pokutne (*Sühngerichte*). Pytanie, czy zabójstwo (niezamierzone) podoba się bogom (ὅσιον) i czy sprawca może się oczyścić i zmazać winę, stało się kryminalną kwestyą winy. Sądy te stanowią w historyi prawa karnego niewątpliwie epokę: tylko niewinnego sprawcę dopuszcza się do oczyszczenia i łaski, tym sposobem łamie się zasadę winy obiektywnéj (*objective Schuld*), wprowadzając pierwiastek subiektywizmu. Równie dobrze, jak u Greków, także indyjskie sądy pokutne (sądy Prayaçeitta) nosiły ten sam charakter sakralny. Miały one wprawdzie pewien pozór sądownictwa świeckiego przez to, że właściwie król (rajàn) miał prawo wyznaczać karę, jednak bramini byli tu fachowcami, którzy po części udzielali rad, po części sami bezpośrednio rozstrzygali wątpliwe kwestye (Leist, „Allt Ar. Jus gent.", 349).

Dotychczas zajmowaliśmy się pozapaństwową karą i reakcyą, państwowa zaś jest naturalnym wynikiem pierwotnéj reakcyi ludu; jakkolwiek trzy wymienione wyżéj czynniki w rozmaitych stadyach i warunkach przedstawiają różne połączenia, może jednak przeważać sakralny element pojednania, jak w starożytnych Indyach, gdzie nawet kara śmierci była samopoświęceniem, — albo téż czynnik patryarchalny (królewski), jak w państwie frankońskiém i starożytnéj Polsce, albo wreszcie właściwa *vindicta publica*, która zwycięsko potrafiła się utrzymać w Atenach i u Hebrajczyków w formie kamienowania. Dziś

jeszcze w karze państwowéj widzimy reakcyę społeczną, która w jakiéjkolwiek formie przeniesiona przed wiekami na monarchę, wykonywaną bywa przez jego zastępców-sędziów; na miejscu idei królestwa występuje idea państwa; sprawiedliwość wymierzaną bywa wprawdzie w imieniu władcy, ale jego stanowisko sędziowskie staje się tylko cieniem; ma on tylko zastrzeżone pewne przywileje, jak prawo łaski, umorzenie śledztwa. W każdym razie z socyologicznego punktu widzenia należy uznać, że w tym względzie mamy do czynienia z jednym z owych kół Vica, gdzie się powraca do początku: jakkolwiek formalnie karze się przestępstwa jeszcze w imieniu panującego księcia, jednak tendencya uważania społeczeństwa za punkt wyjścia reakcyi nie ulega najmniejszéj wątpliwości.

Wewnątrz państwa znajdują się stowarzyszenia, które należy za społeczeństwa uważać; te mają téż własne przestępswa i własne kary (reakcyę). Jedną z najpotężniejszych społeczności w krajach europejskiéj kultury jest kościół; posiada on całkowity i skomplikowany system cenzur i kar (por. Loening: *Gesch. d. k. Strafrechts*, München: *Gesch. d. k. Strafrechts*, Katz: *Gesch. d. k. Strafrechts*), które w czasie, gdy państwo udzielało kościołowi *bracchium saeculare* i połączyło ekskomunikę większą z banicyą, stały się państwowemi, późniéj musiały się ograniczyć do swoich, czysto kościelnych stosunków, obecnie zaś z roku na rok ulegają coraz to większéj redukcyi. Także prawo karne innych stowarzyszeń zanika w państwie, nie mając potrzebnego do rozwoju miejsca i powietrza w granicach ustaw państwowych; zachowuje się tylko powszechnie uznane prawo wykluczenia opornych [1]) i pewne kary, który „przestępca" dobrowolnie i chętnie płaci. Najlepszym typem tych kar w stowarzyszeniach są kary klubowe, gdzie np. za każdą godzinę gry w karty ponad oznaczoną godzinę trzeba płacić pieniężną karę. Stowarzyszenie zewnątrz państwa pozbywa się krępujących go więzów odzyskuje swoją samodzielność, kary jego zyskują na sile kolorytu. Na miejsce wygnania wstępuje zemsta społeczna w formie prawa lynchu, powszechnie szkodliwe indywidua

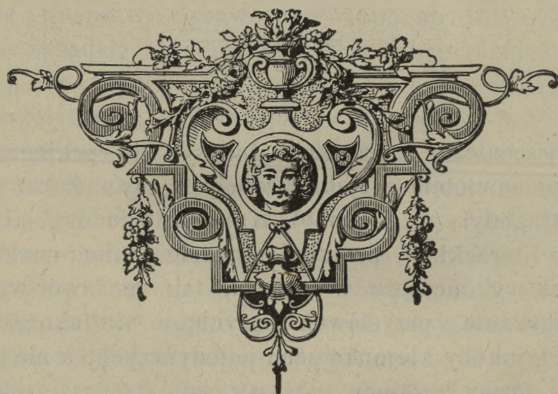
---

[1]) Por. „Wykluczenie z wielkiéj wolnomularskiéj loży uczciwych ludzi" (Schopenhauer, „Grundprobleme der Ethik").

1) Nie należy tego mieszać z prywatno-prawnemi karami z umowy (co czyni np. v. Bar, *I*, 359, twierdząc: „to dyscyplinarne prawo karne podpada jurydycznie w zupełności pod pojęcie umowy), ponieważ mamy tu do czynienia z pewnym rodzajem odszkodowania, tam zaś z reakcyą, którą społeczeństwo łączy z przekroczeniem swoich norm.

muszą zniknąć z powierzchni ziemi. Tak postępują wszędzie poszukiwacze złota w okolicach, gdzie sprawiedliwość państwowa nie istnieje lub jest martwą literą, tak postępuje się dziś tam, gdzie wymiar sprawiedliwości pozostawia wiele do życzenia. Państwo nazywa tę instynktowną reakcyę samowolą i przestępstwem, walczy przeciw niéj, ale dopóki samo nie ma dostatecznéj siły do usunięcia rzeczywistych przyczyn złego: własnéj słabości i niedostatecznego wymiaru sprawiedliwości, dopóty musi ulegać w walce.

Dr. Juliusz Makarewicz.



Balzac i Juliusz Słowacki.

Najbardziéj sceniczny z dramatów Juliusza Słowackiego „Mazepa,” był już przedmiotem niejednokrotnéj oceny. Zaraz po wyjściu z druku téj tragedyi (w r. 1840) Karol Libelt napisał jéj rozbiór w „Tygodniku literackim”, przyznając poecie „talent znakomity”, ale wytykając brak wykończenia w całości, tak że utwór wydał mu się „jakoby zabudowanie z przystawek różnych, a nie jako gmach jednowymianowy (?), jakoby klejonka scen pojedyńczych, a nie jako gładki odlew z jednéj formy.”

Po przedstawieniu „Mazepy” na scenie (w Krakowie 1851, we Lwowie 1861, w Poznaniu 1870, w Warszawie 1873) ukazywały się sprawozdania mniéj lub więcéj szczegółowe, w których zalety i wady estetyczne kompozycyi i charakterów z rozmaitych punktów widzenia były rozpatrywane, ale dosyć pobieżnie. Z ocen gruntownych dwie szczególniéj zasługują na uwagę: Antoniego Małeckiego i Stanisława Tarnowskiego. Małecki w dziele swojém o Słowackim pierwszy wskazał (na podstawie listów poety) psychologiczną przyczynę niejednolitości w układzie tragedyi. Poeta nasz bowiem dwukrotnie zabierał się do obrobienia tematu: raz w r. 1834, a drugi raz w 1839. Pierwsze obrobienie spalił, jak sam pisze w listach, drugie, w którém niewątpliwie przechować się musiały reminiscencye z pierwszego, nienależycie spojone z nowemi pomysłami, oddał do druku. Małecki w rozbiorze

swoim zastanawiał się głównie nad pytaniem, kto jest bohaterem tragedyi („Mazepa”, „Wojewoda”, „Amelia”) a przyszedłszy do przekonania, że ostatecznie „Amelię” uważać należy za taką osobę, w któréj skupia się zasadniczy interes akcyi, zarzucił téj postaci brak prawdziwéj tragiczności. Przyznawał „Mazepie” niepospolite zalety sceniczne, „dla których też dramat ten nazawsze pozostanie równie dla widzów jak dla utalentowanych aktorów pożądaną pozycyą w repertoryach”; zarzucał atoli tragedyi „rażącą niejasność co do zamiaru, dla którego była pisaną”; wydobywszy zaś z pomiędzy różnych możliwych założeń, jakie się nastręczały, „to jedno (przedstawienie „Amelii” jako tragicznéj ofiary), w którém się ostatecznie mieścić zdaje rzeczywista myśl autora”, zawyrokował, że „przeciw niejednemu w téj dążności protestować koniecznie trzeba.”

Tarnowski pisał o „Mazepie” najprzód w rozbiorze dzieła Małeckiego, a następnie w „Kronice Rodzinnéj” 1874 (obecnie przedruk w I-ym tomie „Rozpraw i Sprawozdań” 1895, str. 109—138). Obie te oceny są w zasadzie zupełnie zgodne ze sobą; różnice dotyczą drobnych szczegółów jedynie. Tarnowski z właściwém sobie subtelném poczuciem estetyczném, wykazawszy w pierwszéj połowie rozprawy ujemne strony utworu (naciąganie w układzie, nienaturalność w akcyi, przesada w sytuacyach; figura Wojewody—okropna, a figura króla — chybiona i nieprzyjemna do widzenia), w drugiéj nadzwyczaj ujmująco i prawie zawsze przekonywająco przedstawił zalety (trzy postaci wielkiego uroku: Amelia, Zbigniew, Mazepa; dwa stosunki pełne poezyi i smutku: miłość Zbigniewa i Amelii, przyjaźń tegoż z Mazepą kilka scen bardzo pięknych, choć pięknych może lirycznym raczéj niż, dramatycznym pierwiastkiem; wreszcie niektóre ustępy, które liczyć się mogą do najrzewniejszych, najbardziéj wzruszających Słowackiego wierszy). Z tego zestawienia zawnioskował, że chociaż „Mazepa” jest złym dramatem, to przecież jego piękności są takie, „że czynią zadość za usterki” i że „liczyć się on będzie do znakomitszych dzieł dramatu polskiego, nawet jeżeli ten dramat stanie się bogatszym niż jest dziś”.

Pod względem estetycznym niewieleby tedy już można przydać lub zmienić, i kompozycya bowiem i charaktery i sytuacye rozpatrzone zostały ze stron różnych; chyba tylko jeszcze styl i wiersz zasługiwałby na rozbiór szczegółowszy.

Natomiast sprawa pochodzenia pomysłów nie jest jeszcze wyczerpana. Różni dotychczasowi krytycy napomykali o niéj jedynie, znając tę właściwość talentu Słowackiego, że tam, gdzie chodziło o na-

kréślenie jakiéjś realnéj sytuacyi, ulegał on zazwyczaj wpływowi autorów, w których się rozczytywał.

W r. 1895 p. Kazimierz J. Zimmermann pomieścił w Sprawozdaniu c. k. wyższéj szkoły realnéj we Lwowie sumienne, choć stylowo bardzo słabo napisane „Studyum nad genezą Mazepy, tragedyi Juliusza Słowackiego" (str. 42). Zebrał tu wszystko, co do owéj pory w téj sprawie powiedziano, i dał sam od siebie kilka bardzo ciekawych i bardzo cennych wskazówek, skąd i jakim sposobem brał Słowacki pomysły do swojego utworu.

Pochop do napisania tragedyi dał Słowackiemu niewątpliwie poemat Byrona p. t. „Mazepa" oraz zamieszczony przy nim wyjątek z „Historyi Karola XII" przez Woltera, przedstawiający znaną legendową przygodę późniejszego hetmana. W postaci Mazepy jako pazia, w postaci wojewody dużo jest rysów podobnych u angielskiego i naszego poety, poczynając od samego zaznaczenia stanowiska społecznego. Ale zadaleko idzie p. Zimmermann, gdy opiérając się na tłomaczeniu „Mazepy" Byrona, dokonaném przez Chodźkę, chce upatrywać podobieństwo nie tylko w sytuacyi ale i w słowach:

U Byrona:

Ducha Bożéj rodzicy posłałem w niebiosy,
A na twarz przywoławszy dumy tło zwodnicze,
Spokojnie w Wojewody patrzałem oblicze.

U Słowackiego:

..... Próżno — cierpieć muszę.
Wartoby téż i na śmierć przygotować duszę
I pomodlić się Pannie Najświętszéj przy trumnie —
To potém czoło moje będę nosił dumnie.

W oryginale u Byrona nie ma nacisku na wyłączne nabożeństwo do Matki Boskiéj, gdyż Mazepa modli się do Najświętszej Panny i do jednego czy dwu innych świętych (*and with one prayer to Mary Mother, and, it may be, a saint or two*); nie ma téż mowy o dumie; Mazepa oświadcza tylko, że się z losem swoim pogodził (*as I resign'd me to my fate*).

Słuszne są uwagi p. Zimmermanna o stosunku obu wojewodów, odznaczających się dumą rodową i osobistą oraz zapalczywością: „Rysy te są u obu postaci konieczne, naturalne, a wypływają z podobieństwa sytuacyi, w jakiéj się znaleźli niespodzianie ci dwaj obrażeni, a gwałtowni i w gniewie niewładnący sobą mężowie. Wspomnieć téż nie zawadzi, że taką postać typową dumnego magnata mamy już w Maryi Malczewskiego, znajdujemy ją téż u Korzeniowskiego (Dy-

mitr i Marya), a nawet sam Słowacki kréślił podobne charaktery w Bieleckim i Horsztyńskim. Jest to typ wspólny wielu utworom poezyi, jako zasadniczy rys mający wygórowaną dumę rodową i — co za tém idzie — upór nie dający się ugiąć, choćby głową nałożyć przyszło."

Z tém zasadniczém zastrzeżeniem należy téż pojmować dalsze wywody autora, wskazujące pewne podobieństwa między postaciami „Mazepy" a osobistościami Szekspira w „Otellu" i Wiktora Hugo w „Hernanim."

„Mazepę" do „Otella" zbliża zazdrość męża niesłusznie podejrzewającego żonę i przez to sprowadzającego katastrofę. Niektóre rysy Otella odnajdujemy w Wojewodzie. Bohaterki—Amelia i Desdemona pokrewne są sobie: charaktery to bierne, a mimo to wielkie na czytelnika wywierają wrażenie przez swą niewinność, która nie zdołała się obronić przed zagubą. „Drobne przypadki wystarczają, aby od tych, których kochają tak szczerze, usłyszały słowa potępienia: Desdemona gubi chustkę, która się dostaje zdradą Jaga w ręce Kassya i to stanowi dla Otella dowód winy żony; Amelia zaś zapomina wachlarz, na którym Mazepa słów kilka pisze o swéj obecności, a to jest wystarczającém dla Zbigniewa, ażeby ją o stosunki z paziem posądzić; a przecież ani Desdemona, ani Amelia tu nie zawiniły." W szczegółach, w sytuacyach są także, lubo dalekie podobieństwa. Kilka ich rozpatruje autor, we właściwych granicach znaczenie tychże zamykając.

Z powodu „Hernaniego" mówi autor: „Tąż samą dumą i uporem, tą samą zawziętością w zemście odznaczają się Silva i Wojewoda. Kiedy w akcie III, scenie 7-éj nie chce Silva Don Carlosowi wydać Hernaniego, i na nalegania jego odpowiada dumnie, żeby Carlos zamek zburzył, a ukrytego znajdzie, przypomina żywo Wojewodę w akcie V sc. 6, kiedy goniec przybiega, dopomnieć się w imieniu Jana Kazimierza o wydanie pazia;—wtenczas mówi Wojewoda: Złota wolność szlachecka! Zamku nie dam. Niech król bierze!... U obu znajdujemy tęż samą cześć dla przodków i uszanowanie dla ich portretów. Silva nie chce złamać prawa gościnności i wydać Hernaniego królowi, wskazuje przytém na portrety przodków, których musiałby się wstydzić po takim czynie;—a Wojewoda także odwołuje się do przodków (akt V, sc. 7): Moje antenaty! Cieszcie się — ja ostatni nie bez szlachetności Światowi daję babdank." W ostatniéj scenie Silva, zmusiwszy Hernaniego do wypicia trucizny, widząc, że z miłości do tegoż ginie także Donna Sol, którą Silva kochał, zabija się ze słowami: na wieki-m

potępion; — Wojewoda również umiéra z rozpaczą w sercu; nie przebaczywszy zmarłym, każe się od nich pochować... daleko."

Co do miłości pasierba i macochy wskazywano już dawniéj podobieństwo „Mazepy" i „Don Carlosa", ale nie bardzo wierzono we wpływ Schillera na Słowackiego; miejsc uderzających analogią nie odnaleziono i p. Zimmermann robi jedno tylko zestawienie: oto Don Carlos stara się u Schillera ukryć swą miłość przed Elżbietą i raz tylko—podobnie jak Zbigniew, w tragedyi Słowackiego — zrywa to milczenie, które za święty swój obowiązek poczytywał. Niewłaściwie p. Z. powtarza za Tarnowskim, że taki sam stosunek pasierba i macochy przedstawili Eurypides i Racine; wszakżeż u nich nie ma wzajemności uczucia. Natomiast przypomnienie „Paryzyny" Byrona jest na miejscu.

O wpływie Calderona powiada p. Z. że odbił się on w „Mazepie" tylko ogólnie w zamiłowaniu do zawikłań, w nadaniu wielkiéj roli przypadkowi, we wchodzeniu nie w porę osoby, która szwank jakiś na honorze ponosi, w ukrywaniu się w alkowie. Najwięcéj podobieństwa, lubo dalekiego dostrzega między „Lekarzem swego honoru" a „Mazepą" (Gutierre—Wojewoda; Mencia—Amelia; zazdrość, okrucieństwo). Uwydatnia mianowicie szczegół, że Słowacki musiał czytać „Lekarza swego honoru" w tłomaczeniu polskiém Kamińskiego. U Calderona Gutierre „obmywszy swój honor krwią żony, nie tylko nie ponosi za to kary, lecz owszem za pośrednictwem króla otrzymuje rękę Leonory, którą dawniéj kochał. Kamiński nie przyjął tego zakończenia, które go oburzało; u niego Gutierre skazany za czyn swój okrutny na wygnanie, nie chcąc zniżać się do prośby, przebija się, mówiąc: „Gutierre łaski nie przyjmie nikczemnie" i pada u stóp króla. Podobnie u Słowackiego: „Panie! ukorz się" — prosi Chmara, a Wojewoda odpiéra pogardliwie: „Do błota", poczém przebija się i umiéra wobec króla.

Ciekawym, a przez p. Zimmermanna dopiéro odkrytym i dowiedzionym faktem jest, że do charakterystyki Jana Kazimierza, posługiwał się Słowacki, prócz niektórych rysów wziętych z „Mazepy" Byrona, książką Jerzego Samuela Bandtkiego: „Dzieje polskiego Królestwa," oraz powieścią Aleksandra Bronikowskiego „Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francyi" w przekładzie Adryana Krzyżanowskiego.

Równocześnie z p. Zimmermannem zajął się wskazaniem drobnych źródeł, z których to i owo zaczerpnął Słowacki w „Mazepie", p. Ferdynand Hösick w rozprawie: „Anhelli i Trzy poematy." Mówi tu o dalekich reminiscencyach z „René" Chateaubrianda, „Romeo i Julii",

„Otella", „Króla Leara", „Hamleta" Szekspira, z „Piekła" Dantego, a wreszcie z „Indyany" George Sanda. Przeważna część podobieństw atoli wskazanych tutaj musi być zakwestyonowana, zwłaszcza zaś zestawienie z „Indyaną", gdyż są to rzeczy bardzo dalekie, bardzo ogólnikowe i niepewne.

Nikt natomiast dotychczas nie wspominał o wpływie jednego z największych powieściopisarzów francuskich, o wpływie Honoryusza Balzaca, a przecież jedna scena bardzo ważna i bardzo efektowna w „Mazepie" niewątpliwie tu ma swe źródło.

Czy Słowacki znał osobiście Balzaca, nie wiemy: to pewna, że obaj bawili współcześnie w Genewie r. 1834; trudno przypuścić, ażeby obecność sławnego już wtedy powieściopisarza nad Lemanem, przeszła bez zwrócenia na siebie uwagi, i żeby Słowacki nie zapragnął go widzieć. Jakkolwiek zresztą ma się rzecz z osobistą znajomością obu pisarzów, wątpić nie podobna, że powieści Balzaca czytywać musiał Słowacki, gdyż miały one w Europie całéj rozgłos znaczny, u nas tłomaczono je w dość znacznéj ilości.

Otóż pomiędzy owoczesnemi utworami Balzaca znajdował się jeden p. n. „La grande Bretèche." W zbiorowém wydaniu „Komedyi ludzkiéj" znakomitego powieściopisarza nie ma pod nim położonéj daty, jak pod innemi, a nawiasowe objaśnienie, że jest to koniec, „Autre étude de femme", napisanéj między 1839 a 1842, mogłoby wprowadzić badacza w błąd gruby, jakoby „La grande Bretèche" powstała dopiero po owém „Drugiém studyum nad kobietą." Mam pod ręką dowód stanowczy, iż tak nie jest; „La grande Bretèche" najpóźniéj drukowaną być mogła w r. 1833, gdyż w tymże roku jeszcze wyszła w swobodnym przekładzie polskim p. t. „Tajemnica" w NNr. „Tygodnika Polskiego" (z maja), wychodzącego w Warszawie pod redakcyą Damazego Dzierożyńskiego. Okoliczność ta rozstrzyga stanowczo i nieodwołalnie wszelkie wątpliwości chronologiczne. Słowacki mógł czytać „La grande Bretèche" w r. 1833 czy 1834, w każdym razie przed powzięciem planu do pierwszego zarysu „Mazepy."

Otóż w téj krótkiéj powiastce rozgrywa się dramat straszliwy, który silnie oddziałał na wyobraźnię poety, i sprawił, że kulminacyjną z niego scenę przeniósł do „Mazepy", z pewnemi zmianami, zastosowanemi do ogólnego pomysłu.

Było to za czasów wojny z Hiszpanią. Jeden z jeńców, grand hiszpański, został wysłany do Vendôme, gdzie dawszy słowo, iż o ucieczce nie pomyśli, mógł się obracać swobodnie. Był to młodzieniec piękny, niewielkiego wzrostu, lecz dobrze zbudowany; ręce mia

delikatne i pieszczone, długie czarne włosy, oko pełne ognia. Z brewiarzem w ręku jak ksiądz chodził na msze i na wszelkie nabożeństwa, stawał o dwa kroki od kaplicy pani de Merret, ale oczu z nad książki nie podnosił. Pewnego razu zniknął bez wieści. Pani de Merret zamieszkiwała stary zamek feudalny La grande Bretèche, miała męża nadzwyczaj gwałtownego i okrutnego. Pokój zajmowany przez nią znajdował się na dole; przy nim był mały gabinecik (*un petit cabinet de quatre pieds de profondeur environ*) służący jéj za szatnię. Na trzy miesiące przedtém pani de Merret poważnie zasłabła, tak że mąż przeniósł się do pokoju na pierwszém piętrze. Przypadkiem (*par un de ces hasard impossibles à prévoir*) pewnego wieczoru wrócił pan de Merret o dwie godziny późniéj niż zazwyczaj z klubu, w którym czytywał dzienniki i rozprawiał o polityce. Żona jego myślała, że on już oddawna śpi w swoim pokoju. Tymczasem panu de Merret przyszła chętka zajść do żony, która przy obiedzie była bardzo ładnie ubrana. W chwili gdy obracał klucz do pokoju żony, zdało mu się, że posłyszał zamykanie drzwi od gabineciku, ale gdy wszedł, znalazł żonę samą stojącą przed kominkiem. Pomyślał sobie, że to może pokojówka Rozalia weszła do gabinetu, ale jakieś podejrzenie niewyraźne, lecz dotkliwe uczyniło go nieufnym; spojrzał na żonę i dojrzał w jéj oczach pomieszanie, w głosie pewne podrażnienie. W tém weszła Rozalia; jakby piorun weń uderzył. Pani de Merret, widząc ponurą twarz męża, odprawiła służącą. Wtedy mąż stanął przed nią i rzekł zimno: „Pani! jest ktoś w jéj gabinecie!” Ona spojrzała na męża z miną spokojną i odpowiedziała z prostotą: „Nie, panie.” To n i e oburzyło pana de Merret; nie wierzył, a jednak nigdy mu żona się nie wydała ani czystszą ani skrupulatniejszą niż w téj chwili. Podszedł ku gabinetowi, by go otworzyć; pani de Merret wzięła go za rękę, wstrzymała, spojrzała nań wzrokiem melancholijnym i rzekła mu głosem wzruszonym nadzwyczajnie: „Jeśli nie znajdziesz nikogo, to wszystko między nami będzie skończone.” Niesłychana godność w postawie żony powróciła panu de Merret głęboki dla niéj szacunek i natchnęła go jednem z tych postanowień, którym brakuje tylko większéj widowni, by się stały nieśmiertelnemi. „Nie — odrzekł—Józefino, nie pójdę. W jednym i w drugim wypadku, bylibyśmy rozłączeni nazawsze. Słuchaj, znam całą czystość twéj duszy i wiem, że wiedziesz życie święte, nie zechciałabyś popełnić grzechu śmiertelnego nawet kosztem życia.” Na te słowa pani de Merret spojrzała na męża wzrokiem obłąkanym.—„Patrz, oto krucyfiks twój—dodał ten człowiek. Przysięgnij mi wobec Boga, że tam nie ma nikogo; uwierzę ci i nigdy drzwi tych

nie otworzę." Pani de Merret wzięła krucyfiks i rzekła: „Przysięgam." — „Głośniéj—rzecze mąż—powtórz: Przysięgam wobec Boga, że nie ma nikogo w tym gabinecie." Ona powtórzyła wyrazy bez żadnego zmieszania. „To dobrze — powiedział zimno pan de Merret i zapytał żonę, skąd wzięła krucyfiks. Odpowiedziała, że kupiła go u jubilera; kłamała, był to bowiem podarunek granda hiszpańskiego. Pan de Merret zawołał Rozalii i kazał sprowadzić jéj narzeczonego, mularza, ze wszystkiemi potrzebnemi materyałami i narzędziami, reszcie służby surowo polecił udać się na spoczynek. Zanim mularz zabrał się do zamurowania gabinetu, pan de Merret obiecał mu zapewnienie dostatecznego utrzymania z warunkiem, że nazawsze opuści te okolice i nikomu nie powie, co robił téj nocy. Pomimo czujności pana de Merret, żona jego potrafiła się porozumiéć z Rozalią, by mularz pozostawił szparę u dołu. Mularz na znak, że polecenie zrozumiał, stłukł szybę we drzwiach gabinetu (gdy pan de Merret był odwrócony), a wówczas na chwilę pani de Merret, Rozalia i mularz ujrzeli twarz męską ponurą i ciemną, włosy czarne, wzrok ognisty... Po ukończeniu roboty, pan de Merret położył się w pokoju żony, a mularza oddał pod straż zaufanemu kamerdynerowi. Nazajutrz wstawszy, powiedział obojętnie, że pójdzie do mera niby po paszport, ale przytém zabrał krucyfiks. Gdy po wyjściu męża, pani de Merret wraz z Rozalią zabrały się do wyjmowania cegieł, raptem stanął po za nimi pan de Merret; żona zemdlała. „Połóż panią do łóżka" — rzekł chłodno. Wtém nadszedł jubiler, po którego był posłał. Ten na zapytanie pana de Merret oznajmił, że krucyfiksów od Hiszpanów przechodzących nie kupował. „Dziękuję panu — rzekł mąż wymieniając z żoną spojrzenie tygrysie a do kamerdynera powiedział: jedzenie dla mnie zostawiać będziesz w pokoju pani; jest ona chora i nie opuszczę jéj, aż wyzdrowieje. Okrutny szlachcic przez dni dwadzieścia pilnował żony. W pierwszych chwilach, gdy dawał się słyszéć jaki szelest w gabinecie zamurowanym i gdy Józefina chciała go błagać za umierającym, odpowiedział jéj, nie dopuszczając do słowa: „Przysięgłaś na krzyż, że tam nie ma nikogo." Potém się rozłączyli; poumierali niebawem jedno po drugiem.

Taka jest w streszczeniu główna osnowa powiastki Balzaca. Kto zna wielką scenę 4-tą aktu III-go „Mazepy", łatwo zauważy nie dające się zaprzeczyć podobieństwo z katastrofą tu odmalowaną. Od słów Wojewody: „Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka" aż do jego nakazu: „A wy, co tam byliście tego muru blizcy, milczcie!" wszystkie zasadnicze momenta: przysięga na krucyfiks, zamurowanie, szelest człowieka"—są te same w La grande Bretèche" i w „Mazepie." Że

zatém pomysł do efektownéj sceny zamurowania wziął Słowacki z Balzaca, to najmniejszéj wątpliwości nlegać już nie może. Podobieństwo wskazywane dawniéj, czy to z „Lekarza swego honoru" czy z „Indyany" o ukrywaniu się w alkowie, tracą zupełnie swą wartość, gdy mamy analogie o wiele bliższe, o wiele dosadniejsze.

Lecz analogie tylko, nie tożsamość. Wziąwszy zasadnicze momenta z Balzaca, obrobił je Słowacki po swojemu, zgodnie z nadanemi swoim osobom właściwościami i z osnową całości. Bo ani Wojewoda ani Amelia, ani Mazepa nie są podobni z usposobienia i z istoty swego charakteru do państwa de Merret i granda hiszpańskiego.

Wojewoda i pan de Merret są wprawdzie okrutnikami, ale odmiennego całkiem temperamentu. Gdy pan de Merret jest okrutnym na chłodno, Wojewoda jest gwałtownikiem niezważającym na żadne względy. Bohater francuski chce uniknąć wszelkiego rozgłosu, więc też jaknajmniejszą możliwie ilość wtajemnicza w sprawę, która się nie powinna przedostać w świat; zachowuje ostrożności jaknajwiększe, by ten jego zamiar mógł przyjść do skutku. Przeciwnie Wojewoda, nie pohamowany w rozjątrzeniu, działa jawnie w obliczu służby, jakby pragnął, ażeby hańba jego (mniemana) rozeszła się po całéj Polsce. Pan de Merret, jako człowiek „dobrze wychowany", nie mówi w całéj scenie ani jednego ubliżającego słowa swéj żonie; Wojewoda przeciwnie jako pasyonat, słuchający jedynie poszeptów namiętności, używa wyrazów grubych, trywialnych, wstrętnych dla napiętnowania żony, chociaż nawet jeszcze nie miał rzeczywistych dowodów jéj winy. Pan de Merret spokojnie i chłodno (przynajmniéj na pozór) dąży do wykrycia prawdy i urzeczywistnienia swego zamiaru; Wojewoda miota się jak szalony, byleby słowem i czynem nasycić nieugaszoną żądzę zemsty; czujny jest pod jednym tylko względem—poszukiwania wszelkich poszlak, jego hańbę urojoną stwierdzających.

Pani de Merret i Amelia różnią się od siebie zasadniczo: pierwsza jest występna, druga—całkiem niewinna. Zachowanie się też obu podczas straszliwéj sceny jest odmienne. W samym tylko jéj początku istnieje podobieństwo, jak pani de Merret, tak i Amelia nie dopuszcza poszukiwania w alkowie, mówiąc: „Stój wasze! Pierwéj w tych piersiach srogie utopcie pałasze, Nim dotkniecie firanek." Ale gdy pani de Merret okazuje się w dalszym ciągu niczém niezachwianą, lubo wié napewno, że zamurowany zostanie człowiek żywy, Amelia łagodna i tkliwa z natury, przytém przeświadczona, iż w jéj sypialni nie ma nikogo, chcąc dowieść swéj niewinności nie tyle wobec męża, ile wobec Zbigniewa, tłumi w sobie poczucie dumy i sama prosi pasierba, by firanki odsunął, dodając: „ja wiem, że twój ojciec nie wié, Co ja cierpię;

lecz niech się przekona oczyma; — oczy są jego sercem, on innego nie ma." Pani de Merret zachowuje się podczas całéj sceny przytomnie, kłamie i przysięga z pogodném czołem, z miną niewiniątka; ma dość przebiegłości, by pomimo czujnego nadzoru, porozumiewać się z Rozalią i mularzem, jest obłudną do szpiku; Amelia, choć czuje się całkowicie niewinną, chwieje się, ledwie nie omdlewa, zniża się do prośby i błagania („Litości, panie! niechaj twa zaciętość zmięknie; ja bardzo cierpię!"). Pani de Merret umiéra śmiercią naturalną, przyśpieszoną srogiemi katuszami moralnemi, kiedy przez dni dwadzieścia pod czujném okiem męża nie mogła opuścić sypialni tuż obok zamurowanego i zwolna zamierającego kochanka; Amelia sama dobrowolnie bierze truciznę, nie mogąc wytrzymać nacisku hańbiących podejrzeń i śmierci Zbigniewa.

I człowiek zamurowany przedstawia się nam inaczéj wobec autorów. Granda hiszpańskiego znamy tylko z opisu; na chwilę przy zamurowywaniu ukazuje się nam twarz jego ponura i ciemna, włosy czarne, wzrok ognisty. Był on rzeczywiście kochankiem pani de Merret. Mazepa chciał wprawdzie być kochankiem Amelii, ale nim nie był ani na chwilę, a w scenie straszliwéj już nawet z powodu przyjaźni zawartéj ze Zbigniewem, już wszelką myśl płochą porzucił i pragnął ostrzedz jedynie Amelię przed grożącém jéj ze strony króla niebezpieczeństwem. Balzac nie usiłował nawet ubocznie malować katuszy zamurowanego; w obranéj bowiem formie opowiadania, analiza taka byłaby wprost niewłaściwą. Słowacki włożył w usta Wojewody (zapewne niezbyt właściwie pożyczając mu swojéj wyobraźni) fantazyjny (a przedwczesny) obraz zamurowywanego, gdy mówi wskazując alkowę:

Tam leży tajemnica, tam żeńskiéj obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca --tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara:
Tam letargnik żyjący swego ciała strawą
Ze szklanemi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą
Gryzący ręce.

Prócz tego, ponieważ Słowacki nie myślał Mazepy zostawić zamurowanym, jak Balzac granda hiszpańskiego, więc dał nam w scenie 5 aktu IV opowiadanie o wrażeniach i uczuciach, jakich doznawał paź królewski zamknięty w alkowie.

Poeta nasz skomplikował sytuacyę, wprowadzając do niéj Zbigniewa, który z początku z całém przekonaniem broni niewinności macochy, a potem posłyszawszy szelest w alkowie i znalazłszy wachlarz, na którym Mazepa kilka słów napisał, broni jéj już z rozpaczy, lubo Amelią pogardzać musi.

Czy tak przetworzona scena robi większe wrażenie niż jéj pierwowzór u Balzaca? Gdyby wrażenie zależało tylko od pięknych słów, brylantowego stylu, żywéj, iskrzącéj się wyobraźni; to należałoby przyznać wyższość Słowackiemu. Ale tak nie jest; wrażenie zależy od ogółu wszystkich czynników, wchodzących w skład jakiegoś faktu, a więc od uczuć, pobudek, sposobu zachowania się i wyrazów, jakiemi się ludzie w danéj sytuacyi posługują. W téj mierze Balzac lepiéj obrachował swoje efekta. U niego sytuacya sprawia nie tyle okropne, ale głęboko tragiczne wrażenie. Bo u niego scena zamurowania przedstawiona została nie jako pomysł teatralny, który następnie ma być sprostowany, lecz jako rzeczywisty i niemal konieczny wynik charakterów i zawikłania, w jakie one popadły; tu odmurowania, jak w „Mazepie" być nie może. Pani de Merret jest winną i ponosi karę sroższą niewątpliwie niż śmierć natychmiastowa, karę tkwiącą w świadomości wciąż odnawianéj powolnego konania kochanka; w owym zamurowanym gabinecie rzeczywiście zamknięte zostało udręczenie straszliwe dla „żeńskiéj obłudy." Pan de Merret, małomówny, pozornie spokojny, zdobywający dowód po dowodzie, że żona zawiniła zdradą, kłamstwem, obłudą, jest zapewne strasznym, ale nie wstrętnym, jak Wojewoda, siejący zniszczenie wśród niewinnych i jakby przechwalający się swą rzekomą hańbą. Milczenie zamurowywanego granda wymowniejszém jest od czułostkowych nieco słów Mazepy. Niewinność Amelii i Zbigniewa sprawia, że cierpimy, że się oburzamy na niesprawiedliwość losu i zaślepienie ludzi; kara za winę pani de Merret, chociaż okrutna, wywołuje wrażenie tragiczne, przejmując grozą, ale jednocześnie czyniąc zadość poczuciu sprawiedliwości, przekonywając, że fałsz i obłuda nie odnoszą tryumfu. Balzacowi wierzymy, że sprawa odbyła się rzeczywiście we wszystkich szczegółach tak, jak on nam ją przedstawia; co do Słowackiego wyrazić musimy tu i owdzie niejakie wątpliwości, czy wszystko to, co mówią jego osoby, było przez nie powiedziane, i czy ich zachowanie się istotnie było takiém w przebiegu całéj sceny, jak on ją odmalował. Balzac obserwował pilnie zjawiska rzeczywiste w życiu ludzkiém; i starał się wiernie a dosadnie przenosić do swoich obrazów powieściowych; Słowacki żył więcéj w świecie wyobraźni, a zstępując na grunt realny sądził, że mu wolno na nim tak swobodnie, nawet dowolnie postępować, jak w dziedzinie rojeń fantazyjnych.

P. Chmielowski.

Cudzoziemcy o nas

I O NASZYCH SPÓŁBRATYMCACH.

„Russes et Slaves“—par Louis Leger. Hachete. Paris, 1896.

Przed trzydziestu przeszło laty jeden z Francuzów, o bystrzejszym od swych spółziomków wzroku, rozpoczął studya nad Słowiańszczyzną i szeregiem artykułów rozmaitéj treści starał się poznajomić rodaków z tajemniczemi dla nich krajami i ludami. Przedsięwzięcie wydawało się wielu nazbyt śmiałém i autor wyznaje, że spotykał się daleko częściéj z zarzutami niż z zachętą. Wierzymy temu bez trudności. Dla najbliższych spadkobierców oświaty helleńsko łacińskiéj, świat cywilizowany kończył się u granic ich państw; na wschód, za Renem, za Alpami rozpoczynały się barbarzyńskie strony, tém dziksze i groźniejsze, im daléj od Alp i Renu. Nikogo nie obchodziły dzieje ludzi i krain, o których *vox populi* głosił, że są napoły pokryte lasem, pełnym niedźwiedzi, napoły otwarte pustym, bezbrzeżnym stepem, a co gorsza, śniegiem przez półroczną zimę zawiane. Z baśni, rozsiewanych przez rzadkich po Słowiańszczyźnie podróżników, którzy dla zapewnienia poczytności swym powierzchownym relacyom, przesadzali i czernili wszystko, co im nie szło w smak, wybiło się zaledwie na widownię kilka imion; kilku ludzi swą wartością narzuciło się Zachodo-

wi, nakazało dla siebie uszanowanie; po zatém, ucywilizowany Zachód, z wyjątkiem bardzo nielicznych erudytów lub dyplomatów, nic nie wiedział, o niczém pojęcia nie miał.

Nie dziw przeto, że zamiar studyowania téj „dziczy" wydawał się większości zadaniem bardzo niewdzięczném, ale młody uczony nie zraził się i przed kilku laty powtórzył dobitnie, że wypadki przyznały mu słuszność, „iż żadne plemię w Europie nie zasługuje na badania poważniejsze od słowiańskiego, bo żadne nie dało od pół wieku większych dowodów żywotności i uzdolnienia cywilizacyjnego.

W jaki sposób, raczéj według jakiego planu zamiar swój autor przeprowadził, objaśnią nam jego własne słowa, napisane w przedmowie do drugiéj seryi tych studyów, które zasłużona firma Hachette w roku zeszłym puściła w obieg, pod nadanym im w pierwszéj tytułem „*Russes et Slaves. Etudes politiques et litteraires. Par Louis Leger, Professeur au Collège de France*" (Paris, Hachette et C., 1896).

„Usiłowałem wyświetlić ustępy, dzieła, pomniki, osobistości, z życia politycznego lub literackiego Czech, Bułgaryi, Kroacyi, Polski, Rosyi, Serbii. Starałem się utrzymać równowagę między temi ludami niejednakiéj wagi, bo wszystkie mają prawo do naszéj sympatyi, bo ich interesa, pod różnemi nazwami jednoczyły się często z naszemi, bo wszystkie — zwycięskie czy zwyciężone, sławne czy nieznane — stawały w obronie chrześciaństwa i cywilizacyi... Obok tryumfującéj Rosyi umieściłem Polskę, któréj historya jeszcze nie skończona, a literatura bezwątpienia jedną z najsławniejszych w Europie; — Czechy, które, walcząc z Germanami, walczą w naszéj zarazem sprawie; — Słowian bałkańskich, długo pomijanych przez dyplomacyę europejską, które prędzéj, niż się spodziéwamy, rozstrzygną kwestyę wschodnią."

Wierny swemu założeniu, wybrał w tomie, o którym mowa, rzeczywiście takie postaci i dzieła, które swe społeczeństwo lub chwilę dziejową najlepiéj przedstawiają. Trzy pierwsze artykuły poświęcone są Rosyi, *qui sollicite surtout la curiosité du public intelligent* i któréj się z tego powodu dostała „lwia część". Mają swe miejsce Serbowie, Czechy, Bulgarzy i o nas nie zapomniano. Trzy artykuły omawiają: 1) Sprawę założenia katedry literatur słowiańskich w Paryżu, 2) „Pana Tadeusza", 3) Żywot Niemcewicza.

Opowiadanie o założeniu wyż wymienionéj katedry potwierdza to, co się rzekło u wstępu niniejszego: że Francya, a więc naturalnie Włochy, Hiszpania z Portugalią, Anglia, nie mówiąc o drobnych państewkach nic nie wiedziały o bożym świecie słowiańskim. I wątpić wolno azaliby pomyślano w r. 1840 o piśmiennictwie słowiańskiém,

gdyby skoligacony z Mickiewiczowstwem publicysta Leon Faucher [1]) nie zagaił sprawy. Renan, opowiadał prof. Leger, jakoby ten projekt nie znalazł wielkiéj łaski u Ludwika Filipa, ale ks. Orleańska, „któréj Goethe niegdyś opowiadał o geniuszu poetyckim Mickiewicza”, miała przełamać skrupuły jego. Minister oświaty, Cousin, poparł téż ze swéj strony kandydata i przedstawił wniosek izbie deputowanych. Dokument, wyłuszczający powody otwarcia nowéj katedry, podpisany przez Salwandy'ego, czytany przez ministra oświaty, „był taką tkaniną błędów, że już tém samém dowodził potrzeby studyów o Słowiańszczyźnie, wykazywał bowiem panującą o niéj nieświadomość w sferach najbardziéj urzędowych. Autor raportu nagromadził najgrubsze błędy.” „Błędów tych nikt nie spostrzegł ani w izbie deputowanych, ani w izbie parów”, zakwestyonowano tylko samą sprawę, a niejaki pan Auguis uwiecznił się niewiadomością, z jaką wystąpił gwałtownie przeciw propozycyi ministra.

„Język słowiański—twierdził ten poczciwiec—nie jest właściwie językiem literackim. Co to jest język literacki? (pyta daléj). Taki, który w swych różnych narzeczach posiada pomniki godne bliższego zbadania. Niech mi zatém wolno będzie spytać izby, jakie są pomniki literackie w języku słowiańskim? Pomniki literackie piśmienne Polski, Rosyi, Litwy, Węgier (*sic*), Dalmacyi, Styryi, Kroacyi?—U Słowian wszystko, co nosi cechę oryginalności, jest tłómaczeniem dzieł francuskich lub niemieckich...” I nowy ten Herostrat przychodzi do konkluzyi, „że się nie zgadza z godnością narodową powierzać poecie cudzoziemskiemu katedrę w zakładzie francuskim.”

W zgromadzeniu, będącém kwiatem swego kraju, „nie znalazł się nikt, ktoby naukowo mógł odeprzéć zarzuty” pana Auguis. Deputowany Denis bronił propozycyi ze szlachetnych pobudek, mianowicie: że obowiązkiem jest Francyi *de faire comparaître devant elle toutes les grandes littératures* — i być zawsze propagatorką oświaty”, ale w argumentacyi faktami nie był szczęśliwszym od swego przeciwnika: „zacytował pieśni podrobione i runy, które nigdy nie istniały. W izbie parów dopiéro de Gerando odezwał się ze znajomością rzeczy i wniosek Cousin'a został przyjęty, „ale w rzeczywistości tak obrońcy, jak napastnicy, nie mieli jasnego pojęcia ani o zakresie naukowym nowego przedmiotu, ani o usługach, jakie tenże mógł oddać.”

---

[1]) Ożenił się z kuzynką p. Adamowej

Uposażenie nowéj katedry „miało wielki rozgłos w Europie”, a wybór profesora liczne wywołał komentarze. Pomijam je, by się zatrzymać dłużéj nad sądem prof. Leger o swym wielkim, bądź co bądź, poprzedniku, który, podaję go jego własnemi słowy, w skróceniu. Z początku Mickiewicz usiłował zachować względem wszystkich Słowian, przyobiecaną p. Cousin, bezstronność naukową. Wykład jego nosił przeważnie cechę syntetyczną. Prowadził równolegle przegląd dziejów literatury rozmaitych narodów: Polaków, Morawców, Czechów, Serbów, Rosyan. To je brał jako solidarne z sobą, to znów starał się zaznaczyć ich indywidualność, lecz było mu trudno nie uledz napiérającym nań wpływom, oprzéć się oddziaływaniu otoczenia, w jakiém żył, wychowania, jakie odebrał. Trudno mu było pozostać bezstronnym względem Rosyi, a nawet względem innych narodów sąd jego nie był bez uprzedzeń.

Żarliwy katolik nie pojmował ruchu husyckiego, który przecież jest jedną z najcharakterystyczniejszych stron życia moralnego i literackiego Czech. Właściwością wykładu historycznego jest metoda, a Mickiewicz pozostawał i tu poetą *et il se trouve singulièrement depaysé.* Od młodości jedną z cech jego geniuszu był nieprzeparty pociąg do mistycyzmu, nienasycone pragnienie cudowności. Mistycyzm, cudowność, mogą być przedziwnym żywiołem poetyckim, lecz są negacyą krytyki i nauki.

Wykłady Mickiewicza stenografowane, przejrzane przez niego i wydane, tworzą pięć tomów *in 8-vo,* a w nich zaledwie jedna trzecia poświęcona historyi lub literaturze słowiańskiéj: poeta zajmuje się rozprawami politycznemi, filozoficznemi, religijnemi, nawet marzeniami, które się nam teraz wydają bardzo dziwne. Były one jednak właściwe psychicznemu, a raczéj psycho-patologicznemu usposobieniu jego. Głęboko dotknięty nieszczęściem, szukał pociechy w dziełach mistyków... stąd niektóre z jego natchnień poetycznych graniczą z halucynacyą... Spotkawszy niejakiego teozofa, nazwiskiem Towiański, wziął go za posłańca niebios i odtąd stał się powolném narzędziem w ręku téj dziwnéj osobistości... pod jéj wpływem zaprzestał myśléć samodzielnie... Literatura słowiańska całkiem niemal pominięta w wykładach z r. 1843 i 1844... Lekcye przybiérają coraz więcéj charakter apokaliptyczny... Lekcye tak dziwne... zwróciły uwagę rządu i izb... W roku 1844-ym Mickiewicz został uwolniony, zachowując dwie trzecie pensyi.”

Tu trzeba wspomniéć, że profesor jest urzędnikiem nieusuwalnym, ale poeta nasz wskutek cudzoziemskiego swego pochodzenia nie

miał prawa, we Francyi, do tytułu profesora; mianowano go w oficyalnéj mowie *chargé de cours*, a sam wykład, w ogłoszeniu *Cours provisoire* — nazwa ta utrzymała się podczas krótkiego zastępstwa Francuza Cypryana Robert'a, który jak niespodziewanie zajął miejsce w Kolegium francuskiém, tak również niespodziewanie je porzucił. (Pewnego pięknego poranku, nie rzekłszy nikomu słowa, znikł z horyzontu i nikt dotąd nie wié, co się z nim stało. „Zniknięcie jego mało zwróciło uwagi. Słuchaczów miał nielicznych, przyjaciele byli przyzwyczajeni do jego dziwactw, a imię nie używało popularności." Zdaje się, że umarł w Ameryce).

Po Cypryanie Robercie dostała się, jak wiadomo, katedra Aleksandrowi Chodźce, zawsze pod jednaką nominacyą. Prof. Leger z szacunkiem i życzliwością o nim się odzywa zawsze. Tu znajdujemy następujące zdanie: „Al. Chodźko, urodzony w początku bieżącego stulecia, odbył gruntowne studya w Wilnie i Petersburgu. Będąc konsulem rosyjskim przez czas długi w Persyi, zwrócił na siebie uwagę znakomitemi pracami nad mową, literaturą i historyą muzułmańskiego wschodu. W młodości zaś swojéj wydał poezye, pozwalające rokować najpiękniejsze nadzieje... Poetą nie został, lecz stał się niepospolitym językoznawcą, i w tym charakterze zastąpił Mickiewicza w Collège de France. Z katedry swojéj nie zrobił, śladem poprzednika, trójnoga Sybilli, lecz poprzestał na wykładach, z bardzo wykształconym literackim smakiem i rozległą erudycyą, o licznych arcydziełach piśmiennictw: serbskiego, czeskiego, rosyjskiego lub polskiego. Ci, którzy, podobnie jak ja, uczęszczali na jego prelekcye, zachowali bardzo żywo w pamięci jego zajmujący sposób uczenia (dosłownie: *enseignement aimable*), w którém *le poète du temps jadis se retrouvait encore sous le philologue.* Można było czasem nie podzielać zdania profesora, lecz niepodobieństwem było nie uczcić jego skrupulatnéj bezstronności, obszernego oczytania, rozległych wiadomości... i najmilszéj uprzejmości (*l'exquise cordialité*), z jaką przyjmował ucznia... wydał w r. 1864 *Contes des paysans et des pâtres slaves*, o których Michelet mawiał, że są „bosko przetłómaczone" (*c'est divinement traduit*), w roku 1876 „Pieśni historyczne ukraińskie," — w r. 1869 „Gramatyka staro-słowiańska dostąpiła zaszczytu, że ją wydano w drukarni narodowéj."

„Pana Tadeusza" nic podobnego nie spotkało, nikt go nie czyta, bo „Francuzi nie mają czasu uczyć się języka polskiego, którego się nie używa ani w dyplomacyi, ani w handlu. Nawet w dobie największéj sympatyi dla rycerskiego tego i nieszczęśliwego narodu nie mo-

gliśmy się nigdy pokusić o przekroczenie granic gramatyki lub słownika,—„to też Polacy muszą sami tłómaczyć swoich wieszczów, głosić ich sławę... Ah! gdyby Mickiewicz pisał po rosyjsku, rzecz byłaby inna. Przed wielu laty... zaznaczyłem zwrot sympatyi francuskich, które wyszły na korzyść literatury rosyjskiéj. Od r. 1877 kierunek ten się wzmógł... Leon Tołstoj zwłaszcza wzniecił prawdziwą gorączkę. Dano nam zrazu jego przedniejsze dzieła, następnie drugorzędne potém drobniejsze próby—w końcu pozbiérano drzazgi i śmiecie z jego pracowni. Choćbym się miał okazać zacofanym, lub „reakcyonerem”, spróbuję popłynąć przeciw prądowi, przeciwstawić upodobaniu (*engouement* dosłownie), które przejdzie, zamiłowanie racyonalne tworów, które nie przeminie.

Tak więc, pomimo zarzutów, jakie tu i owdzie robi autor poematowi, stawia go jednak w rzędzie tych dzieł nieśmiertelnych, przed któremi po wieki ludzkość schyla czoło. Jak je autor pojmuje i ocenia, własne jego słowa (w skróceniu) najlepiéj nas objaśnią.

„Dwojakiém było źródło, z którego Mickiewicz czerpał natchnienie do „Pana Tadeusza”, jedném—to epopea napoleońska (któréj młodzieńczy poeta był świadkiem to zachwyconym, to przerażonym); drugiém—tęsknota za krajem... I możnaby go nazwać poematem tęsknoty, nostalgii...

„Opiéwając swój kraj, opiewał zarazem anarchiczne obyczaje, drogie swym przodkom. Gdyby był w usposobieniu rozpaczliwém lub mistycznėm, byłby to temat dziwnie żałosny i tragiczny;

....fuimus Troes et ingens
Gloria Dardanidum.

Lecz był w wesołym humorze; ojczyznę widział przez cudowny pryzmat młodości, wolał śmiać się niż płakać i z ostatniego zajazdu na Litwie stworzył epopeę bohatérsko-żartobliwą; „Iliadę” tragi-komiczną, która przywodzi na pamięć to poematy Homerowskie, to „Don Kiszota”, to znów „Pulpit” lub „Pieniaczy”.

Rozpoczynając swoje epos miał poeta w pamięci Hermana i Dorotę, ale bohatérowie Göthego nigdy się nie śmieją. Są olimpijsko-spokojni, jak ich twórca, gdy przeciwnie bohatérowie Mickiewicza są weseli, a epizody żartobliwe lub komiczne tryskały z pod jego pióra z taką łatwością, jak opowieści tragiczne w innych jego utworach. Ustępy takie zapełniają większą część poematu i może za przeważną w nim odgrywają rolę. Mickiewicz sam chętnie przyznawał, że

poemat jego nie miał podniosłego charakteru: „Powinienem był—mawiał—podwyższyć go o pół tonu. Ale już za późno.”

Po opowiedzeniu treści „Pana Tadeusza” swym rodakom, p. L. ocenia go: „Tadeusz i Zosia grają taką rolę, jak Leander i Izabela w „Pieniaczach”: są mili, wdzięczni, sympatyczni, ale trochę bledzi... Dwie pieśni ostatnie są epilogiem, lecz epilogiem mistrzowskim. Treść poematu w gruncie błaha, mogłaby też być osnową pierwszéj lepszéj powieści, ale Mickiewicz rzucił nań szereg ustępów dydaktycznych, lirycznych, opisowych, które stanowią najświetniejszą i najtrwalszą część utworu: np. spory bez końca rejenta z asesorem o zalety kusego i sokoła; polowanie na niedźwiedzia, polowanie na zająca, w których się przewijają kolejno sceny to zabawne, to wspaniałe. Cała pieśń czwarta z opisem borów litewskich cudowna. Polowanie na niedźwiedzia, w którém Robak ocala życie synowi i hrabiemu, to iście epiczny ustęp, wreszcie *le morceau de bravoure*, to gra wojskiego na rogu. Jedna z pieśni prawie cała poświęcona grzybobraniu, i chyba nigdy nie opisano bedłek równie iskrzącym się rymem. Mickiewicz nie gardzi najpospolitszemi zdarzeniami: np. Telimeny pokąsanéj przez mrówki. Obrazy karczmy żydowskiéj oraz zaścianku, są wykonane po mistrzowsku, z upodobaniem i z olśniewającém bogactwem kolorytu... Lecz zanotujmy raz na zawsze, iż pomimo całéj wesołości „Pana Tadeusza”, nie przestaje w nim krążyć szereg smutnych myśli, którym poeta obronić się nie może.

Społeczeństwo odmalowane przez Mickiewicza—to społeczeństwo znane mu z lat dziecinnych z Litwy: szlachta hałaśliwa, rozmiłowana w kieliszku i łowach, w szumnobrzmiących tytułach, z których nie jeden wymagałby długiego komentarza. Przesiąkłe tradycyą lokalną i parafiańszczyzną, najśmielszy z nich był raz w Warszawie. Tym typom prowincyonalnym przeciwstawi typy kosmopolityczne: hrabiego i Telimeny. Krystyn Ostrowski twierdził, że charakter hrabiego jest urojonym. Nie zgadza się na to p. Chmielowski „w swém pięknem dziele o Adamie Mickiewiczu” — ja też podzielam jego zdanie. Od XVIII w. Rosya i Polska wytwarzały na wyścigi takie okazy szlachty kosmopolitycznéj i wytwarzają je dotąd. Nikt jednak nie śmiałby twierdzić, że prototyp Telimeny nie istniał. Biografowie Mickiewicza posuwają się nawet daléj w swych przypuszczeniach i dają nam do zrozumienia, że poeta ją znał osobiście i karykaturując jéj wizerunek pozwolił sobie na spóźnioną nieco zemstę.

Za rzeczywistego bohatéra uważa autor Robaka: uosobienie błędów i żalów szlachty polskiéj z XVIII-go wieku, a broni poematu od

zarzutu, że nie zawiéra zajmującego głębszego charakteru kobiéty. Cóżby tu robiła poważna postać niewieścia — pyta. Miałażby godzić swary, zapobiegać pantagrulicznym biesiadom i nierozsądnym wybrykom? W takim razie poemat upada, „albowiem utrzymuje się dzięki żywiołom szału i nieprawdopodobieństwa, jakie zawiéra" (*tel qu'il est il ne se tient que grâce aux éléments de folie et d'invraisemblance qu'il renferme*).

Kończy zaś p. Leger tą uwagą, że poemat zyskał na tém, gdy Mickiewicz stracił z oczu wzór, który miał u wstępu, to jest Hermana i Dorotę. Idąc za własném natchnieniem, posługując się tylko wspomnieniami młodości, stworzył poemat, który acz nie da się podciągnąć pod rubrykę klasyfikacyi oficyalnéj, jest przecież bezwątpienia arcydziełem przynoszącém chlubę XIX stulecia."

Trzeci artykuł, nas tyczący się— to życiorys Niemcewicza, „które go prochy spoczywają we Francyi i któremu się od niéj należy wspomnienie przynajmniéj." Autor przeważnie się zajmuje jego publiczną działalnością, przedstawiając go jako typ jednego z zacnych obywateli, nie pomija przecież jego pisarskiego zawodu i przetłómaczył bardzo udatnie jeden z jego śpiewów historycznych: dumę o hetmanie Żółkiewskim.

Zdajemy najobszerniéj sprawę z tego, co nas bezpośrednio obchodzi, już to mając w pamięci radę jednego z historyków-myślicieli, że potrzeba koniecznie wiedzieć, jak nas sądzą obcokrajowcy, bo wymiana poglądów tylko rozszerzyć może nasz horyzont umysłowy — już to dlatego, że zajęcie się ogółu osobistościami, które mu chlubę przyniosły, nigdy nie gaśnie, że każde słowo o nich, dobre czy złe, znajduje oddźwięk w jego sercu. Nie chcemy jednak pominąć milczeniem tego, co prof. Leger mówi o naszych pobratymcach.

Sam on wyznaje, że Rosyi dostała się w jego dziele „lwia część". W tomie studyów, wydanych w roku bieżącym, znajduje się najpierw artykuł o jéj „Rozwoju umysłowym". Jest to treściwe bardzo, lecz jasne przedstawienie tego, czém była Rosya i jakie przechodziła zmiany, zanim Piotr W. i Katarzyna wprowadzili ją na widownię polityczną europejską. W dziele, mającém na celu spopularyzowanie pewnego przedmiotu, takie artykuły są nieocenione. Przeciętny czytelnik, któremu brak czasu lub chęci do samodzielnych, głębokich badań, dowiaduje się z łatwością w ten sposób wielu nowych, zajmujących, ważnych lub na dobie będących kwestyi.

Von Wizin swemi scenicznemi utworami, z których dwa przed-

niejsze „Brygadyer” i „Niedorośl”, autor streszcza—maluje społeczeństwo rosyjskie w XVIII-ym wieku, zaś „Pierwsze lata Katarzyny II”, to opowiadanie o jéj latach najmłodszych, skończone u progu dziejów, które coraz większego nabiérają znaczenia. Tu, śród innych, posługiwał się autor pracą [1]) naszego ziomka, p. Kazimierza Waliszewskiego, któremu oddaje wielkie pochwały za bezstronność poglądu i poważne a obszerne studya.

Niezmiernie zajmujące szczegóły z pierwszéj części dziennika Zacharyasza Stojanowa, zgasłego w r. 1889-ym w Paryżu, opowiadając początki walki Bulgaryi z Turcyą, malują jednocześnie stan społeczny i polityczny téj krainy. Biéda, nędza, ucisk, ciemnota: typy proste, nieraz oryginalne i dziwaczne, jak do komedyi, nieraz bohatérskie i tragiczne, jak gdyby je starożytna Roma wychowała. Duchowieństwo, w swoim rodzaju, szczególne. Ks. Cyryl, mnich pewnego klasztoru, z krzyżem w jednéj, a pistoletem w drugiéj ręce—jak ten, który przed kilkuset laty nabijał strzelbę i liczył różaniec — kapelan wojskowy w oryginalny sposób katechizował swe owieczki. Jakiegoś wieśniaka, który przybył do konfesyonału, spytał: „Ilu Turków chcesz zabić? Ileś sporządził ładunków? Jeśli mniéj niż 300-tu, nie możesz przystąpić do komunii.” Penitent tłómaczy, że się nie spodziéwał takich pytań. „A ja w taki sposób spowiadam” — odparł ks. Cyryl.

Stojanow, który w swém życiu najrozmaitszych próbował zawodów, pastucha, krawca, nauczyciela wiejskiego, był raz dyakiem. Wezwano księdza do choréj kobiéty; ten przez pośpiech czy roztargnienie zamiast rytuałowéj książki, chwyta „Zasady arytmetyki” (traf bowiem chciał czy zwyczaj, że wszystkie jednako oprawiano) i obaj śpieszą do umierającéj. Niefortunna zamiana odkrywa się dopiéro na miejscu. Co począć, pyta zakłopotany Stojanow. — Nie frasuj się, uspokaja go kapłan, odpowiadaj tylko „chwała ci Panie” lub „Panie, zmiłuj się”, a wszystko pójdzie dobrze.

Rozbita drużyna chroni się w góry; nawpół dziki pastuch daje im schronienie w swym szałasie i opowiada swe dzieje, które, dając się streścić w kilkunastu słowach, malują najlepiéj losy poddanych chrześciańskich na półwyspie Bałkańskim. Otrzymał biédak basto-

---

[1]) „Une monographie très sérieuse, très agréablement écrite, richement documentée et fort impartiale... M. Waliszewski est avant tout, historien et son livre est, malgré un titre un peu mondain, une oeuvre de haute et sérieuse histoire“, p. 73.

nadę przeszło dwadzieścia pięć razy. Pięć razy wprowadzano go na rusztowanie, a piętnaście razy odarto go z jego nędznego mienia!

Studya nad Słowiańszczyzną kończą się wspomnieniem o kilkakrotnym pobycie w Czechach i o widocznym a szybkim rozwoju téj dzielnéj ludności. Autor z nietajoną sympatyą kreśli obraz trudności, jakie Czesi zwalczać musieli i z których wyszli zwycięsko. Mówiąc o tém, co jest dziś, cofa się do lat dawniejszych, do Żyżki i Husa, by w porównaniu z przeszłością, lepiéj się uwydatniły owoce trudów spółczesnych, świadczących „o żywotności energii i bezustannie pomnażaném bogactwie narodu czeskiego.” Gmachy takie, jak teatr i muzeum sztuk pięknych, Rudolfinum zwane, dają świetne świadectwo „rozwojowi umysłowemu i moralnemu”. Znaną jest powszechnie dramatyczna historya tego teatru, który, na dokończeniu będąc, spłonął 11 sierpnia 1881 roku przez nieostrożność robotnika i został bezwłocznie odbudowanym w obszerniejszych rozmiarach, urządzony wspanialéj, ozdobiony malowidłami Liebschera, Hynaisa, Zeniska, Brożika. Z powodu teatru, wspomina autor o orkiestrze i muzyce czeskiéj. „Wstyd—powiada—dla Ateńczyków, czy Beotów paryskich, że dotąd nie znają „Sprzedanéj narzeczonéj” Smetany. Miejmy przynajmniéj nadzieję, że na wystawie 1900 r. Czesi ukażą nam swe muzykalne bogactwa i sprawią, że Francuzi dopełnią swego artystycznego wykształcenia.”

Zaznaczywszy w zajmujący sposób wszystkie ich cywilizacyjne zdobycze, zamyka autor swe wspomnienia temi słowy: „Czesi-słowianie mają prawo być dumnymi ze swych pokojowych tryumfów, a ich przyjaciele witają z całą życzliwością ich moralne zwycięstwo i życzą im najusilniéj, aby zajęli przynależne miejsce w radzie Austro-węgierskiego państwa, którego nie powinni byli utracić i którego już nikt im się nie ośmieli zaprzeczyć.”

Z przytoczonego sprawozdania sam czytelnik osądzić zdoła, że autor zachował obiecaną w przedmowie równą miarę dla wszystkich. Jakiekolwiek są jego sympatye osobiste, nic ich tu nie wykazuje; nie pozwoliły one sprzeniewierzyć się poważnemu zadaniu historyka i literata. O wszystkich, o których mówi, zachowuje niepodległość sądu, z jednaką bezstronnością wytyka wszystkim błędy, podnosi zalety. Można czasem nie zgodzić się z autorem, ale nie można zaprzeczyć mu szczerości i dobréj wiary. Równie jak nie zboczył od założenia, nie skrzywił planu. Osoby i utwory przezeń wybrane noszą wybitne piętno indywidualności i pomagają cudzoziemcom do zoryentowania się w obcym dla nich świecie. Naturalnie, że studya, które obecnie omawiamy, nie dają wszechstronnego obrazu, ale że są częścią obszer-

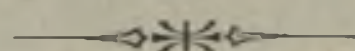
niejszéj całości, nie zaś całością samą, nie mamy prawa wymagać od nich do dna wyczerpanego przedmiotu, a zaznaczyć potrzeba, że są napisane w sposób żywy, jasny, zajmujący, z sumiennością i znajomością rzeczy i mogą oddać prawdziwą przysługę nietylko cudzoziemcom, nieświadomym spraw słowiańskich, lecz i samym·że Słowianom, o których jakieś Sacher Masochy, Francosy et Com. plotą „duby smalone”... na wstyd obu stronom: i téj, którą czernią, i téj, która naiwnie tym czernidłom wierzy.

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.



NOWE KSIĄŻKI

dla dzieci i młodzieży.



Cecylia Niewiadomska. „A. B. C. poglądowe. Nauka czytania i pisania ułożona według najnowszych zasad wychowawczych, z 345 rysunkami J. Holewińskiego, z dodaniem powiastek i wierszyków najcelniejszych autorów.” (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 116 wielkiéj 8-ki).

Po „Słówku do uczących”, w którém autorka objaśniła metodę, jakiéj się trzymać należy przy nauce czytania, następują tablice przedstawiające rozmaite przedmioty; przyczém dołączone są pytania celem wydobycia z dziecka odpowiedzi o tych przedmiotach i wprawienia go w rozpoznawanie ilości, kształtów i kierunków główniejszych. Daléj mamy tablicę z najprostszemi rysunkami dla wyćwiczenia ręki dziecka w trzymaniu pióra lub ołówka oraz w robieniu krések. Tablica V-ta podaje litery pisane i ich połączenia, kończące się wyrazem: *szczaw*. To bezwarunkowo zawcześnie i niezgodnie ze wskazówkami zawartemi w przedmowie, Tam bowiem kazano zapoznać dziecko ze wszystkiemi samogłoskami, zarówno drukowanemi jak pisanemi, a dopiéro potém, przystąpić do połączeń samogłosek ze spółgłoskami i robić stopniowo, zaczynając od połączeń najłatwiejszych. Wobec téj zasady jakże można było umieszczać tablicę, w któréj jest już i *sz*, *rz* i *szcz*?... Dalsze tablice są już ułożone według zasad wyrażonych w „Słówku do

uczących"; zrobić wszakże musimy uwagę, że nie wszędzie przestrzegano ścisłéj metodyczności. I tak zawcześnie, zaszybko zjawia się połączenie *dwu* spółgłosek z *jedną* samogłoską *lak*, *lek*, *kol*, *kul*ka, *lal*ka, *kil*ka i t. p. Zawcześnie i bez odpowiedniego przygotowania podano wyrazy, w których *i* jest tylko znakiem zmiękczenia, nie zaś samogłoską np. kob*i*etę, buk*i*ety, *bie*, *biu*, *bio* na str. 15. Wogóle nie usystematyzowała autorka nauki o spółgłoskach zmiękczonych, wprzód zapoznawszy z takiemi połączeniami, jak *bie*, *wie*, *nie*, *sie* i t. p. zanim na str. 28 zestawiła spółgłoski na końcu wyrazów ze znakiem zmiękczenia piszące się (*ń*, *ć*, *ś*, *ź*). Niepotrzebnie téż na str. 10 autorka podała połączenie *ky*, które wyjątkowo się u nas w wyrazach pospolitych zdarza (*ky*rie, a k*y*sz), gdyż wogóle pisownia nasza przyjmuje tylko połączenie *ki*. Pragnęlibyśmy, ażeby w przyszłém wydaniu te usterki metodyczne usunięto; bo zalety książki, jako to umiejętny dobór wyrazów takich, żeby tworzyły zdanie, staranne rysunki (za czarno tylko odbite), ustawiczne łączenie pisma i druku czynią ją pożyteczną, lubo dostępną jedynie dla zamożniejszych osób. Przeważną część książki wypełniają opowiadania i opisy wierszem i prozą, wybrane i ustopniowane rozważnie. Wiele z nich opracowała p. N. sama, niektóre wzięła z pism Konopnickiéj, St. Jachowicza, Chęcińskiego, Anczyca, Z. Morawskiéj, Weryho, Chrząszczewskiéj, Jadwigi Warnka, Or-ota. Znajduje się tu kikanaście zagadek.

„Zbiorek powiastek, opowiadań, wierszyków i ćwiczeń dla dzieci od lat 7 do 9" ułożyły *S. Sempołowska* i *J. Unszlichtówna*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 205).

Jak powiedziały same autorki, książka ta ma być pierwszą „czytanką" po elementarzu i starczyć na rok jeden. Układ jéj dokonany został według zasady „koncentracyi" t. j. starano się tu skupić około nauki języka „cały zasób wiadomości, jaki dziecku należy dać w pierwszym roku systematycznego nauczania, prócz nauki rachunków." Autorki radzą, by każdą powiastkę dokładnie z dziećmi opracowywano, tak że przeciętnie jednéj poświęcić należy dwie lekcye. Rozpoczyna się to dziełko od zdań prostych (Chłopczyk biega. Dziewczynka czyta i t. p.). Z przeczytanych zdań dziecko ma wypisać wyrazy oznaczające osobę lub rzecz, o któréj zdaniu mówimy. Autorki ostrzegają, aby na razie nie używać terminu technicznego — podmiot. Podobnie postępować trzeba przy wybieraniu orzeczeń, dopełnień, określeń i t. d. Zasadnicze pojęcia o składni w sposób indukcyjny wytworzą się przez szereg takich ćwiczeń. Potém przechodzi do pojęcia o częściach mowy, o deklinacyi i konjugacyi. Oprócz wia-

domości z zakresu gramatyki, nabywają dzieci przy czytaniu umieszczonych w książce ustępów, wiedzy przyrodniczéj i historycznéj, oraz kształcą się pod względem moralnym: gdyż każda niemal powiastka może stanowić punkt wyjścia pod jednym z tych względów lub nawet pod dwoma z nich. Wreszcie z czytaniem połączone są dyktanda i wypracowania piśmienne. Powiastki i opisy, jak niemniéj wiersze dobierały autorki starannie; wszelako nie uniknęły usterek językowych i stylowych; niektóre z nich są nawet dość rażące.

Teresa Jadwiga. „Nowe opowiadania ciotki Ludmiły.” Z 10 ilustracyami M. Kotarbińskiego. (Petersburg, K. Grendyszyński, 1897, str. 250.

Zasłużona w dziedzinie literatury pedagogicznéj p. Teresa Jadwiga Papi, która w roku zeszłym ukończyła 25 lat pracy piśmienniczéj, ogłosiła przed kilku laty pierwszą seryę „Opowiadań ciotki Ludmiły,” gdzie w formie pogadanek przedstawiła dzieje Polski za Piastów i Jagiellonów; obecnie mamy dalszy ciąg i dokończenie téj pracy, mieszczące w sobie główniejsze wypadki z doby królów obieralnych. Opisawszy tryb życia właściciela wsi Górki, różniącéj się znacznie od innych ją otaczających, wskazawszy przyjazny stosunek między dworem a chatami wieśniaczemi, autorka wkłada w usta p. Jadwigi opowiadanie o czasach Stefana Batorego, Zygmunta III, Jana Kazimierza, Sobieskiego, Leszczyńskiego, Augusta II i III, wspomina wreszcie króciutko o tém, jak się bawiono za Stanisława Poniatowskiego. Wybierała naturalnie autorka takie wypadki i takie rysy charakterów, które wybitnością swoją mogły się wrazić w pamięć prostych, mało jeszcze rozwiniętych słuchaczów, by stać się dla nich wzorem lub przestrogą. Wobec trudności, jakie miała do pokonania, nie można wielkiego kłaść nacisku na to lub owo uchybienie w opracowaniu; częstokroć nie od autorki zależało ich uniknięcie. Natomiast należy się szczera pochwała za uwzględnienie rysów cywilizacyjnych, interesujących lub ważnych, za szczere umiłowanie przedmiotu i wszczepianie tego umiłowania w czytelników.

Wł. L. Anczyc. „Księga sławniejszych odkryć geograficznych podług najnowszych źródeł zebrana.” Wydanie czwarte. Przejrzał i uzupełnił Władysław Umiński. Z licznemi rycinami w tekscie. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1897, str. 433, V).

Ukazanie się téj książki w czwartém wydaniu przemawia za jéj wartością; a że ją układał Anczyc, tak dobrze umiejący wniknąć w potrzeby umysłu młodocianego i odpowiedniéj dla niego użyć mowy,

nie ma więc potrzeby mówić dużo o zaletach wykonania. Dodać tylko należy, iż w wydaniu obecném, p. Władysław Umiński, który własnemi pracami dowiódł, że zaciekawić potrafi młodzież swojém opowiadaniem, porobił znaczne uzupełnienia, zwłaszcza w dziale wypraw do bieguna północnego. Nawet najnowsze sprawozdanie z podróży Nansena zostało w dodatku uwzględnioném. Mapki, dodane w końcu książki, będą nader pożądaném dla uważniejszego czytelnika, zobrazowaniem szczegółów zawartych w tekście; wskazują bowiem drogi, jakiemi znakomitsi odkrywcy i podróżnicy kroczyli, by zbadać mało znane lub zgoła nieznane okolice świata. Pragnąłbym, ażeby p. Umiński zwrócił na to uwagę, iż u nas przestawianie zaimka który poza rzeczownik jest uprawnioném tylko w pewnych ściśle określonych wypadkach, że np. w zdaniu: „uganiano się za niedźwiedziami, mięso których dostarczało doskonałego pożywienia", przestawienie to jest nieprawidłowe. Wartoby także, ażeby pamiętał, iż powtarzanie tego samego wyrazu w tém samém zdaniu lub w najbliższém nie może się nazywać ozdobą stylu.

Or-ot (*Artur-Oppman*). „Powinszowania wierszem i prozą do użytku dzieci i młodzieży oraz toasty i wiersze okolicznościowe dla osób dorosłych. (Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897, str. 138).

Za dużo wydawcy obiecali w przedmowie, powiadając, że pragnęli „położyć kres dotychczasowéj tandecie" w sprawie książek z powinszowaniami; po takiéj bowiem zapowiedzi spodziewać się można było, iż w ich podręczniku znajdą się istotnie same wyborowe wiersze. Tymczasem spotyka nieraz czytelnika zawód, bo tak samo jak w dawniejszych tego rodzaju wydawnictwach, obok rzeczy dobrych, są mierne, są nawet i liche. Chociaż Or-ot jest niewątpliwie poetą, to wszakże pisząc taką masę powinszowań, nudził się widocznie jednostajnością tematu i drzémał sobie dosyć często, zarówno kiedy chodziło o treść, jak i wówczas, gdy z wysłowieniem i rymem się porał. Zapominał też czasami, że przypominam i przypominam sobie (str. 41) są to czasowniki o odmienném znaczeniu, że formy: posiwieli wy, my zebrali się i t. p. nie są po literacku poprawnemi.

„Trzy małe kotki." (Warszawa, G. Centnerszwer, 1896).

Jest to maleńka książeczka dla maleńkich dzieci; ryciny zabawne, przedstawiające kotki-dzieci, co przez roztrzepanie pogubiły mitenki, zabrane przez kruka-handlarza, więcéj tu są warte od tekstu dość słabo rozwiniętego i nie wyzyskującego należycie wszystkich motywów,

jakie w ilustracyach zostały zaznaczone. Można z téj książeczki czytać przygody kotków dzieciom; można też dać ją i samym dzieciom do czytania. *P. R.*

Zofia Bukowiecka. „Historya o Antku Rolniku.” (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 375).

Treść powieści jest krótka i prosta: syn zamożnych obywateli wiejskich, Antek Grujski, wróciwszy na wakacye do rodzinnego domu, dowiaduje się o ruinie swych rodziców i o sprzedaży ukochanego majątku, Szymanowice. Antek nie może pogadzić się z myślą, że na zawsze opuszcza wieś i pracę na roli, układa zatém wraz z siostrą, Zosią, plan, polegający na tém, aby po ukończeniu nauk kupić choćby najmniejszy kawałek ziemi i uprawiać zagon ojczysty, na równi z wieśniakami. Po paroletnim pobycie za granicą, Antek urzeczywistnia swe zamiary, kupuje trzy włóki pod Ostrowcem i zaczyna z siostrą nowe życie, ciche, spokojne, pracowite, pełne uroku, niepozbawione wszakże cierni, zwłaszcza dla Zosi, wychowanéj w innych warunkach. Przeświadczenie jednak o dobrém spełnianiu obowiązków obywateli kraju i życzliwość otaczających, zapewniają Antkowi i Zosi zupełne szczęście.

Obok postaci dwojga głównych bohaterów, na dalszych planach spotykamy inne, niemniéj sympatyczne, jako to: rodziców, zacnego stryja Piotra, Henryka i Marylki, Ireny, któréj tajemnicze pochodzenie dodaje wiele zajęcia powieści. Z opowiadaniem łączą się opisy obchodu świąt i uroczystości na wsi, legendy i pieśni miejscowe, w czasie zaś wędrówki Antka i Zosi po Sandomierskiém, zaznajamiamy się z zabytkami przeszłości, ludem i przyrodą téj części kraju. Ze względu na wszystkie te zalety, myśl przewodnią zdrową i świéżą, powieść tę zaliczyć należy do najlepszych, jakie w tym roku wyszły dla młodzieży. *J. A.*

Władysław Umiński. „Od Warszawy do Ojcowa.” (Petersburg, nakład Grendyszyńskiego, str. 257).

W końcu czerwca czterech gimnazistów opuszcza potajemnie Warszawę i swych rodziców, aby odbyć po kraju wielką podróż w „celach naukowych.” Dowódca wyprawy, Konrad Ilski, ukrywając przed swymi towarzyszami jéj cel, zaczyna zwiedzanie kraju od Wilanowa, skąd prowadzi gromadkę swą do Czerska, Kazimierza, Janowca, gór Św. Krzyzkich i Chęcin. Młodzi podróżnicy doznają wszędzie niezwykłych, lecz niezawsze miłych przygód, z których wszakże cało wychodzą, dzięki jakiéjś niewidzialnéj opiece. Po parotygodniowéj podróży,

chłopcy zostają okradzeni przez cyganów; w tém smutném położeniu znowuż jakiś dobroczyńca przychodzi im z pomocą, kładąc w lesie na drodze pudełko z pieniędzmi. W końcu wyprawa udaje się do Ojcowa, gdzie spotyka ją niezbyt miła niespodzianka w postaci ojców. Teraz dopiéro okazuje się, że p. Ilski i Dębski śledzili swych synów już od Kazimierza, pomagając im w chwilach krytycznych; wybaczają oni chłopcom awanturniczą wycieczkę, ze względu na szlachetną myśl, z jaką ona przedsięwziętą została i zwiedziwszy piękności Ojcowa, uwożą ich do domów.

Powieść żywo napisana, zajmie niezawodnie każdego młodego czytelnika, który nie tylko znajdzie w niéj wiele ciekawych wiadomości tak z geografii, jak i z nauk przyrodzonych, lecz zapozna się z osobliwościami, zabytkami, ludem i przyrodą swego kraju. *J. A.*

Walery Przyborowski. „Na Oceanie Spokojnym." (Petersburg, księgarnia Grendyszyńskiego, str. 296).

Bohatérem powieści jest Patryk Dunmore, Irlandczyk. W chwili opowiadania znajduje się on w opłakaném położeniu, gdyż wyrzucono go z dzierżawy za niezapłacenie czynszu; nie mając ochoty do pracy, szuka śmierci. Gdy wszakże chce się już rzucić z wysokiéj wieży, znajduje na niéj skrzynkę, zawierającą przepis co do sposobu wytwarzania złota z ołowiu i staje się przez to posiadaczem bogactw nieprzebranych. Biédny i uciskany dawniéj dzierżawca zamyśla teraz pomścić się na Anglii za niedolę swych rodaków; zakupuje przeto pancernik „Odwet" i wydaje wojnę Anglii, zapowiadając, że niszczyć będzie okręty. Wszystkie wysiłki rządu w celu złamania potęgi przeciwnika są daremne. W końcu jednak „Odwet" tonie, z powodu niedbalstwa załogi, która na tratwie chroni się w zaroślach przed pogonią. Pod wpływem nieszczęścia łagodnieje mściwy charakter Patryka, który zakłada na wyspie Oceanu Spokojnego Nową Irlandyę, aby tam dać schronienie i pracę biednym i uciśnionym Irlandczykom.

Całą zaletą powieści „Na Oceanie Spokojnym" jest żywe i zajmujące opowiadanie, gdyż naukowych wiadomości czytelnik nie znajdzie w niéj zupełnie a nieprawdopodobieństwo pomysłu, niemal dziecinne pojęcia bohatéra o możności walki z Anglią, nie mogą być uważane za rzecz pedagogicznie dobrą; końcowy zaś morał wydaje się przyczepionym raczéj dowolnie, niż koniecznym wynikiem treści.

J. A.

Walery Przyborowski. „Madejowe łoże." Opowiadanie historyczne z wieku XI. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa str. 255).

Na tle zaburzeń i walk, jakie zapanowały w Polsce po śmierci Mieczysława Gnuśnego, autor rozsnuwa znaną legendę o rozbójniku Madeju. Do chaty zbója przybywa chciwy władzy Masław, który, pragnąc zawładnąć tronem polskim, prosi Madeja o pomoc. Wspólnemi siłami napadają oni na Płock, gdzie wówczas przebywał archidyakon Janko, oddawna już myślący o schwytaniu Madeja, dla którego w lochach zamkowych przygotował straszne męki. Masław wszakże zdobywa Płock i na wymyślném w tortury łożu ginie zamiast Madeja sam archidyakon. Na tém legenda się urywa; autor w dalszym ciągu opisuje najazd Czechów na Polskę, oblężenie i zdobycie Gniezna, rabunek grobu św. Wojciecha, w końcu powrót królewicza Kazimierza na tron Polski i śmierć Masława. W epilogu zaś wraca do legendy o Madeju. Następca archidyakona Janka, a niegdyś towarzysz słynnego rozbójnika, jadąc puszczą spotyka pod drzewem klęczącego starca. W tym pokutniku poznaje Madeja, który wyspowiadawszy się ze swych krwawych czynów i otrzymawszy rozgrzeszenie, umiéra.

Powieść napisana jest językiem ładnym, czyta się ją z zajęciem. Niektóre wszakże sceny naprzykład strzelanie Staszka do ludzi archidyakona i śmierć Janka, sprawiają niemiłe wrażenie; wogóle za dużo tu scen krwawych, wymyślań i t. p. *J. A.*

Cecylia Niewiadomska. „Powiastki króciutkie.” (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 144).

W kilkudziesięciu powiastkach opowiedziane mamy zdarzenia przeważnie z życia dziecięcego wzięte, a malujące zalety i wady te ich małego światka; a więc: uczynność i dobroć serca („Dobra Andzia”, „Brat i siostra”, „Podwieczorek”); niezgodność („Kłótniki,” „Niegodne rodzeństwo”); nieposłuszeństwo i jego skutki („Nie wyglądaj oknem”, „Nieszczęście”). W niektórych powiastkach autorka dowcipnie i żywo maluje nam zwyczaje zwierząt (Śpioch, Zajączek, Azor i Misia); inne w końcu są tylko zręcznemi anegdotkami, jak np. „Pytanie Irenki”, wszystkie zaś mogą się podobać i zająć dzieci od lat sześciu, gdyż są one wiernem odbiciem ich zalet i małych przewinień. Rażą tylko tu i owdzie niezbyt estetyczne opisy, jak np. roztrzaskanych członków dziecka, które wypadło z okna na bruk. *J. A.*

Marya Weryho. „W zimie.” Książeczka dla małych dzieci. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 235).

W pierwszéj części książeczki mamy opisane obyczaje niektórych ptaków i sposoby, jakiemi zabezpieczają się one od głodu i zimna. Na żądanie sowy, chcącéj udzielić ptakom jakiéjś mądréj rady

na zimę, zabiérają po kolei głos: kuropatwa, sroka, dzięcioł, sójka, wrona, wróbel, cietrzew i głuszec. Opowiadanie przerywa jastrząb', tłómacząc ptakom, że sowa, pod pozorem życzliwości, chciała dowiedziéć się o ich zwyczajach, aby tém łatwiéj mogła na nie polować.

Z powiastek, znajdujących się w drugiéj części książeczki, w „Szaruściu" autorka maluje przywiązanie pieska do swego dobrego pana, w „Nieszczęściu Wojtka" złe skutki, jakie pociąga za sobą nieposłuszeństwo, w „Małym żebraku" przedstawiona jest miłość tatka dla matki. Jedną z najpiękniejszych powiastek w tym zbiorku jest „Mróz", gdzie opowiedziano, jak wszechładnie panujący mróz ustąpić musiał przed ożywczemi promieniami słońca.

Książka stanowić może miłą i pożyteczną rozrywkę dla dzieci od lat sześciu. Napisana jest językiem dość czystym i barwnym. *J. A.*

Marya Weryho. „Opowiadania prawdziwe." (Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego, str. 153).

Zbiorek ten składa się z szesnastu powiastek, malujących już to zwyczaje niektórych zwierząt, (Tchórz, Zające, Pająki, O szczupaku drapieżniku) już rozmaite wady, właściwe ludziom, lecz uosobione w postaci zwierząt, już to przywiązanie wnuka do dziadka (Pajac). Do najładniejszych zaliczyć należy: „Wesele biedronki", w któréj autorka opowiada, jak cicha i łagodna biedronka, zaprosiła swych krewnych i przyjaciół na wesele córki, urządzając przyjęcie na wierzchu purchawki, oraz „Nic nie ginie" gdzie przewodnią myślą jest, że róża więdnąc nie zamiéra nazawsze, lecz wraz z nadejściem wiosny zakwita, gdyż nic w naturze nie ginie.

Żywość opowiadania i barwny język cechują ten nowy utwór utalentowanéj autorki. *J. A.*

F. Morzycka. „Wielki charakter, czyli życie Beniamina Franklina." (Warszawa, nakładem księgarni A. Rzążewskiéj, st. 74).

W sposób przystępny i jasny autorka rozwija przed czytelnikiem całe życie Beniamina Franklina, począwszy od jego dzieciństwa, aż do śmierci. Franklin przedstawiony jest nietylko jako człowiek, lecz i jako uczony, działacz społeczny i polityczny, narówni ze swym przyjacielem, Waszyngtonem, twórca Stanów Zjednoczonych i prawodawca.

Wyjątki z dzieł Franklina przyczyniają się nie mało do ożywienia opowiadania, napisanego stylem trochę ciężkim. *J. A.*

Juliusz Verne. „Cudowna wyspa.” Przekład M. D. Z szesnastoma ilustracyami. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 389).

Czterech francuskich muzyków udaje się do San-Diego, sądząc, że tam łatwiéj zdobędą sobie środki do życia. Wskutek złamania koła u bryczki znajdują się nagle sami, w nocy, w nieznanéj okolicy. W tém opłakaném położeniu przychodzi im z pomocą Kalikstus Mumbar, zabierając artystów do siebie. Na drugi dzień podróżni dowiadują się, że są na Standard-Island, wyspie, zbudowanéj ze stalowych sześcianów. Wyspa ta jest miejscem zamieszkania samych miliarderów, z których dwaj najbogatsi, właściciele dwóch portów, żyją w ciągłéj niezgodzie, walcząc o wpływy w mieście. Niezgoda ta oraz żądza władzy staje się powodem zguby Standard-Island'u i jéj mieszkańców, gdyż dwaj bogacze, zakupiwszy całą wyspę, wydają wprost przeciwne rozkazy, co do kierunku, w jakim ona ma płynąć. Oczywiście podstawa stalowa wyspy rozrywa się, jeden port ulega zniszczeniu, załoga zaś jego chroni się na drugim, który szczęśliwie dopływa do Nowéj Zelandyi. Obie wrogie sobie rodziny godzą się, następuje ślub młodego Tankerdona z miss Caverley, poczém wszyscy odjeżdżają do Chicago.

Powieść ta, jak i wszystkie Verne'a, przykuwa uwagę czytelnika żywo zajmującą treścią, obok któréj czytelnik znajdzie opisy wielu wysp na Oceanie Spokojnym, ich ludności, przyrody i fauny. Tłomaczenie niezbyt poprawne. *J. A.*

Eugeniusz Müller. „Młodość sławnych ludzi.” Przekład Jana Chęcińskiego. (Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 311).

W formie opowiadania ujęte są wiadomości z życia, głównie zaś z wieku młodzieńczego, sławnych ludzi najrozmaitszych epok, stanów i narodowości. A więc mamy tu szczegóły z działalności wielkich wojowników, poetów, muzyków, malarzy, uczonych, dwóch wielkich papieży, małych bohatérów i bohatérek. W galeryi wielkości nie brak nawet sławnego francuskiego kucharza Antoniego Carême.

Książka ta, czytana uważnie przez starszą młodzież, przyniesie wiele korzyści, bawiąc i ucząc zarazem. Opowiadanie prowadzone jest żywo, przekład bardzo dobry. *J. A.*

Jadwiga Chrząszczewska. „Dar.” Powieści dla młodzieży opracowane według Alfonsa Daudeta. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 226).

Książka ta składa się z sześciu powiastek, z których jedna opowiada nieszczęście młodéj kózki, żądnéj swobody i wesela, lecz na

samym wstępie do samodzielnego życia, ginącéj pod pazurami wilka („Kózka ojca Bartłomieja"); inna przedstawia smutny obraz zniszczenia, po przejściu szarańczy nad kwitnącém przed chwilą polem; inna wreszcie jest historyą starego młynarza, wywożącego co wieczór gruz i cegłę ze swego wiatraka, aby sąsiedzi nie domyślili się, że nie ma roboty. Najdłuższą z powiastek są „Przygody Tartarina z Tarasconu"; treść jéj zbyt dobrze znana jest czytelnikom lubiącym Daudet'a, aby ją przytaczać.

Wszystkie powiastki starsza młodzież czytać może z prawdziwą przyjemnością, nie tylko ze względu na zajmującą treść, lecz i na śliczne, poetyczne wysłowienie. *J. A.*



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

C. Bogucka, C. Niewiadomska i J. Warnkówna. „Ćwiczenia stylistyczne we wzorach i tematach, ułożone systematycznie. Stopień I. Stopień II.“ Warszawa, 1897, 8-vo, str. 264 i 254.

„Ćwiczenia stylistyczne" składają się z pięciu części. Część pierwsza i druga zawiéra w sobie opisy, porównania, powiastki i opowiadania, wiersze do przerobienia na prozę i listy; w części trzeciéj do tych pięciu rodzajów przybywa jeszcze szósty — rozprawki, nadto dział powieściowy jest powiększony przez dodanie opowiadań historycznych, podań, legend i życiorysów; wreszcie w części piątéj nie ma już wierszów do przerobienia na prozę, są natomiast rozbiory literackie, oraz życiorysy, stanowiące dział odrębny. Tym sposobem wszystkich rodzajów ćwiczeń stylistycznych jest ośm: opisy, porównania, opowiadania różnéj treści (jako materyał do streszczenia), wiersze do przerobienia na prozę, charakterystyki, rozprawki, rozbiory literackie i listy. Ćwiczenia w formie dyalogów pominęły autorki zupełnie — i bardzo słusznie, rodzaj to bowiem ćwiczeń za trudny dla uczącéj się młodzieży, a przeto w nowszych czasach ze szkół usunięty.

Dzieląc podręcznik na pięć części, autorki miały na celu „stopniowanie trudności", „zaczynając od tematów najłatwiejszych i przechodząc do coraz trudniejszych." Stopniowanie to jest przeprowadzone systematycznie i umiejętnie; śmiało można trzymać się kolei, wskazanéj przez autorki, co niepospolicie ułatwia pracę uczących.

Przyjrzyjmy się teraz bliżéj każdemu poszczególe gatunkowi ćwiczeń stylistycznych, zaczynając od opisów.

Część pierwsza i druga zawiérają w sobie opisy bardzo łatwe, t. j. opisy rzeczy, które dziecko zna dobrze bądź z osobistego doświadczenia, bądź z elementarnéj nauki o rzeczach; chodzi tu więc o to tylko, aby potrafiło myśli swoje wyraziś jasno; rozpatrzywszy plany opisów, ułożone przez autorki, łatwo się przekonamy, że odznaczają się one i jasnością i systematycznością; tak np. plan opisu p. t. „Pies" składa się z następujących części: 1) Jakiém zwierzęciem jest pies? (domowém); 2) Jak się nazywają główne części jego ciała? 3) Czém są zakończone łapy? 4) Jakie ma zęby? 5) Jakiéj wielkości bywają psy? 6) Jaki z nich mamy pożytek? 7) Jakie znasz odmiany psa? Na powyższe pytania każde dziecko łatwo znajdzie odpowiedź i wskutek tego nie zniechęci się zaraz na wstępie do ćwiczeń piśmiennych. Dobrze zrobiły autorki, że na czele umieściły takie właśnie opisy, które niewątpliwie są o wiele łatwiejsze dla początkujących, aniżeli streszczanie choćby najłatwiejszych bajeczek lub powiastek. Część trzecia, czwarta i piąta mieszczą w sobie opisy już znacznie trudniejsze, jak np. „Wędrówki ptaków", „Wiosna", „Wyrób papiéru", „Uprawa roli", „Pogrzéb Wisza" (ustęp „Staréj Baśni"), „Wycieczka do ogrodu botanicznego" i t. p. Z tych jedne przeznaczone są do streszczeń, inne do samodzielnych wypracowań, inne wreszcie wzięte są z zakresu geografii i nauk przyrodniczych, i tym sposobem płynie z nich korzyść podwójna: obok wprawy w ćwiczenia piśmienne uczący się lepiéj przyswajają sobie rzeczy, które poznali już poprzednio.

Po opisach następują porównania. Jak ważne stanowisko powinien zajmować ten dział wśród ćwiczeń piśmiennych i jak bardzo przyczynia się do rozwoju umysłowego, zbyteczną byłoby rzeczą rozwodzić się długo; dość przypomnieć, że porównanie jest środkiem do odróżniania cech istotnych od przypadkowych, że więc jest niezbędném do wytworzenia sobie ścisłego i dokładnego pojęcia o rzeczy. Wobec tego, zdaniem naszém, za mały nacisk położyły autorki na porównania; tak np. w części pierwszéj mamy ich tylko cztery (wobec 62 opisów). Zresztą tematy do porównań dobrane są przeważnie trafnie, lecz nie zawsze we właściwéj części umieszczone; tak np. temat „Rozum i wykształcenie" w porównaniu z innemi tematami części trzeciéj jest za trudny; należałoby go zamieścić w części ostatniéj. Takie zaś porównania, jak „Krasicki i Naruszewicz", oraz „Okres Zygmuntowski i Stanisławowski", może lepiéj byłoby dołączyć do „Rozbiorów literackich".

Bardzo dobrém stopniowaniem odznacza się dział „Powiastek i opowiadań". Znajdujemy tu kolejno bajki, powiastki, legendy, anegdoty i opowiadania historyczne, baśnie, podania, wreszcie większe utwory literackie, jako to: nowele i poezye. Nie brak i tematów do opracowania samodzielnego, jak np. „System feudalny i rycerstwo w wiekach średnich" lub „Jaką rolę odegrało w historyi morze Śródziemne", które to jednak tematy należałoby może zamieścić w dziale „Rozprawek". Streszczanie przeczytanych utworów ma wielką doniosłość pedagogiczną, uczy bowiem zwięzłości w wyrażaniu myśli. Szkoda, że autorki nie podały w części pierwszéj wzoru, w jaki sposób należy prowadzić z uczniami streszczania. Zauważamy więc, że w szkołach niemieckich początkowe streszczania polegają na pomijaniu w zdaniach złożonych—niektórych zdań podrzędnych, zwłaszcza określających i wogóle takich, bez których myśl przewodnia jest zrozumiałą; tym sposobem uczeń wprawia się w odróżnianie myśli głównych od drugorzędnych—co właśnie stanowić powinno cel i istotę streszczania. W zastosowaniu do większych opowiadań wymaganie to można określić w ten sposób, że uczeń powinien pomijać w streszczeniu swém epizody. Jeszcze jedna uwaga co do „Opowiadań". Z utworów poezyi, przeznaczonych do streszczenia, autorki uwzględniły tylko poezyę epiczną; niepodobna zaprzeczyć, że utwory epiczne najwięcéj nadają się do streszczania, w miarę jednak rozwoju umysłowego i wprawy stylistycznéj ucznia, można zadawać mu streszczenia łatwiejszych utworów lirycznych, jak np. elegii oraz pieśni liryczno-opisowych lub liryczno-dydaktycznych, a nawet utworów poezyi dramatycznéj; doskonale zwłaszcza nadają się ku temu arcydzieła tragików greckich, jako posiadające akcyę niezawikłaną, zwłaszcza „Oresteia" Eschylosa, oraz „Król Edyp" i „Antygona" Sofoklesa. Świéżo wydany przez pp. Chmielowskiego i Grabowskiego „Obraz literatury powszechnéj w przykładach i streszczeniach" (książka, któréj, mówiąc nawiasem, wartoby używać przy nauce stylistyki i teoryi poezyi) dostarcza w tym względzie bogatego i różnorodnego materyału.

„Wierszów do przerobienia na prozę" posiadają „Ćwiczenia stylistyczne" wiele, może nawet zbyt wiele. Nadto z części czwartéj, która zawiéra w sobie już „Rozprawki moralne i naukowe", możnaby wiersze usunąć w zupełności.

W dziale „Listów" słusznie uwzględniły autorki nietylko listy treści ogólnéj, ale także listy interesowe—*sit venia verbo*—jak np. listy „do sędziego", „do wójta o paszport" i t. d. Nie wadziłoby także zaprowadzić w nauce szkolnéj pisywania kontraktów, rachunków, pokwitowań, świadectw służbowych i t. p. Zwyczaj ten jest praktyko-

wany z powodzeniem w szkołach niemieckich [1])—z uwagi na potrzebę znajomości pewnych form prawnych, z któremi — po ukończeniu nauki szkolnéj — nie każdy wychowaniec będzie miał sposobność się obznajmić.

Co się tyczy z kolei „rozprawek naukowych i moralnych" (do którego to działu możnaby zaliczyć po części charakterystyki), to zagranicą, mianowicie w Niemczech, dość często odzywały się i odzywają głosy przeciwko wszystkim wogóle „ćwiczeniom abstrakcyjnym" w nauce szkolnéj, — z uwagi, że celem ćwiczeń piśmiennych w szkole powinna być jedynie reprodukcya, nie zaś samodzielna produkcya. Wymaganie to jednak nie jest uzasadnione i, jeżeli się nie mylimy, polega poprostu na nieporozumieniu; jeżeli uczeń jasno zdaje sobie sprawę z tematu (który téż dlatego powinien być sformułowany jak najdokładniéj) i jeżeli treść tematu nie przekracza granic jego wiadomości, nabytych drogą nauki lub doświadczenia, to ćwiczenie „abstrakcyjne" będzie takąż reprodukcyą, jak każde inne; chodzi tylko o to, aby uczeń potrafił wyłożyć swe myśli logicznie i systematycznie. Do ćwiczeń na tematy oderwane najlepiéj, naszém zdaniem, nadają się przysłowia, sentencye, chryje i wogóle ćwiczenia, których celem jest d o w i e ś ć d a n é j p r a w d y drogą rozumowania i przykładów; takie ćwiczenia mogą w bardzo wysokim stopniu przyczynić się do rozwoju umysłowego ucznia, uczą go bowiem myśléć logicznie. Plan takich ćwiczeń powinien być, o ile możności, ujęty w formę sylogizmu; jeżeli np. mamy pisać wypracowanie na temat „Można być pożytecznym, nie będąc znakomitym", to plan powinien być, mniéj więcéj, taki: 1. Człowiekiem pożytecznym jest ten, kto sumiennie wypełnia swe obowiązki (dlaczego? *a*, *b*, *c*...). 2. Sumienne wypełnianie obowiązków nie zawsze idzie w parze z rozgłosem (dlaczego? *a*, *b*, *c*...; przykłady!). 3. A zatém: można być pożytecznym, nie będąc znakomitym (i odwrotnie; tu można przytoczyć kilka przykładów, np. Herostrata, od których zresztą można wypracowanie rozpocząć (we wstępie). Dla opracowania chryj istnieje nawet gotowy szemat, uświęcony przez retorów starożytnych (*quis?*, *quid? cur? contra*, *simile et paradigmata*, *testes)*, który i dziś jeszcze da się zastosować w wypracowaniach nie bez pożytku dla uczącéj się młodzieży. Otóż wielka szkoda, że autorki w szeregu „rozprawek naukowych i moralnych", zbyt mało uwzględniły ten rodzaj wypracowań, które byłyby odpowiedniejsze, aniżeli takie tematy jak „O miłości", „O odwadze", „O kobiecie", „Przyjaźń"; zresztą i ta-

---

[1]) Por. np. von Zeyneks, „Deutsche Stilistik und Poetik". Siebente Auflage. Graz, 1896, str. 114: Geschäftsaufsätze.

kie wypracowania nadają się do ćwiczeń szkolnych, należy jednak ściśléj formułować tytuły, aby one odrazu oświécały ucznia, o czém ma pisać.

Zaznaczyć daléj trzeba, że plany nie we wszystkich rozprawach ułożone są, jak należy. Tak np. plan rozprawki na temat „O potrzebie pracy" jest następujący:

Wstęp. Człowiek rodzi się z potrzebami, musi więc pracować.
Rozwinięty temat. 1. Różność pracy według różności uzdolnienia.
2. Żadna praca nie hańbi.
3. Trzeba się do niéj przyzwyczyjać za młodu.
Zakończenie. Smutne skutki próżniactwa.

W planie tym część, która powinna być środkiem tematu, t. j. odpowiedź na pytanie: „Dlaczego człowiek powinien pracować?" została umieszczona we wstępie; środek tematu powinien właśnie wykazać różnorodne przyczyny (z punktu widzenia praktycznego, moralnego i t. d.), dla których człowiek pracować musi. Albo np. w wypracowaniu „Zabobony" we wstępie mowa o przyczynach zabobonów, poczém w części głównéj znajdujemy pytanie: „Co właściwie nazywamy zabobonem?" Porządek tych dwu punktów planu powinien być odwrotny: aby bowiem zrozumiéć przyczyny zabobonów, trzeba najprzód dokładnie zdać sobie sprawę z ich istoty (definicya musi poprzedzać wyłuszczenie przyczyn, skutków i t. p., chyba że celem wypracowania jest dać definicyę jakiegoś przedmiotu — w takim razie metoda indukcyjna powinna miéć bezwarunkowo pierwszeństwo nad dedukcyjną). Ale zarzut ten niektórych tylko tematów dotyczy; większość planów jest ułożona — pod względem treści — bardzo dobrze; takim np. rozprawom, jak „Znaczenie rzek dla cywilizacyi", „Znaczenie odkrycia Ameryki", „Walka człowieka z naturą" nic zarzucić nie można.

W dziale wypracowań z piśmiennictwa niektóre tematy są za obszerne i, jako takie, dla uczących są nieodpowiednie; należy tu np. temat „Rzut oka na rozwój poezyi dramatycznéj w literaturze polskiéj do XIX wieku; wiadomości o naszéj dawnéj poezyi dramatycznéj są jeszcze zbyt niedokładne, aby o jéj całokształtcie można było sobie należyte wytworzyć pojęcie. Jakim sposobem może uczeń wywiązać się choćby jako tako, ze swego zadania, jeżeli ani jeden z podręczników literatury nie podaje nawet należytéj klasyfikacyi utworów poezyi dramatycznéj (dyalogi, intermedya, sztuki moralne, dramaty w duchu kla-

sycznym i t. d.), nie mówiąc już o tém, że kilku rodzajów (jak np. misteryów „O męce pańskiéj”) nie uwzględniano zupełnie? W wymaganiu, aby tematy z literatury nie były za obszerne, posuwamy się jeszcze daléj: naszém zdaniem, nie należy zadawać uczniom takich tematów, jak np. „Charakterystyka Mickiewicza” lub „Charakterystyka Korzeniowskiego”; wprawdzie autorki wskazują wszędzie źródła pomocnicze, — ale w takim razie wypracowania z literatury staną się streszczeniami przeczytanych studyów, a więc ćwiczeniami nie samodzielnemi. Tymczasem nauka historyi literatury nastręcza właśnie nieprzebrane mnóstwo tematów do ćwiczeń samodzielnych, przyczém metoda indukcyjna da się w nich zastosować wybornie. Tak np. można zadać uczniowi wypracowanie „Krasicki, jako satyryk”—na podstawie kilku satyr, które wskazać należy (uwzględniając — rzecz prosta — satyry najbardziéj typowe); wprawdzie będzie indukcya niezupełna, ale trudno—niepodobna wymagać, aby uczeń w przeciągu kilku dni, przy innych zajęciach, uważnie przeczytał wszystkie satyry. Albo np. można na podstawie kilku przeczytanych i objaśnionych sielanek Szymonowicza, Karpińskiego i t. d. zadać temat: „Co to jest sielanka?” i t. p. I tu znowu indukcya będzie niezupełna, ale jakkolwiekbądź uczeń, pisząc takie ćwiczenia, nauczy się uogólniać swoje własne spostrzeżenia, dzieląc je podług pewnych kategoryi, z których dopiéro ostateczny wyprowadzi wniosek. Przeciwko „rozbiorom literackim” w nauce szkolnéj nie mamy nic; trzeba tylko, aby rozbiór zredukować do granic minimalnych, poprzestając na treściwém i systematycznem streszczeniu utworu, charakterystyce osób działających i t. p. bez wdawania się w szczegółową krytykę. Wybór dzieł przeznaczonych przez autorki „Ćwiczeń stylistycznych” do rozbiorów, jest trafny i zupełnie odpowiedni.

Jeszcze jedna ogólna uwaga co do planów, zamieszczonych w „Ćwiczeniach”. Dobry układ planu jest rzeczą pierwszorzędnéj wagi; polega on na usystematyzowaniu zebranego materyału, na ujęciu go w pewne grupy, słowem—na podziale; jeden z najważniejszych warunków podziału polega na tém, aby części składowe wykluczały się wzajemnie. Jeżeli w planie ćwiczenia nie uwzględnimy tego warunku, to uczeń o téj saméj rzeczy będzie musiał pisać w różnych miejscach ćwiczenia, nie będzie sobie zdawał należycie sprawy ze stosunku, jaki pomiędzy poszczególnemi częściami planu zachodzi, a zatém nie nabędzie umiejętności logicznego i systematycznego wypowiadania myśli. Otóż temu kardynalnemu warunkowi nie wszystkie plany „Ćwiczeń stylistycznych” odpowiadają. Tak np. w planie ćwiczenia „Połów wielorybów” punkt trzeci brzmi: „korzyści”, czwarty zaś: „tran i fiszbin,

jako cenne produkty"; dwa te punkty nie wykluczają się, ponieważ punkt czwarty jest jedną z części składowych trzeciego; należało je więc ująć w punkt jeden za pomocą poddziału korzyści: *a*) tran, *b*) fiszbin. A oto plan ćwiczenia „Samolub":

1. Myśli przedewszystkiém o sobie.
2. Nie kocha prawdziwie nikogo.
3. Poświęca dobro innych dla własnéj przyjemności lub korzyści.
4. Jest nieczuły na cierpienia innych.
5. Niesprawiedliwy w sądzeniu innych.
6. Wymagający względem otoczenia.
7. Nie troszcząc się o dobro innych, nie przynosi pożytku społeczeństwu.
8. Nie ma przyjaciół.
9. Nie może być prawdziwie szczęśliwym.
10. Umiéra nie żałowany i najbliżsi prędko o nim zapominają.

Plan ten należało ułożyć zupełnie inaczéj, mniéj więcéj w sposób następujący. Punkt pierwszy „Myśli przedewszystkiém o sobie" powinien być ogólnym tytułem środka ćwiczenia. Stąd:

1) Wniosek: Nie kocha prawdziwie nikogo:
   a) poświęca dobro innych dla własnéj przyjemności;
   b) jest nieczuły na cierpienia innych;
   c) niesprawiedliwy w sądzeniu innych;
   d) wymagający względem otoczenia.

2) Skutki: *a*) dla społeczeństwa: nie przynosi mu pożytku;
   b) dla samego samoluba:
      α) nie może być prawdziwie szczęśliwym, ponieważ:
      β) nie ma przyjaciół; a stąd:
      γ) umiéra nie żałowany i najbliżsi prędko o nim zapominają.

Wogóle przy pisaniu ćwiczeń należy koniecznie przyzwyczajać uczniów (w miarę ich rozwoju umysłowego), aby odróżniali pojęcia ogólne od częściowych, aby więc w planie był nietylko podział, lecz i poddział. Bezstronność atoli każe przyznać, że nie brak w „Ćwiczeniach stylistycznych" planów, które — pod względem układu — są bez zarzutu, jak np. „Pożytek z lasów", „Wpływ położenia nadmorskiego na handel i cywilizacyę", „Znaczenie odkrycia Ameryki" i wiele innych.

Powyższe sprawozdanie z „Ćwiczeń stylistycznych" okazuje, że książka szanownych autorek nie jest bez zarzutu. Nie wynika z tego jednak bynajmniéj, aby nie posiadała prawdziwéj wartości; przeciwnie zawiéra ona, naszém zdaniem, tyle cech dodatnich, że jéj pożytek w nauce języka jest niewątpliwy; przez to należą się autorkom słowa nie tylko uznania, ale i wdzięczności ze strony nauczycielek i nauczycieli języka polskiego. *Ignacy Chrzanowski.*

S. Dickstein. „Hoene-Wroński, jego życie i prace." Kraków, 1896. Nakładem Akademii Umiejętności.

W pierwszéj połowie bieżącego stulecia żył, myślał, pracował i cierpiał we Francyi mąż, o którym bardzo sprzeczne wśród nas krążyły wiadomości: gdy jedni uważali go za skrajnego dziwaka, inni przypisywali mu znaczenie pierwszorzędnego geniusza. Mężem tym był Hoene-Wroński.

Już sama skrajność takich o nim pojęć każe się domyślać jakichś szczególnych przyczyn; były niemi: różnorodność, ogrom i nieprzystępność prac Wrońskiego, wyjątkowy charakter i nieprzychylność współczesnych Wrońskiemu uczonych.

Osobą i pracami tego wyjątkowego męża żywo zainteresował się znany u nas matematyk i wielki miłośnik literatury naszéj matematycznéj—p. S. Dickstein, który téż, zaopatrzony w niepoślednią wiedzę i dużą erudycyę, z całym zapałem zabrał się do zbadania życia i prac Wrońskiego, nie szczędząc czasu, pracy, ani kosztów, jakich tak trudne zadanie wymagało. Dzięki tym wytrwałym staraniom pana D., znajdujemy się obecnie w posiadaniu pięknego dzieła p. t. „Hoene Wroński, Jego życie i prace", wydanego przez Akademię Umiejętności w Krakowie, z portretem Wrońskiego i podobizną jego pisma.

Praca p. Dicksteina składa się z dwóch części: z zarysu biograficznego i z wykazu dzieł oraz rękopisów Hoene Wrońskiego. Zadaniem jéj, obznajmienie rodaków z życiem i pracami Wrońskiego oraz zachęcenie i ułatwienie dalszéj pracy nad krytyczném ocenieniem wartości pomysłów tego niezwykłego człowieka.

Józef Marya Hoene Wroński urodził się 24 sierpnia 1778 r. w Poznaniu lub jego okolicach (rzecz ostatecznie jeszcze nie roztrzygnięta) z rodziców pochodzenia czeskiego (Antoni i Gertruda z Gruberów). Lata dziecińśtwa nie są znane. W bardzo wczesnym wieku pojechał do Warszawy i wstąpił do korpusu kadetów. Mając lat 15 ukończył edukacyę, a w r. 1794 zapisał się do szeregów artyleryi narodo-

wéj, jako porucznik. Podczas oblężenia Warszawy przez Prusaków był przy bateryi na Czystém; pod Maciejowicami zaś dostał się do niewoli i wstąpił do służby rosyjskiéj, którą w dwa lata późniéj opuścił w randze podpułkownika. Zaraz po opuszczeniu służby wyjechał z kraju, by już nigdy do niego nie wrócić. Pierwotnie chciał Wroński wstąpić do legionów, ale w drodze zatrzymał się w Niemczech, gdzie uderzony wysokim rozwojem filozofii, zaczął ją gruntownie studyować.

Przez dwa lata czytał dzieła różnych filozofów, z tych Kant wywarł tak silny wpływ na umysł Wrońskiego, że jego dążeniom nadał zupełnie nowy kierunek.

W 1800 roku przyjechał do Francyi i osiadł w Marsylii, gdzie przebył lat dziesięć. Tu postanowił oddać się wyłącznie pracy nad filozofią i nad reformą wiedzy. Przez te lat dziesięć położył podwaliny całego swojego rozległego systemn wiedzy i filozofii i przygotował wszystkie niemal zagadnienia, nad któremi miał pracować w ciągu długiego swego żywota. „Gdy się przejrzy rękopisy — powiada autor—zachowane z téj epoki, gdy się rozważy, w ilu różnorodnych kierunkach umysł jego był wówczas czynnym, nie możemy wyjść z podziwu dla téj niezwykłéj organizacyi umysłowéj i dla ogromu pracy, jaki Wroński złożył w tych nieznanych dotąd światu papierach."

W Marsylii téż pojawiły się pierwsze drukowane prace Wrońskiego: „Le bombardier polonais", „Critique de la raison pure" i t. d. Wroński znał kilkanaście języków, ale pisał tylko po francusku.

W 1810 r. przybył do Paryża, gdzie spędził większą część życia wyjeżdżając w celach naukowych, tylko na czas względnie krótki do Anglii (1819), Belgii (1826) i do Niemiec (1851).

Umarł 9 sierpnia 1853 r., pozostawiając po sobie szczupłą garstkę wiernych i fanatycznych wielbicieli swéj nauki, do których przedewszystkiém zaliczyć należy żonę zmarłego—z domu Montferrier, córkę przybraną Batyldę Conseillant, szwagra Montferrier, Auge'go, Durutte'a; z polaków: Antoniego Bukatego i Leonarda Niedźwieckiego. Temu ostatniemu głównie zawdzięcza p. D. pobudkę i zachętę do zajęcia się osobą i pracami Wrońskiego.

Zaraz po przybyciu do Paryża, przesłał Wroński Akademii ukończoną jeszcze w Marsylii rozprawę p. t. „Premier principe des méthodes analytiques", lecz uznania nie pozyskał. Gdy to samo spotkało go i późniéj ze strony Biura Długości oraz Towarzystwa królewskiego w Londynie, stał się zaciętym nieprzyjacielem ciał naukowych i „patentowanych uczonych", z którymi częste i zjadliwe prowadził polemiki. To pociągnęło za sobą wielkie rozgoryczenie uczonych przeciwko

Wrońskiemu—do tego stopnia, że Legendre na walném posiedzeniu Akademii miał podobno głośno wypowiedzieć następujące słowa: „Kto jest ten człowiek, który tylokrotnie powstaje przeciwko opinii uczonych; który żyje swoją prawdą, nie będącą naszą prawdą, występuje przeciwko nam w sposób gwałtowny i obrażający! Dawniejszy rząd rozkazem tajemnym (*lettre de cachet*) odstawiłby go do Bastylii."

Działalność Wrońskiego była wszechstronna, a zawsze przyświecała jéj idea zreformowania wiedzy.

Przedewszystkiém zajmowała go filozofia oraz matematyka czysta i stosowana. Filozofię oparł na pomyślanym przez siebie „absolucie", który „dydaktycznie" określa w następujący sposób: „absolut — to zagadnienie zasadnicze człowieka, to zasada pierwsza, zawierająca w sobie samej przyczynę (powód) swego bytu, t. j. warunek własnéj rzeczywistości, a która tym sposobem istnieje sama przez się; zasada, która przez to właśnie zawiéra w sobie warunek rzeczywistości wszechświatu." Rozważania filozoficzne doprowadziły go do doktryny mesyanizmu, która, według słów Wrońskiego, obejmuje w sobie nie tylko wszystkie jego badania czysto naukowe, ale ma zarazem kierować losami ludzi i narodów ku ich zbawieniu, t. j. najwyższym przeznaczeniom.

Z matematyki czystéj zajmował się analizą, teoryą liczb, rachunkiem prawdopodobieństwa, geometryą (najmniéj); z matematyki stosowanéj: balistyką, astronomią, mechaniką nieba, geodezyą, fizyką, lokomocyą i t. p. Budował modele przyrządów ratunkowych i astronomicznych, czynił wynalazki na polu lokomocyi; w celu ich eksploatowania zawierał milionowe umowy, które zrywał, gdyż wspólnicy domagali się szybkiego zrealizowania zobowiązań, przeszkadzając mu tém samém w prowadzeniu badań teoretycznych nad pomyślanemi wynalazkami.

Również żywo zajmował się historyozofią, ekonomią, polityką i prawem. Pisywał listy otwarte do monarchów, papieża i ministrów.

Wzory matematyczne podawał nie wskazując najczęściéj drogi, jaką do nich doszedł. Mówiąc o wydaném w 1812 r. dziełku p. t. „Résolution générale des équations de tous les dégrès", wyrzekł te słowa: „Aby ludziom niezajmującym się nauką dać przykład wartości nieskończenie wielkiéj odkryć naukowych, powiem im, że w r. 1812 ogłosiwszy „Rozwiązanie ogólne równań wszystkich stopni", którego, mimo niezmiernych prac, nie potrafiono znaléźć po dzień dzisiejszy, zachowałem w tajemnicy dowód tego rozwiązania, a to z powodów

najwyższéj wagi, by je ogłosić w czasie właściwym, lub téż... Gdyby jakikolwiek panujący ofiarował mi milion, a nawet kilka milionów, abym obecnie dał ludziom to ważne odkrycie, oświadczam, że téj ceny nie przyjmę. Nie jest w mocy ani żadnego panującego, ani wszystkich monarchów świata, ani wszystkich ludzi żyjących, posiąść tę prawdę, gdy zechcą; i gdybym dla wyższych powodów uważał za właściwe ponieść ją z sobą do grobu, ludzie i przez dziesięć wieków nie mogliby dojść do niéj..."

„Gdy Wroński kreślił te słowa — dodaje autor — wartość jego pracy była już osądzona naukowo. Matematyk włoski Ruffini, ten sam, który wyprzedził Abela w dowodzie sławnego twierdzenia o nierozwiązalności algebraicznéj równań stopnia wyższego nad czwarty, ogłosił w Pamiętnikach włoskiego Towarzystwa nauk w r. 1820 rozprawę, odczytaną jeszcze w marcu 1816 r., zawierającą krytykę teoryi Wrońskiego i wykazał zupełnie ściśle, że metoda ta jest błędna. W roku 1818 matematyk portugalski Joao Evangelista Torriani, odpowiadając na pytanie konkursowe Akademii nauk w Lizbonie „Dać dowód wzorów podanych przez Wrońskiego w jego rozwiązaniu ogólném równań" wykazał w oddzielnéj rozprawie, że metoda Wrońskiego dla równań stopnia wyższego nad czwarty jest fałszywa."

Nie należy stąd wnosić, aby i inne prace matematyczne Wrońskiego podobnemu uległy losowi. „Wzory, podane w „Prolegomenach" i następnie w „Reformie matematyki" były poddane późniéj krytyce naukowéj i wszystkie okazały się, z niewielkim wyjątkiem, ścisłemi i wystarczającemi."

Niektóre rezultaty otrzymane przez Wrońskiego wydają się na pozór niemożliwemi, a jednak są prawdziwe. W „Kanonach logarytmów" np. pomieścił na jednéj karcie to, co w zwykłych dotąd używanych tablicach logarytmów zajmuje setki stronic. Na pierwszy rzut oka wydaje się to niemożnością, jednak jest prawdą, którą każdy łatwo sam zbadać może, gdyż p. D. wydał „Kanony" w 1890 r., a tém samém dał wszystkim możność przekonania się o prawdzie.

I niektóre inne prace Wrońskiego są także sprawdzone, można więc być pewnym, że chociaż z pośród niezbadanych wiele może być błędnych lub nieodpowiadających dzisiejszemu stanowi nauki, to jednak mogą być i takie, co posiadają wysoką wartość naukową. Chodzi więc o to, aby bezstronna i ścisła krytyka powybierała rzeczy wartościowe i wzbogaciła niemi naukę, ku czemu za punkt wyjścia może służyć opisywana przez nas w téj chwili książka, stanowiąca wielkie ułatwienie dla chcących i mogących się oddać tego rodzaju badaniom.

Wroński wierzył niezachwianie w swoje wysokie powołanie reformatorskie i w swoją nieomylność; wierzył, że posiadł wiedzę bezwzględną i nawoływał ludzkość, aby szła za nim. W „Prodrome de Messianisme" powiada: „W położeniu, w którém upodobało się umieścić autora przez dozwolenie mu przeniknięcia do sanktuarium stworzenia, ma on dwa obowiązki do spełnienia względem ludzi. Jeden polega na przekazaniu im tych prawd bezwzględnych, drugi na starciu z tych prawd wszelkich widoków osobistych. Pierwszy — spełnia w téj książce..." Przedstawiając Towarzystwu królewskiemu w Londynie swoje równania „hydrostatyczne, hydrodynamiczne" woła w uniesieniu: „Takiemi są, panie prezydencie, siedm praw zasadniczych teoryi płynów, które przekazuję na całkowitą odpowiedzialność Towarzystwu królewskiemu. Prawa te, jako czysto matematyczne, są nieomylne, i nic na świecie, żadna potęga ludzka nie mogłaby ich unicestwić. Towarzystwo królewskie nie będzie istniało, Wielka Brytania pomiesza swe popioły z popiołami Grecyi i Rzymu, ziemia sama przestanie wypełniać przestrzeń, którą przebiega — a te siedm praw rządzić będzie i rządzi zawsze zjawiskami fizycznemi wszechświata!"

Jakkolwiek często znajdował się w ciężkich warunkach bytu, nigdy nie tracił odwagi. Chociaż wcześnie opuścił kraj rodzinny i nie miał z nim bliższych stosunków, nigdy o nim nie zapomniał. Wzmiankowaną pracę „Résolution générale des équations de tous les dégrés" zadedykował „à la Pologne, ancienne patrie de l'auteur." W 1831 roku ogłasza list do Cesarza Mikołaja I w obronie Polaków. Przy śmierci „Polska, ta droga ojczyzna Wrońskiego, powiada panna Conseillant, była ostatnim znakiem jego życia."

W opisywaném tu dziele opowiada autor o życiu i pracach Wrońskiego chronologicznie, opisując pięknym językiem wszystkie jego zdarzenia życiowe, walkę z trudnościami materyalnemi, nadzieje, zwątpienia i zawody, jakich doznawał. Ważniejsze, zasadnicze prace streszcza i wypowiada o nich swe zdanie, zaopatrując tekst główny w liczne i ważne dopiski. Krok w krok za tym opisem naturalnie iść nie możemy, ograniczymy się więc tylko do ogólnéj charakterystyki Wrońskiego, według tego, jak ją sobie z książki autora przedstawić zdołaliśmy.

Był to mąż ogromnych zdolności, nadzwyczajnéj wiedzy i niesłychanéj pracy. Wszystkim swoim utworom dawał podkład filozoficzny o dążnościach uogólniających i reformatorskich, posiadając zaś niepospolite zdolności—jak się autor wyraża — architektoniczne, starał się wszystko, czém się zajmował, podporządkować pod ogólny, zgóry

przez siebie obmyślony systemat. Przekonany o swém posłannictwie i nad wyraz pewien swéj nieomylności, gardził każdym, kto nie uznawał prawd przez niego głoszonych, posiadając zaś wielką odwagę, nie cofał się przed namiętną polemiką, nie szczędząc zarzutów nieuctwa najpoważniejszym uczonym i instytucyom. Ta niewstrzemięźliwość słowa sprowadziła wiele cierpień na Wrońskiego i stała się główną przyczyną, że prace jego pozostały bez należytego uznania i w swoim czasie nie wywarły takiego wpływu, jaki wywrzéć były powinny; dziś zaś, gdy namiętności minęły, nauka poszła daléj i sięgnęła głębiéj — pozostawiając pracę Wrońskiego na uboczu. Pomimo to, wszystkie niezbadane dotąd pisma Wrońskiego poddane być winny starannéj i bardzo ścisłéj krytyce, możemy bowiem pomiędzy niemi wiele znaléźć rzeczy takich, które i dziś jeszcze duże znaczenie dla nauki miéć mogą.

W części drugiéj podaje autor wykaz dzieł, broszur i rękopisów Hoene-Wrońskiego.

Dzieł i broszur drukowanych wymienia sto kilka, z tych:

a) Treści matematyczno-fizycznéj	28
b) Lokomocya	8
c) Filozofia, polityka, ekonomia społeczna i t. p.	35
d) Polemika	11
e) Odezwy, programy, prospekta i *diversa* . .	23

Rękopisów znajduje się przeszło trzysta:

Matematyka czysta i stosowana obejmuje	217	rękopisów.
Lokomocya	37	"
Statystyka i ekonomia polityczna . . .	19	"
Filozofia i pedagogika	23	"
Polityka i prawo	20	"
Varia	16	"

Rękopisy Wrońskiego znajdują się w bibliotece kornickiéj; nabył je hr. Działyński za sumę 100,000 franków od p. Batyldy Conseillant.

Pism o Wrońskim wymienia autor drukowanych 150 (w tém 22 ogłoszonych przez siebie) i w rękopisach 11.

Ażeby dać pojęcie o ogromie spuścizny po Wrońskim, dość powiedzieć, że gdy w 1870 r. powstała (nieurzeczywistniona późniéj) myśl wydania „Dzieł zupełnych" Wrońskiego, obliczono, iż objąćby je można w dziesięciu wielkich tomach *in folio*, o 800 stronicach każdy, a koszt wydania oceniono na pół miliona franków. Gdy teraz pomyślimy, że wszystkie te prace musiał autor przejrzéć, wiele przeczytać, rozważyć i z tego wszystkiego zdać sobie sprawę dla stworzenia ca-

łości, to łatwo każdy z czytelników zrozumie ogromną zasługę p. Dicksteina, którą też słusznie oceniła Akademia Umiejętności, wydając dzieło własnym nakładem i nie szczędząc kosztów, aby strona zewnętrzna odpowiadała wewnętrznéj wartości książki. *B. D.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *N. Michaux.* **O wyobraźni.** Studyum psychologiczne. Przełożył z francuskiego *Antoni Lange.* Warszawa, nakład i druk Lewentala, 1896, str. 128. — Zjawiska, składające się na całość, zwaną wyobraźnią są dwojakie: pierwsze—pojęcia lub wyobrażenia, drugie—postrzeżenia. Działalność postrzeżeń na nasz mózg wyjaśniamy sobie zwykle przez oddziaływanie zjawisk świata zewnętrznego. Postrzeżenie samo w sobie podzielone być może na wrażenia i idee. Czy jedne mogą być oddzielone od drugich i odwrotnie: zastanawiali się nad tém fizyologowie i filologowie, jako nad misternym węzłem, którego rozwiązanie pierwsi uważają za ukończone, a które u psychologów wywołuje zaprzeczenie. W każdym razie jedne zależne są od drugich, funkcya jednych wywołuje podniecenie drugich, t. j. postrzeżenia wywołują idee; zdarza się, że i idee wywołują podniecenie zmysłów. Wrażenia wtedy są jednak za słabe, aby mogły wywoływać nowe; wskutek zaś téj ich słabości podnoszą żywość wyobrażeń. Wyobrażenia mocniejsze gromadzą wokoło siebie słabsze, co stwarza wywyższenie i panowanie jednéj większéj idei, pozostawiającéj po za sobą pewną ilość mniejszych. Panowanie większéj nie zawsze bywa niepodzielne: następstwem tego jest kojarzenie idei. Po tych szczeblach dochodzi Michaux do ostatniego, do wyobraźni. Mówi o niéj jako o warunku niezbędnym w inteligencyi człowieka: im więcéj myśli, tém i ona większa, potężniejsza, z czego wypływają widzenia i halucynacye zmysłów wyższych. Wyobraźnia jest niejako duszą zmysłów i umysłu ludzkiego. — Bez niéj nie obchodzi się żadne odkrycie (a właściwie ona jest pierwszą i nieodłączną od niego), żaden utwór pióra, pędzla czy dłuta. Nazywa ją autor „idealném widzeniem". Z konieczności musiałem przebiedz tylko ogólną treść studyum powyższego, pozostawiając niektóre rozdziały na boku, jako nazbyt znane z psychologii ogólnéj, a które w pracy p. Michaux zajmują kilkanaście rozdziałów, jak: marzenia, halucynacye, pamięć i inne. Bezwątpienia cenniejszém byłoby studyum „O wyobraźni", gdyby panował

w niém styl naukowy, gdyby autor porzucił zbyteczne dla myślącego czytelnika wykrzykniki, rozmyślne utrzymywanie ciągłości wykładu przez stawianie pytań, na które dopiéro potém następuje odpowiedź. Takiego stylu używa jednak wielu uczonych francuskich, choć zalecić go można tylko w dziełkach popularnych. *er.*

== Sienkiewicz w jednym ze swoich utworów powiada, że w życiu starego kawalera tkwi dramat, bądź przypadek, zabijający nazawsze myśl o małżeństwie. Jakby potwierdzeniem tych słów jest zdanie, wyjęte z opowiadania emeryta (*Walerya Marrené*: **Historya zwyczajnego człowieka**. Warszawa, nakład i druk Lewentala) -- „został mi z téj przygody jakiś lęk, jakaś niechęć do kobiét; o małżeństwie nie pomyślałem już nigdy" (str. 272). Łatwo się domyśléć, że przygoda to była miłosna: panna, ideał bohatéra powieści, nie zważając, że była już z nim po słowie, wzięła potajemnie ślub z innym. Wiadomość o tém przyprawiła narzeczonego o chorobę, a zdarzenie nazawsze pozostało w pamięci. Ten moment—to jedynie zajmująca część w opowiadaniu emeryta; zresztą trochę wzmianek o Warszawie w połowie naszego wieku, trybie i sposobie życia mieszkańców małéj zamożności—więcéj nic. Figury nie nowe; znaliśmy, znamy i chyba znać zawsze będziemy i szczere, skromne, zacne dziewczęta w rodzaju Justyny, i dobre matki, i płoche, zalotne, bezmyślne Józie, dla których po za ozdobą własnéj twarzyczki nic nie istnieje, chciwie upatrujące bogatych mężów; znamy i młodych ludzi, do których nie można zastosować słów z „Historyi człowieka zwyczajnego": „za młody jesteś, abyś był mądry." Były i będą żony w rodzaju prezesowéj, mające starych mężów i — kochanków, panny, pozwalające się wykraść, jak Helena w opowiadaniu. Historya to rzeczywiście bardzo pospolita: chłopiec, po ukończeniu kilku klas, poświęca się służbie biurowéj. Opowiada o swém dzieciństwie, domu i wszystkiém, co go otaczało, bardzo szczegółowo i doprowadza życie swoje do lat dwudziestu czterech (wspomnianéj przygody z narzeczoną) — i na tém urywa. Świat dziecięcy jego nie zawiéra wydarzeń nadzwyczajnych. I dlatego (przykro to zasłużonéj skądinąd autorce powiedziéć) wybór „Historyi" nie trafny. Samo opowiadanie monotonne, zaledwie w kilku miejscach iskierką humoru błyszczące. Styl pozbawiony szczególnych zalet, a miejscami nawet trochę zaniedbany. Bohatér, który powiada: „zdaje mi się, że tylko w braku innego przedmiotu ona królowała w mojém sercu", co (dodajmy) „uderzeń swoich przyśpieszyć nie może, ani buchnąć płomieniem rozpaczy i wzgardy", nie posiadający żadnego pragnienia, żadnéj myśli, celu, ani ideału życiowego — jest jako automat.

Stąd opowiadanie jego, często nużące, nie może obudzić prawdziwego zainteresowania, ani zatrzymać przy sobie czytelnika.

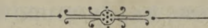
Inaczéj rzecz się ma z ostatnią powieścią *Michała Bałuckiego* p. t. **Wiś i Dziunia** (Warszawa, nakł. S. Lewentala). Autor, który zapożycza wyłącznie tło od swego miasta, nie skąpiąc mu często satyrycznego śmiechu, i bohatérów ostatniego utworu swojego wprowadza do Krakowa. Tylko jeżeli satyra w poprzednich jego pracach była pobłażliwa, to przez usta dziadka i literata Szczerby w „Wisiu i Dziuni" wypowiada słowa bardzo smutne, acz prawdziwe, a satyra ta zastanawia na długą chwilę. „Gdybym ja chciał pisać wszystko, co wiem i widzę, świat-by się zdumiał, że takie małe miasto ma tyle brudu i śmiecia" (str. 235). Dawniéj opisywał Bałucki drobne mieszczaństwo, teraz odchylił bardzo zręcznie zasłonę, kryjącą po za sobą wszystko, co w Krakowie błyszczące, chociaż nie złote. Więc—Zenona, „pośrednika" do różnych spraw arystokracyi, Henryka — łotra, karciarza Pomiana, obok Ireny, którą znoszono w towarzystwach dlatego, że zasłonięta była potężnym wpływem krewnego, a wszyscy stojący pod sztandarem katolicyzmu, udający pobożność i zasady. Obok nich śmieszne wielkości Krakowa, „udzielające zawczasu szczegółów swego życia", aby kronikarz miał po ich śmierci gotowy materyał do chwalenia. Na uboczu pozostawił autor kilka rodów, których domy nie dla wszystkich otwiérane bywają. W powieści występuje to, co świéci fałszywym blaskiem, nie mające nic prócz pięknego ułożenia. Do tego światła sztucznego wzdychało dwoje młodych: Wiś i Dziunia—małżeństwo spragnione zabawy i życia. Nic nie pomogły przedstawienia i prośby dziadków: Dziunia nudzić się na wsi nie będzie!... Zginęliby bardzo prędko przez otoczenie, do jakiego się dostali, gdyby nie dziadek, który traceniu pieniędzy przez siebie zapracowanych stanowcze położył *veto*. Ocaleni byli majątkowo oboje, a ona i na honorze: dzięki Szczerbie nie uległa brutalnéj napaści Henryka. I kiedy ten „świat", dając ucho plotkom, o prowadzeniu się Dziuni rozsiewanym, odsuwa się nagle od nich, oni—poznawszy się na swoich „najserdeczniejszych" — zapragnęli świeższego powietrza... „Ach, jak ja lubię wiosnę u nas—woła Dziunia, zmęczona dotychczasowém życiem—jakbym to rada jaknajprędzéj zobaczyć, nałykać się tego naszego wiejskiego powietrza, wygrzać się w słońca i pobiegać oczyma, jak jaskółka, po tém szerokiém, dalekiém niebie, co go tyle widać od nas!... Ja już tak dawno nie widziałam tak dużo nieba..." (str. 254). I powracają do swoich ukochanych Łopuszan, gdzie bawili się dziećmi, gdzie sobie miłość przysięgli, gdzie ich czekało tyle życzliwych twarzy.

Podnieść należy myśl społeczną w powieści: miasto, gdzie za wesołym ulicznym hałasem kryje się wiele nędzy, złości, płaczu i narzekania, gdzie zbiéra się wiele brudu i błota, którego większość nie ma możności, albo dostrzegać nie chce... Stosunki miejscowe w powieści odfotografowane zostały wiernie. Figury rozmaitych dyrektorów, baronów, dam i innych—prawdziwe; niesłusznie tylko dotknął autor prelegenta (str. 132), któremu dla jego prac drobne wady należało wybaczyć, a który w „świecie" krakowskim doprawdy na świéczniku postawiony być może. Stronę literacką utworu zbytecznem byłoby rozpatrywać, autor ma przeszłość za sobą. Jednak nie do najszczęśliwszych należą wyrażenia: „A żaby jak ci wymyślają rechotaniem w stawie" — mówi Szarkowski do wnuczki (str. 38). Albo: „Sędzia swojém gadaniem obrzydził, opaskudził im to Eldorado (str. 56)

L. Rutkowski.



Myśli poświętne.



Jest to u nas fenomen rzadki, niebywały prawie, że zamiast za uciechami gonić i szaléć, zaczęliśmy w karnawale nad sobą się zastanawiać, kroki i drogi swoje rozważać. Pijatyka zawzięta na zabój, tańce od dziesiątéj przed północą do czwartéj z południa, wrzaski i bójki uliczne złotéj młodzieży, na które w latach np. 1797 — 1806 rząd pruski tak pobłażliwém i ojcowskiém okiem spoglądał w Warszawie, swawola słowa i czynu, któremi w r. 1813 święcono w Krakowie nawet powrót rozbitków księcia Józefa z nad Berezyny, teatralne przedstawienia, żywe obrazy tężyzny i junakieryi w świątyni ustawodawczéj, o których kasztelan Dembowski nadmienia w swych „Pamiętnikach" z lat 1830—31, olbrzymie uczty i bale w okresie poprzedzającym dobę usamowolnienia włościan w Królestwie i na Litwie, o których Sulima rozpisuje się w „Historyi lat dwóch",—wszystko to znikło naraz, w ziemię zapadło z początkiem r. 1897, a jeśli gdzie jeszcze, w marnym zakątku pół-magnackim, pół-karczemnym, huknie ktoś niekiedy rozbitą szyjką szampana lub wytłuczoném na piętrze oknem, to już z góry wié każdy, że w cyrkule sprawa ostoi się bez specyalnego tłumacza i rzeczoznawcy.

Do zadumanego i otrzeźwionego usposobienia, jakie obecnie w społeczeństwie naszém zapanowało ze szkodą pohulanek bezmyślnych, nie trudno dostroić się kronikarzowi „Ateneum." Chwila jest rzeczywiście poważną, być może nawet doniosłą. Znaczenie jéj podniósł niedawno wyżéj jeszcze jeden z najznakomitszych statystów polskich,

autor „Tematów wigilijnych”, które na progu rozpoczętego roku przesunęły się nad nami bez echa i wrażenia. W pomienionych „tematach” mówi się o ludziach dobréj woli i o tém, na czém się dziś dobra wola zasadza. „Bywają lata, dziesiątki lat i całe epoki, kiedy wyrazy *pax hominibus bonae voluntatis* brzmią tylko jako piękne głosowe dźwięki, jako cudna melodya; są znowu chwile, do których zaliczam dzień i godzinę teraźniejszą, kiedy te słowa mogą być niełatwą do rozwiązania zagadką, kiedy się mogą stać węzłem dramatu, czémś tragiczném, bo od mylnego lub właściwego ich pojmowania, może zawisły szczęście lub niedola, życie lub śmierć...” Owóż, jeżeli zważymy że słowa te wyrzeczone zostały na scbyłku półwiekowéj blizko działalności pisarza i myśliciela, co najniewątpliwiéj sam był zawsze człowiekiem dobréj woli, niezłudnemi oczyma patrzał na zadania nasze społeczne w latach raz nieco lepszych, to znowu bez porównania gorszych, — wówczas już bez oglądania się na kalendarz, bez oczekiwania na popielcową datę gorzkich żalów, każdy mimowolnie zapyta siebie: co się o stało? o co tu chodzi?

Wejrzyjmy w osnowę wigilijnych tych tematów.

Nauczony długiém doświadczeniem, kierowany niepowszednią znajomością dziejów, autor widocznie się obawia, ażebyśmy drobnych poszlak przychylniejszego ku nam usposobienia nie brali za wskazówkę wielką, a z wielkiéj wskazówki nie wysuwali uroszczeń jeszcze większych, wygórowanych po nad możność ich zaspokojenia. Nadmierne takie przypływy nadziei nieraz już wykolejały nas na jałowy grunt programatologii sennéj, poetyckiéj, zatopionéj w przeczuciu mglistém, że „bez najmniejszego przyczynienia się przeżyta przeszłość znowu cudem jakimś wróci”, a my sami zostaniemy znowu wprowadzeni „do utraconych praojcowskich włości.” Nic się z tych przedświtowych rojeń nie wyroiło, nic się z nich nie wyroi... — chyba za lat tysiąc. A tymczasem, „co mamy czynić przez te lat tysiąc? Czyż tylko wierzyć, tylko trwać i to mieć jedynie w zasłudze? — Ależ téj społeczności przyszłéj, nowéj, codzień już potrosze ubywa i nim lata czekania miną, wykruszy się ona do szczętu po kawałeczku, tak, że z nas zostanie tylko kupa rumowisk, nic więcéj...” Nastała pora położenia końca nieporozumieniom i pogmatwaniu pojęć. Nie mamy prawa pozować na zdetronizowanych pretendentów, ani dobijać się o stanowiska wyjątkowe, uprzywilejowane. „Narody nie powinny gatunkować się na panujące i podległe; wszystkie narody, ile ich jest i będzie, muszą być językowo i obyczajowo wolne, żadnemu nie należy przeszka-

dzać w wyrabianiu własnéj i odrębnéj kultury." Tylko-że, nie trzeba znów narodu brać za jedno z państwem. Państwa nie bywają nigdy narodowo jednolite,—państwo to rzesza narodów... Należymy do wielkiego plemienia, jesteśmy z bohaterskiego rodu, ale spuścizna ta nie daje nam żadnych praw, wkłada tylko obowiązki ciężkie. Stanąć nam trzeba na jednéj stopie ze wszystkimi i nie panosząc się bynajmniéj, wziąć się do pracy... „A ponieważeśmy umysłowo nie upośledzeni, więc doczekamy się niezawodnie, że nas zaliczą do pocztu przodujących w cywilizacyi narodów."

Wywód powyższy, aczkolwiek obostrzony groźbą doraźnego jakiegoś niebezpieczeństwa, byłby najzupełniéj zrozumiałym i jasnym, gdyby istotnie stwierdzić się dało, że „wyszczerbianie się" nasze jest jednorodne, natury wyłącznie politycznéj, jak to autor zdaje się przypuszczać. Równouprawnienie narodowościowe, powołanie wszystkich składowych części monarchii do wspólnego korzystania z praw ogólno-państwowych, byłoby w takim razie niezawodnie skutecznym środkiem ratunku, — przynajmniéj o tyle, że uwolniłoby społeczność naszą od ciężarów, ograniczeń i wyjątkowości, sięgających początkami swemi chybionych resztek czynnego współzawodnictwa naszego na widowni międzynarodowéj. Atoli, sam już nieszczęśliwy rezultat owego współzawodnictwa ostrzega, że pod pokrywą spraw i dążności szerokich, rozległych, a więc w zakresie zagadnień najściśléj domowych, społecznych, kryć się musiał i kryje się do dziś dnia gość znacznie na pozór cichszy i skromniejszy, naprawdę zaś stokroć do wyrugowania i wyparowania trudniejszy od ideologii politycznéj, od urojeń i zachcianek oddawna poskromionych, w wielu wypadkach bez śladu pogrzebanych. Czémkolwiek zresztą jest, lub byćby dla nas mogła tegoczesna powierzchnia działalności publicznéj, wpływamy na jéj zmiany i na jéj ustosunkowania jedynie pośrednio, biernie, przez zachowanie się mniéj więcéj roztropne i godne. O tyleż śmielszą, zdawałoby się — o tyleż dzielniejszą i zabiegliwszą powinnaby być obrotność nasza tam, gdzie nas nikt krępować nie miał uzasadnionéj potrzeby i często nie chciał rzeczywiście. Cóż jednak widzimy? — Oto właśnież na piętrach dolnych, bezspornie we władaniu naszém zostających, najwygodniéj i najbezpieczniéj rozstasował się ów gość nieproszony, ów wróg nasz wewnętrzny, co nas szczerbić począł jeszcze wtedy, gdyśmy nie tylko społecznie, ale i politycznie byli sobą... „Jesteśmy potomkami możnego, bohatérskiego rodu — zapewnia autor tematów wigilijnych—nie zbywa nam również na zdolnościach, nie upośledzeniśmy umysłowo." Bezwątpienia. Lecz czyśmy pewni, że ta bohaterska i wielmożna ro-

dowość uposażyła nas, pogrobowców, zasobem akurat takich uzdolnień umysłowych i towarzyskich, któreby przed nami otwierały choć jakiekolwiek widoki powodzenia w walce o byt—na gruncie narodowościowym, w warunkach nowych, pod hasłami do tych warunków zastosowanemi?

W historykach polskich nie znajdujemy na to odpowiedzi prostéj, bezpośredniéj. Zajęci głównie badaniem przyczyn słabości rządu i rozprzężenia ustroju państwowego w dawnéj Polsce, poszukują oni w charakterze narodowym cech i zboczeń, uwydatniających tendencyjne ich założenie. Metoda ta rozmija się do pewnego stopnia z potrzebą tegoczesną. Stare państwo polskie nikomu już dziś nie zawadza i nikogo nie obarcza, gdy tymczasem charakter narodowy raz po raz daje się we znaki — przedewszystkiém nam samym i najdotkliwiéj. Cóżkolwiekbądź parę zdań zaczerpniętych z wychodzącéj ponownie pracy Tadeusza Korzona „Dzieje wewnętrzne Polski za Stanisława Augusta” rzuci może choć ubocznie niejakie światlo na dane zagadnienie. Oto są jego słowa w streszczeniu. „Oprócz najrozmaitszych zaćmień i spaczeń ducha — umysłowych, obyczajowych, moralnych — uczepiła się nas jeszcze w połowie wieku XVII jedna z najcięższych chorób, jakie organizm zbiorowy zdolnym był przenieść na sobie kiedykolwiek. W sto kilkanaście lat późniéj, to jest pod koniec wieku XVIII, straszliwa ta choroba przybrała wszystkie znamiona i rozmiary epidemii złośliwéj, nikogo nie oszczędzającéj; dotknęła ona—nie tylko ówczesnych naszych zachowawców, którzy dla naprawy walącego się gmachu Rzeczypospolitéj (to jest państwa) poświęcić byli gotowi życie i mienie, byle zostać przy posiadaniu chłopów i złotéj wolności, — ale też i naszych postępowców, co reformę społeczną rozpoczęli od zrzucenia stroju ojczystego i zastąpienia podgolonéj czupryny — peruką, karabeli—rożenkiem, żupana—frakiem. Osobnéj, ustalonéj nazwy choroba nie pozyskała. Około r. 1840 demokraci polscy na obczyźnie zwali ją „niewiarą we własne siły”—co było oczywistym nonsensem, bo wierzyć w siły, których się nie ma, jest przywidzeniem zgubném, liczyć zaś na przywidzenia—zbrodnią. Trafniéj już wyrażał się Wawrzecki, kiedy siedząc po ostatniéj katastrofie rozbioru w więzieniu petersburskiém, utrzymywał, „żeśmy zawsze chcieli być cudzymi.” Co do symptomatów zarazy, najdobitniéj określił je pod koniec r. 1896 wspomniany autor „Tematów wigilijnych”, powiadając: „wypadki roku 1870 (ośmset siedmdziesiątego!) miały dla nas ten zbawienny skutek, że zwolniły od poddańczego zachowania się względem idei... napoleońskiéj (tym razem); dopóki obłęd ten trwał, tak się przedsta-

wiały obowiązki nasze patryotyczne: żyć jak na popasie, jak na przewozie, z dnia na dzień, byle jako — i stawić się w decydującéj chwili na p o p i s generalny..." O ileż ostrzéj, krzykliwiéj, straszniéj wyglądać musiała owa poddańczość w wieku XVIII-ym, kiedy najprzedniejsi, najlepsi, najrozumniejsi w narodzie szli szukać model ustawodawczych dla swego kraju w Paryżu, u Mably'ch i Rousseau'ów, a sankcyi i poparcia dla wiotkich, w powietrzu niemal zawieszonych swych uchwał oczekiwać mogli z Berlina, od Fryderyka II-go. To i dziw nie wielki, że na ten widok historyk traci cierpliwość, pozwala zachwiać się w sobie równowadze sądu. „Tak więc — woła — ludzie publiczni obu kierunków zasadniczych dotknięci byli niemocą w najgłębszych fibrach serca, w pierwotném źródle wszystkich tych aktów woli, stanowiących istotę charakterów politycznych, które niezbędnemi były szczególnie wobec klęsk nadciągających. Na tym to gruncie psychicznym urosło mniemanie, które się stało jądrem tylekroć wyszydzanéj nieudolności („głupoty") politycznéj Polaków, — mniemanie, że obcy może być przyjacielem, opiekunem, ba nawet zbawcą Rzeczypospolitéj, że cała Europa ratować Polskę i utrzymywać m u s i... Gdzieindziéj, ani zasada stanowa, ani kosmopolityzm teoretyczny nie stłumiły instynktu samozachowawczego; u nas tylko, pod działaniem szczególnych wpływów historycznych, ludzie skądinąd najuczciwsi, patryoci najgorętsi pocieszać się mogli słodkiemi nadziejami na zbawienną interwencyę tego lub owego mocarstwa i spychać na obce barki krwawy i najcięższy, ale też i najzaszczytniejszy trud budowania samoistnéj siły narodu..." A ile niecnot, występków, nikczemności, zdrad przekupnych, ile brudnych, tchórzostwem lub chciwością podszytych wyzysków szukało upozorowania i przykrycia pod obłąkańczém tém godłem, żeśmy światu niezbędnie potrzebni, że nam ludy i dwory — to pruskie, to francuskie, to rakuskie—zginąć nie dozwolą! Niesłychane zaślepienie... Cały zaś ogrom wynikających stąd strat i niebezpieczeństw wyjaśniłby się dopiéro wtedy, gdybyśmy zbadać zdołali, jak głęboko i szeroko rozpostarło się złudzenie—„głęboko, bo do zasadniczych kategoryi myślenia politycznego, do pierwotnych instynktów sumienia, — szeroko, bo na ludzi wysokiego stanowiska, wykształconych, obeznanych z formami etykiety i dyplomacyi, na mężów stanu i doktorów, zarówno jak na gmin szlachecki, na prostaczków i wiejskich polityków... Gdy miliony, gdy naród cały zatraca rdzenne pojęcie samowładności i samoistności swojéj,—zaprawdę, jedyném dla niego lekarstwem mogą być chyba męki niewoli" (IV, 634).

Rozumie się samo przez się, że wszelkie wnioskowanie z przesłanek tak odległych i stosunkowo szczupłych, ubogich, byłoby niesłu-

szném i zawodném, — tém bardziéj, że dziejopisarze nasi w ogólności, osobliwie zaś nowsi, przytłoczeni wzbiérającą falą następstw ciemnych, nie są bynajmniéj skłonni do baczniejszego uwzględniania, wzorem swych poprzedników, okoliczności umniejszających nieco ponury wygląd głównéj masy czynników sprawczych. Pod tym względem — koniecznie zaznaczyć to trzeba — historycy postronni bez porówania łagodniéj i spokojniéj na fatalne powody nieszczęść, które pod koniec wieku XVIII go zwaliły się na społeczeństwo polskie i których obraz, według znanego wyrażenia H. Sybela (*Geschichte der Revolutions-zeit*, wyd. düsseldorfskie, t. I, str. 155—157) dorównywa przerażającéj panoramie zburzenia Jerozolimy. Wytyczne linie przyczyn Sybel przenosi na „naturę rzeczy", na żywiołowy niejako antagonizm dwu narodowości — polskiéj i niemieckiéj, — na całkowite wewnętrzne i zewnętrzne przeciwieństwo, na nieprzejednalność ich sporów o Gdańsk i Królewiec, gdyż—twierdzi—dopóki istniała Polska, musiała dążyć ona do „spolszczenia napowrót Królewca i do nawrócenia Gdańska na katolicyzm". Stąd to wypłynąć miała zawzięta owa nienawiść, trwająca podziśdzień bez względu, że jéj źródło do dna wypili sami Niemcy, dla zaspokojenia własnego wyłącznie pragnienia. „Któżby nad tém nie bolał! — patetycznie zapewnia historyk niemiecki — i któżby tego nie żałował!" Lecz—pociesza się — „albożż żal ludzki ma jakiekolwiek znaczenie i walor w stosunkach międzynarodowych?..."

Takież samo, bez mała, zapatrywanie — uwolnione tylko od ironicznéj osłody—wypowiedział i S. Sołowjew co do nie istniejących już obecnie kwestyi białoruskich i małoruskich („Padienie Polszy", Moskwa, 1863, str. 6), zwalając ciężar faktów na jątrzącą się od połowy w. XVII w łonie Rzeczypospolitéj ranę różnowierstwa. Ponieważ jednak nieporozumienie na tém polu nie mogło być podniesione do wyżyn zasadniczego nieprzejednania—przeczyły mu bowiem próby ciągnące się bez przerwy od soboru florentyńskiego,—przeto historyograf rosyjski wolał poprzestać ostatecznie na dawniejszéj swojéj tezie o losach wojny i wyrokach zbrojnego między narodami rozstrzygania procesów dziejowych („Istoria Rossii", t. XXVIII, str. 244 i nast.). Nie znaczy to wszakże, aby w poważném, rzetelnie naukowém piśmiennictwie rosyjskiém przyjęte było kiedykolwiek, bez zastrzeżeń, hasło rodowicie niemieckie: „siła przed prawem". Bynajmniéj—i na to istnieją dowody mocniejsze od wszelkich formalnych oznajmień teoretycznych, papiérowych. W r. 1880 z polecenia cesarza Aleksandra II, petersburskie Towarzystwo historyczne ogłosiło t. zw. „gody uczenija" — prelekcye wykładane w latach 1836—1838 owoczesnemu cesarzewiczowi następcy tronu pod osobistém kierownictwem cesarza Mikołaja I. Naukę

dyplomacyi, w przebiegu historycznym, z okresu panowania Katarzyny II-éj, Pawła I-go i Aleksandra I-go, powierzono, w ostatnim roku studyów, znanemu późniejszemu ambasadorowi w Londynie, baronowi Brunnowowi. Rozpoczynając swój wykład, Brunnow, po zaznaczeniu, od pierwszéj zaraz stronicy, że dwa pierwszorzędne przedsięwzięcia górują w historyi cesarzowéj Katarzyny, zniesienie niezawisłości Polski i osłabienie potęgi państwa Ottomańskiego, tak się wyraził dosłownie: „Niewątpliwie, wyniki osiągnięte przez cesarzowę przyczyniły się do podniesienia na niebywałą wysokość potęgi Rosyi; z drugiéj atoli strony, jeżeli reguły kierujące w owéj epoce biegiem polityki dworu petersburskiego porównamy z zasadami dziś obowiązującemi, niepodobna będzie powstrzymać się od wyznania, że sposoby i środki obrane w widokach wykonania planów cesarzowéj Katarzyny, nie noszą na sobie owych cech *de droiture et de loyauté*, które stanowią niezmienne prawidło obecnéj naszéj polityki i są naszą siłą prawdziwą — *notre véritable force*." Ostatnie trzy słowa skréślił własnoręcznie cesarz Mikołaj, a cały ten pogląd powtarza się w dalszym ciągu po razy kilka z większym jeszcze naciskiem, z większą jeszcze wyrazistością („Sbornik Imp. Russk. Istor. Obszcz.", 1880, t. II, str. 197, 202 — 203, 232).

Najcelniejszy z historyków francuskich epoki i przedmiotu, o których mowa, Albert Sorel zatacza ciężar swych dochodzeń dokoła punktu zasługującego przed innemi na zastanowienie. Najwięcéj zainteresowania budzi w nim zjawisko słabéj oporności organizmu społecznego, ulegającego parciu ościennemu. Zaznaczywszy w kilku zwięzłych ustępach niedogodne położenie geograficzne Rzeczypospolitéj, rozsiadłéj na przestrzeniach niezmierzonych, granice niepewne, ruchome, rozwarte na oścież od wschodu i zachodu, konstytucyę polityczną wadliwą, „najwadliwszą ze wszystkich" — według definicyi Monteskiusza, bo ani monarchiczną, ani republikańską, ani nawet oligarchiczną, lud wielojęzyczny i wielowyznaniowy, rząd bezsilny i na gruntowną nieufność narodu ciągle wystawiony, sprawiedliwość szarpaną pomiędzy frakcye możnowładcze, wojsko albo najemne, albo bezładnym taborem do boju stające, skarb zasilany z łaski lub prawie tyle, co z łaski, sejmikowanie hałaśliwe, zawadyackie i niemal bezprzerwne, — Sorel dochodzi jednakże w końcu do przeświadczenia, że bądź co bądź, ciosy, jakie na tak niespoisty, niezrównoważony w sobie naród spadły na schyłku XVIII-go wieku, były za dotkliwe, z wielu względów nie wytłómaczone, nie odpowiadające sumie energii wydobytéj niegdyś w obronie społeczności europejskiéj i zasługom dla niéj położonym. Przypominając celniejsze wypadki dziejowe, świadczące

o wrodzonéj towarzyskości szczepu w stosunkach zarówno domowych jak zagranicznych, w zakresie tak świeckim jak religijnym, autor stwierdza, że o ileby chodziło o ogólną charakterystykę powszechności polskiéj, zataić nie sposób, iż porozumiéć się z polakiem, trafić z nim do ładu, nie jest rzeczą zbyt trudną. Nie ulega wątpliwości, że na tle mocarstw zachodnich, wychowanych w sztuce dręczenia natury ludzkiéj, stara rzesza polska tworzy oazę o innéj zupełnie barwie, innéj temperaturze moralnéj. Społeczeństwo polskie nie zdradzało w sobie nigdy zawiści do cudzéj chwały, do cudzych blasków, do cudzego powodzenia. Sorel nie dalekim jest od przyznania słuszności orzeczeniu najszlachetniejszego przedstawiciela całéj téj burzliwéj i krwawéj epoki: „Nie może być żaden naród skłonniejszym do uczynienia dobrze każdemu, jak naród polski, kiedy tylko sam swoją wolę czynić może.” Obok tego dziejopisarz francuski notuje szereg zalet prywatnych i publicznych, których kwalifikacya, ze względu na nieprzezwyciężoną trudność równowartego przekładu, podana być musi w surowcu: „On rencontrait chez les Polonais—et c'est pourquoi l'histoire ne saurait se désintéresser de leur infortune — un instinct profond de leurs maux, un désir ardent de les guérir, le respect de leurs origines, la foi dans l'avenir, une tradition très-élevée d'enthousiasme et de désintéressement, le goût des nobles causes, l'aptitude au sacrifice, l'attachement passionné à la patrie” („L'Europe et la Rév. fr., t. I, 507—510).

Materyał—jak widzimy—do zestawienia nie obfity, a pomimo to z treści swéj nieskończenie różnorodny. Usiłowanie syntetycznego odlania go w najbardziéj wzorowe formy wymagań teraźniejszości, uporczywie rozbija się o kontrasty rugujące się nawzajem, z tego zaś, jako osad nierozpuszczalny wyłaniają się hipotezy niepożądane do sprawdzenia. Najpiérw, nie tyle może z racyi przeceniania realnéj wagi pierwiastków przesiąkających glebę przeszłości, ile raczéj w skutek późniejszego idealizacyjnego ich utlenienia w oczyszczającém powietrzu zawodów i niedoli, najwspanialsze bodaj przeprowadzenie wypielęgnowanego w duszach całokształtu pojęciowego na teren praktyki życiowéj, odlegle analogicznéj, nieodmiennie wydawać się musi jakiémś ostateczném, niewymownie przykrém zamknięciem możliwości dalszych lub współrzędnych. Powtóre, sama ta praktyka życiowa, nieodzownie wązka w początkach, z konieczności najeżona kwestyonowaniami na każdym kroku i za lada pozorem, otworzyć gotowa upusty jedynie zabiegom podrzędniejszego gatunku, przynajmniéj u nas: szamerowanéj urzędomanii, językowéj swadzie, programatologiczno-wynalazczéj szarlataneryi i socyologicznym wyścigom prasy o patyk i szpilkę. Potrzecie wreszcie, wobec niedawno dopiéro uświa-

domionego w nas ubóstwa materyalnego i faktycznéj nieudolności ekonomicznéj, téj prababki wszelkich naszych niepowodzeń i grzechów, czy to zwietrzałych czy świéżych, jedno i drugie, to jest ideały i drzazgi w zespoleniu odciągnąć tylko mogą sporą część umysłów czujniejszych i gorliwszych, przed kilku laty rozbudzonych, od pracy u podstaw, w szrankach inicyatywy indywidualnéj i społecznéj, bardzo zaiste skromnéj, ale jedynéj przez to, że pod jéj wezwaniem uczucia i myśli nasze zbiegają się jako do arki przymierza między nowemi i staremi laty, nikomu nie zawadzając, z nikim się nie kłócąc, do nikogo pretensyi nie roszcząc, a łatając gdzie można i te wielkie luki dawne i te mniejsze szczerby świéże.

Dzień jutrzejszy zrobi sobie co zechce ku wstydowi i poniewierce prognostyków rozbieżnych i zawczesnych. Dziś, chybki cień zadumy samotnéj nie zasępi z pewnością niczyjéj godziwie zapracowanéj pogody czoła.

Prawdzic.



NEKROLOGIA.

† **Antoni Wałecki**, urodzony 1815 r. w Łukowie (gub. siedleckiéj), ukończywszy nauki gimnazyalne w Lublinie, studyował w roku 1836 — 1838 nauki przyrodnicze w akademii medyko chirurgicznéj w Wilnie. Przebywając następnie lat 19 w Dauryi, oddawał się z zamiłowaniem badaniom zoologicznym i botanicznym. Wróciwszy do kraju w r. 1857, został r. 1860 pomocnikiem dyrektora gabinetów naukowych w Warszawie, a w r. 1862 kustoszem gabinetu mineralogicznego przy Szkole Głównéj. Nauką, nieskazitelną prawością charakteru, zacnością i szlachetnością zjednał sobie powszechne i głębokie poważanie. Pisał językiem czysto, szczerze polskim i dzieła swoje opracowywał gruntownie i sumiennie. Ważniejsze z nich są: „Materyały do fauny ichtyologicznéj Polski" (Warszawa, 1864); część druga tych materyałów ma napis oddzielny: „Systematyczny przegląd ryb krajowych" (t-że, t. r.); daléj ogłosił: „Treściwy przegląd zwierząt ssących krajowych" (t-że, 1866). Wiele sprawozdań specyalnych drukował w „Bibliotece Warszawskiéj". Zmarł w Warszawie w połowie stycznia r. b. Cześć jego pamięci!



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Января 1896 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Wiktor Gomulicki.* **Obrazki weneckie.** Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 208.
2. *Władysław Kruk.* **Sabinka.** Powiastka dla dzieci, z ilustracyami. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 157.
3. *Cecylia Walewska.* **Podsłuchane.** Nowelle. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo. str. 419.
4. *Amand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia powszechna** ilustrowana. Przełożył dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz., nakł. M. Orgelbranda. Zeszyty 49 i 50 (ostatnie).
5. **Encyklopedya illustrowana** wiadomości pożytecznych. Warsz., nakł. M. Arcta. Zesz. 13 i 14 (cena zesz. kop. 25).
6. **Mitteilungen** des Coppernicus-Vereins zu Thorn. XI Heft: Vegetations-Verhältnisse des preussischen Weichselgeländes. Von Jos. B. Scholz. Toruń, 1896, 8-vo, str. 206 i XVIII z 3 tablicami rysunkowemi.
7. *Władysław Smoleński.* **Ostatni rok sejmu wielkiego.** Kraków, nakład autora, 1896, 8-vo, str. 481.
8. **Krużnym putiom.** Romans w 5 częściach przez *M. Zinina (Sergiusza Szarapowa).* Petersburg, 1897, 8-vo, str. 324.
9. **Logika ekonomii.** Napisał *Zygmunt Heryng.* Warsz., Wydawnictwo „Głosu", 1896, 8-vo, str. 312 i IV.
10. *Cecylia Niewiadowska.* **A B C poglądowe.** Nauka czytania i pisania. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 4-to, str. 115, z 345 rysunkami.
11. **Szkoły parafialne** w Polsce w XIII i XIV wieku. Napisał dr. *Antoni Karbowiak.* Krak., nakł. Akademii Umiej., 1896, 8-vo, str. 69.
12. **Esterka,** dramat w VI-ciu obrazach na tle historycznêm przez *Stanisława Kozłowskiego.* Warsz., 1897, str. 162.
13. *Stefan Surzycki.* **Die landwirtschaftlichen Betriebsmittel** in ihrem Enflusse auf den Zustand der Bauerwirtschaften in Galizien. Inaugural-Dissertation. Leipzig, 1896, 8-vo, str. 298.
14. *Anatol Krzyżanowski.* **Pasierby,** powieść, poprzedzona słowem wstępnem *Henryka Sienkiewicza.* Warsz., nakł. G. Sennewalda, 1896, 8-vo, tom I, str. XV i 189; t. II, str. 232.
15. **Na pochyłości.** Powieść w dwóch tomach napisał *Bolej Kruk (Edward Lubowski)*, wyd. drugie. Warsz., nakł. S. Lewentala, 1897, 8-vo, str. 320 i 504.
16. **Modlitewnik** królowéj Maryi Kazimiery Sobieskiéj. Skreślił *Mathias Bersohn.* Krak., 1896, 8-vo, str. 16, z 6 rycinami.
17. *Plato v. Reussner'a* **Najlepsza metoda.** „Samouczek" języka niemieckiego. Kurs niższy. Wyd. XIV-te. Warsz., nakł. autora, 1897, 8-vo, str. 184 i XLVII.
18. *Tegoż* **Najlepsza metoda** czyli Samouczek polsko-francuski. Warsz., 1896, zeszyt IV i V-ty.
19. **Die ersten Schritte** des russischen Romanes, von dr. *Matthias Murko* Wiedeń, 1897, str. 21.
20. **Rycerstwo polskie** wieków średnich przez d-ra *Franciszka Piekosińskiego.* Tom I-szy. O dynastycznêm szlachty polskiéj pochodzeniu. Kraków, nakł. Akademii Umiej., 1896, 8-vo, str. 399 z rysunkami w tekście.
21. *Guhl i Koner.* **Hellada i Roma.** Przekład *Stanisława Mieczyńskiego.* Wars., nakł. Gebethnera i Wolffa. Zesz. 11 i 12 (str. 321—395).
22. **Rzym Papieży.** Wydawnictwo „Tygodnika ilustrowanego" i „Biesiady literackiéj". Warsz., skład główny u Gebethnera i Wolffa. Zeszyt 8 (str. 281 — 368, oraz 19 — 28).



Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.